

SŁAWOMIR KOPER

ZŁOTA KOLEKCJA

*Zachłanne  
na życie*

OSIECKA JĘDRUSIK BRAUNEK CZYŻEWSKA



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

• Część I. Kalina

W drodze do sławy

Kraków

Trójmiejski tygiel

Pan Stanisław

Hipisi nad Bałtykiem

Niebezpieczne związki

Macocha i pasierbica

Narodziny gwiazdy

Polska Marilyn Monroe

Teatr Telewizji

Kabaret Starszych Panów

Film

Księstwo warszawskie

Gwałciciel Iredeński i homoseksualiści

Skandalistka epoki

Salon przy ulicy Joliot-Curie

Biust, kapeć i Barbórka

Prowokacje

Małżeństwo niepodobne do innych

Otwarty związek

Świat bez Stasia

Awantura o spadek

Przypisy do cz. I

• Część II. Elka

Dziewczyna z Powiśla

Trauma

Uparcie do celu

Cybulski w spódnicy

Gwiazda

Skolim

We dwoje

Porzucony geniusz

Bilet na Zachód

Towarzyska laleczka

Amerikanin w Warszawie

Ich troje  
Małżeństwo  
Koniec bajki

## USA

Emigracja  
Fatum  
Upadek  
Do końca wierna sobie  
Przypisy do cz. II

## • Część III. Agnieszka

### Wiktor Osiecki

Ojciec artysta  
Pani Pellegrini  
Ojciec i córka  
W poszukiwaniu własnej drogi

### Witold Dąbrowski

STS  
Miłość i poezja  
Mazury  
Krzyże  
Miejsce, do którego się wraca

### Marek Hłasko

Łódzka Filmówka  
Piękny dwudziestoletni  
Agnieszka i Marek  
Maszyna pana Marka  
Jerzy Giedroyc  
Teatr i polityka

### Wojciech Frykowski

Interesy pani Agnieszki  
Król życia z Łodzi  
Ślub w Zakopanem  
Radonice  
Rozwód po raz pierwszy  
MFR

### Wojciech Jesionka

Starszy Pan B.  
Zażębiony student

### Daniel Passent

W kręgu „Polityki”  
Córka

### Zbigniew Mentzel

Przyjaciółki  
Zbyszek

## André Ochođło

Biała bluzka

Bar Sax

Teatr Atelier

Przypisy do cz. III

### • Część IV. Małgosia

#### Trudne początki

Skomplikowana edukacja

Skok

#### Polowanie na muchy

Na szerokie wody

Modliszka

Janusz Guttner

#### Diabeł

Makumba

Andrzej Źuławski

Dwoje na huśtawce

#### Na szczycie

Oleńka

Pęknięcie

#### Droga na Wschód

Decyzja

Pretensje pana Andrzeja

Indie

Powrót

Przypisy do cz. IV

#### Zakończenie

#### Ważniejsza bibliografia

#### Okładka

ZACHŁANNE  
NA ŻYCIE



Sławomir Koper

Warszawa 2015

Projekt okładki  
FRYCZ I WICHA

Zdjęcia  
Zofia Nasierowska/Reporter; PolFilm/East News

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Redakcja  
Witold Grzechnik

Korekta  
Małgorzata Ablewska

Skład  
Tomasz Erbel

**Wydawca**  
**Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.**  
**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**  
**00-272 Warszawa**

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-196-7

Warszawa 2015

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

# Od autora



**P**odczas spotkań autorskich wielokrotnie zadawano mi pytanie, czy zamierzam powrócić jeszcze do bohaterów, którymi zajmowałem się już wcześniej. Padały argumenty, że przecież wciąż pojawiają się nowe źródła, istnieje możliwość szerszego skorzystania z archiwów, a ponadto mógłbym nie zwracać uwagi na rozmiar tekstu poświęcanego opisywanym postaciom. Jak bowiem słusznie Czytelniczki zauważyli, każda książka ma z góry zaplanowaną objętość, do której autor musi się dostosować. Przyznaję, że podobne uwagi były mi bardzo bliskie, albowiem zawsze po zakończeniu pracy nad tekstem mam uczucie niedosytu, bo sam najlepiej wiem, ile spraw i tematów zmuszony byłem pominąć.

Książka, którą mają Państwo przed sobą, jest odpowiedzią na te pytania. Powracam w niej do Agnieszki Osieckiej, Kaliny Jędrusik i Elżbiety Czyżewskiej. Tym razem piszę o nich, nie przejmując się za bardzo ograniczeniami wynikającymi z objętości tekstu, co sprawia, że poświęcone im rozdziały są dwu-, trzykrotnie dłuższe niż te, które kiedyś napisałem. Korzystam też z książek, których wtedy nie było jeszcze na rynku wydawniczym, bo ukazały się dopiero w ostatnich latach, a nawet miesiącach. Przede wszystkim zaś czerpię informacje z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, z którego świadomie wówczas zrezygnowałem. Dla doświadczonego autora i historyka jest to kapitalne źródło informacji. Nieprawdą jest twierdzenie, że znajdują się tam wyłącznie notatki o wydarzeniach politycznych. Dociekliwy historyk znajdzie bowiem w IPN-ie prawdziwą kopalnię informacji o charakterze obyczajowym. A właśnie to najbardziej mnie zawsze interesowało i tymi wiadomościami chcę się z Czytelnikami dzielić. Tym bardziej że – jeżeli nie zapomnimy o krytycznym podejściu – tego rodzaju dokumenty mogą nam powiedzieć bardzo wiele o opisanych w książce ludziach i ich otoczeniu.

Jak zwykle najwięcej miejsca poświęcam prywatnym sprawom moich bohaterek, były to bowiem kobiety żyjące pełnią życia i potrafiące z niego korzystać. To wielkie gwiazdy, zachłanne na życie i doskonale znające swoją wartość. A jednocześnie nie zawsze potrafiące spełnić się w życiu osobistym i zawodowym.

Będąc z wykształcenia historykiem, potrafię czytać między wierszami i zdaję sobie również sprawę z faktu, że relacje z epoki zawierają różnego rodzaju niedopowiedzenia i przeinaczenia. Pamiętam też, że czasami brak informacji jest również ważną informacją. Korzystam z tego w praktyce, snuję własne przypuszczenia, staram się uzupełnić luki. Ale nigdy nie narzucam swojego zdania i nie oceniam swoich



bohaterek.

Często natomiast je cytuję, a jeszcze częściej oddaję głos świadkom tamtych wydarzeń. Uważam bowiem, że w ten sposób książka zyskuje na autentyczności, a relacje osób, które uczestniczyły w wydarzeniach sprzed lat, są znacznie bardziej barwne i wartościowe niż ich streszczenia dokonywane przez autora. Widać w nich osobiste zaangażowanie, styl i rysy charakteru osób opowiadających, a poza tym – czy skromny historyk może pod względem władania słowem pisany równać się z Agnieszką Osiecką, Tadeuszem Konwickim czy Olgą Lipińską?

W tej książce do portretów trzech wymienionych już artystek dodałem rozdział o Małgorzacie Braunek, o której dotąd jeszcze nie pisałem. Uznałem, że jej postać zasługuje na przypomnienie, bo z różnych powodów pamiętana jest niemal wyłącznie jako Oleńka z *Potopu* czy Izabela Łęcka z serialu *Lalka*. Wprawdzie nigdy nie zrobiła takiej kariery jak koleżanki, ale zdecydowały o tym jej prywatne wybory, które należy uszanować. Była jednak osobą wybitną, a jej życie stanowiło potwierdzenie ideałów, jakie wyznawała.

*Zachłanne na życie* są pierwszą książką ze *Złotej kolekcji*, czyli cyklu, w którym będę powracał do tematów już kiedyś poruszanych. I nie dotyczy to wyłącznie epoki PRL-u, planuję bowiem książki opowiadające również o czasach II Rzeczypospolitej. Nie oznacza to jednak, że zamierzam porzucić pisanie o osobach i sprawach, którymi wcześniej w ogóle się nie zajmowałem. *Złota kolekcja* stanowi tylko uzupełnienie mojej aktywności wydawniczej.

Sławomir Koper

# Część I

## Kalina





**„Kalina Jedrusik była niezwykle fotogeniczna. Światło pięknie układało się na jej twarzy... Przez te wszystkie lata zrobiłam jej setki zdjęć. Każdy portret był inny, bo Kalina zmieniała się bardzo w zależności od kostiumu, makijażu, fryzury. Kiedyś ustawiłam ostre światło na jej twarz. I mówię: »Kalinka, jesteś na gorącej plaży, świeci na ciebie ogromne słońce, jesteś szczęśliwa, rozmarzona myślą o mężczyźnie i tym słońcem...«. I na jej twarzy zobaczyłam, że ona rzeczywiście jest na tej plaży i myśli o ukochanym...”.**

*Zofia Nasierowska*

# W drodze do sławy



**P**odobno mężczyźni wolą blondynki, co potwierdzają kariery takich gwiazd jak Marilyn Monroe, Jayne Mansfield czy Brigitte Bardot. Od każdej reguły zdarzają się jednak wyjątki, czego przykład mieliśmy w naszym kraju. Kalina Jędrusik była naturalną blondynką, ale sławę zdobyła dopiero wtedy, gdy zmieniła kolor włosów na ciemniejszy, stając się najseksowniejszą artystką epoki PRL...

## KRAKÓW

Jędrusik dość wcześnie zaczęła sprawiać problemy wychowawcze. Po zakończeniu II wojny światowej podjęła naukę w I Liceum Ogólnokształcącym im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie, ale została relegowana z tej szkoły. Nie miała wprawdzie kłopotów z nauką i chętnie angażowała się w działalność szkolnego teatru, problemem jednak okazał się jej wyzywający styl zachowania. Władze placówki przywiązywały dużą wagę do moralnego poziomu uczennic, tymczasem Kalina nie lubiła nosić stanika. Problemy nie kończyły się zresztą na bieliźnie, bo również reszta garderoby dziewczyny okazała się nie do zaakceptowania przez miejscowe grono pedagogiczne.

Kalina próbowała dokończyć naukę w liceum dla pracujących, ostatecznie jednak skończyło się na eksternistycznej maturze. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości zdała egzaminy do Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie, bo choć marzyła o karierze operowej, to jednak uznała, że wymaga ona zbyt wielu wyrzeczeń.

„Przerażała mnie niesamowita dyscyplina – tłumaczyła po latach – jakiej muszą się podporządkować śpiewacy, którzy od rana do wieczora nie myślą o niczym innym, jak tylko o głosie, gardle i strunach głosowych, o tym, by być sprawnym technicznie. To niesłychanie komplikuje życie, a ja właśnie cenię swoją niezależność”[1].

Podobno już podczas egzaminów wstępnych zauważono zarówno jej talent, jak i urodę. Największą rolę odgrywał jednak jej niekonwencjonalny sposób bycia, który przyciągał uwagę mężczyzn.

„Odprowadzałem kogoś na egzamin wstępny do krakowskiej Szkoły Aktorskiej – wspominał Lucjan Kydryński – i wśród zdenerwowanych, przejętych kandydatek na przyszłe gwiazdy krążyła również Ona. Już wtedy trudno było jej nie dostrzec w tłumie. Silny makijaż, rzęsy długości paru centymetrów, niebieska jedwabna bluzka i długa

czarna spódnica. Zaczęła rozmowę, rozmawiała zresztą ze wszystkimi, zawsze przecież była szalenie kontaktowa. Pamiętam, że zwierzyła mi się, że jeśli zostanie przyjęta, to niezależnie od szkoły aktorskiej zapisze się także na historię sztuki. I była bardzo zdziwiona, kiedy starałem się jej wytłumaczyć, że to nie jest historia sztuki, jaką się grywa w teatrze...”[2].

Ostatecznie skoncentrowała się na aktorstwie, o czym zapewne zadecydowała panująca w szkole atmosfera. Razem z nią studiowali: Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Konrad Swinarski, Leszek Herdegen, nieco później pojawił się Jerzy Grotowski, uczelnię systematycznie odwiedzał zaprzyjaźniony z Herdegenem Sławomir Mrozek. Znakomicie prezentowało się również grono miejscowych pedagogów, wśród których byli Wanda Szczuka, Lidia Zamkow, Tadeusz Burnatowicz, Władysław Woźnik. Kalina przeżyła wówczas swoją pierwszą miłosną fascynację, której obiektem był wykładowca poezji antycznej i wiersza, Waław Nowakowski.

„Piękny, monumentalny głos – opowiadała Jędrusik – wysoki, postawny męczyzna. Zdolna byłam do wielkich i romantycznych uczuć. Kiedy przyciskał mnie do swej piersi, osuwałam się zemdlna... I on o tej mojej miłości wiedział – naiwne, ale jakże piękne i czyste było to uwielbienie”[3].

Podobno uczucie to było platoniczne, ale Kalina już wtedy przejawiała słabość do znacznie starszych od siebie męczyzn. Mówiono, że łączyło ją coś z Janem Kurnakowiczem, miała mieć również romans z ówczesnym rektorem krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych. Wynajmowała pokój w jego mieszkaniu, w związku z czym doszło do małego skandalu, gdy „żona rektora, ścieląc łóżko, znalazła w nim szpilki do włosów”[4]. Zażyłość tę wydaje się potwierdzać fakt, że Kalina nazywała rektora „Kiciuś”, co można uznać za wyjątkową poufałość ze strony młodej studentki...

Jeszcze bardziej intrygująca była jej przyjaźń z koleżanką z roku, Alicją Migulanką. Uważano, że dziewczyna była „sługą i podnóżkiem Kaliny”, troszczyła się, aby „ta miała co jeść, robiła jej pranie, zakupy”. A Jędrusik zachowywała się jak „kociątko, które przewracało rzesami”, bezwzględnie wykorzystując oddanie przyjaciółki. Opowiadano, że nie była to wyłącznie przyjaźń, czemu stanowczo zaprzeczali ludzie dobrze znający obie dziewczyny.

„Bzdura! Ohydna plotka! – oburzał się kolega ze szkoły, Gustaw Gracki. – Panna Migulanka dlatego była Kalinie potrzebna, że jej ojciec był podoficerem II Korpusu i przysyłał córce bogate paczki. A Kalinka pierwsza te paczki przeglądała i wydzielala z nich, co jej było potrzebne. Plotka zrobiła z nich parę lesbijek”[5].

Kalina wykorzystywała materialnie swoją przyjaciółkę, ale Migulanka chyba naprawdę darzyła ją uczuciem. Gdy bowiem Jędrusik związała się ze Stanisławem Dygatem, Alicja przeżyła załamanie nerwowe. A gdy okazało się, że Kalina nie będzie mogła mieć dzieci, zaproponowała, że „urodzi dla niej dziecko”, jeżeli ona „tylko tego zapragnie”.

Alicja Migulanka nigdy nie zrobiła większej kariery, chociaż przez wiele lat grała na scenach warszawskich i regularnie pojawiała się na planie filmowym. Były to jednak role epizodyczne, a jej najbardziej znaną kreacją okazała się rola strażniczki Wali w *Nadzorze* Wiesława Saniewskiego. Nie utrzymywała kontaktów z Kaliną, która

zresztą całkowicie wyparła jej osobę ze swoich wspomnień. Inna sprawa, że w ten sam sposób postąpiła z innymi koleżankami ze studiów...

## TRÓJMIEJSKI TYGIEL

W pierwszej połowie lat 50. jednym z najważniejszych punktów na kulturalnej mapie Polski stało się Trójmiasto. Pojawiła się tam grupa utalentowanych twórców, których nazwiska niebawem miały stać się znane w całym kraju.

Stanisław Dygat prowadził kronikę kulturalną „Głosu Wybrzeża”, a publikowali tam również Maciej Słomczyński, Mieczysław Jastrun i Arkady Fiedler. W zespole redakcyjnym gazety zwracała uwagę młoda stażystka z Warszawy, Agnieszka Osiecka, a w całym Trójmieście głośno było o plastykach skupionych wokół miejscowej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych.

W Gdańsku, w Klubie Artystów grano *Przy drzwiach zamkniętych* Sartre’a, a więc sztukę, której nie można było wystawiać na profesjonalnych scenach. W klubie Rudy Kot recitale przy fortepianie dawał Edmund Fetting, „mrużąc pod nosem delikatne, pół swingujące, pół marzące piosenki”. Trójmiasto w ogóle żyło muzyką i nie bez powodu to właśnie tutaj, w Sopocie, zorganizowano w 1956 roku Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej, na który zjechało 50 tysięcy fanów z całego kraju. Trzy lata później w Gdańsku powstał pierwszy polski zespół rockowy Rhythm and Blues, a w połowie następnej dekady debiutowały Czerwone Gitary.

Środowiska artystyczne Trójmiasta wzajemnie przenikały się, a głównym miejscem spotkań był klub SPATiF-u przy ulicy Monte Cassino w Sopocie.

„Spotykaliśmy się po to, żeby porozmawiać o sztuce – wspominał ówczesny dziekan Wydziału Malarstwa, profesor Władysław Jackiewicz – ale zawsze towarzyszyły temu nadmierne ilości alkoholu, więc po pewnym czasie wszystko zamieniało się we wzajemne wymówki typu: »A wiesz, gdzie ja mam twoje malarstwo?«”[6].

Lokal był położony na piętrze budynku, co czasami stwarzało pewne problemy. Bardziej „wyczerpani” uczestnicy biesiad miewali kłopoty z zejściem na dół, a pewna krewka aktorka zrzuciła ze schodów jednego z krytyków. Podobno nie była zadowolona z recenzji na swój temat...

Na początku sezonu teatralnego 1953/1954 dyrekcję Teatru Wybrzeże objęła Lidia Zamkow i wraz z nią do Trójmiasta przeprowadziła się grupa jej podopiecznych z krakowskiej PWSA. W ten sposób w Gdańsku znaleźli się Jędrusik, Migulanka, Herdegen, Cybulski i Kobiela. Ci dwaj ostatni właśnie na Wybrzeżu zaczęli swoją drogę do nieśmiertelności, organizując tu słynny studencki kabaret Bim-Bom...

Na scenie Teatru Wybrzeże miał miejsce debiut sceniczny Kaliny, a pobyt nad Bałtykiem zaważył na całej jej karierze. W Gdańsku spotkała bowiem najważniejszego mężczyznę swojego życia.



Panna Jędrusik miała wówczas 23 lata i prezentowała się niezwykle atrakcyjnie. Ale jej uroda nie odpowiadała socjalistycznemu ideałowi kobiety – była zbyt zmysłowa, aby grać rolę robotnic, aktywistek czy też uległych żon rewolucyjnych bohaterów.

Cybulski zabrał ją na casting do *Kanału* Andrzeja Wajdy, bo akurat poszukiwano „młodej i ładnej aktorki do głównej roli”. Cybulski ostrzegł jednak filmowców, że Kalina jest „porządną dziewczyną, jeszcze dziewicą i jego przyjaciółką, której nie pozwoli skrzywdzić”. Warunkiem jej udziału w zdjęciach próbnych było więc to, że „ją sam przywiezie i odwiezie”.

„I przywiózł Kalinę Jędrusik – wspominał Kazimierz Kutz – on, strażnik jej cnoty, choć Kalina nigdy nie robiła wrażenia, by kiedykolwiek mogła być dziewicą. [...] Wyglądała wtedy jak świeżo wypieczona bułeczka; z obfitym biustem sięgającym niemal po zęby i oczami młodej sowy. Mówiąc nieco po staroświecku, była ponętna. Ale jej seks był z modelu, który miał dopiero nadejść. Dlatego nie nadawała się na bohaterkę *Kanału*. Ostatecznie rolę tę zagrała Teresa Izewska”[7].

Na większości mężczyzn Kalina robiła jednak piorunujące wrażenie, a jednym z nich miał się okazać Stanisław Dygat. Pisarz pełnił wówczas funkcję kierownika literackiego Teatru Wybrzeże, ale pierwszy raz trafił na nią przypadkowo na ulicy. Spotkanie to miało wywrzeć na obojgu ogromne wrażenie.

„Byłam jedną z niewielu – opowiadała Kalina – które interesowały się nie tylko polską literaturą, ale też autorami. Znałam pisarzy z fotografii, wiedziałam, jak wygląda Stanisław Dygat. I w Gdańsku, na spacerze, spotkałam go – siedł z moją koleżanką z teatru, Dziunią Nawrocką; okazało się (o czym jeszcze nie wiedziałam), że była jego żoną. Obejrzałam się – i zobaczyłam, że on też na mnie patrzy, ale jak! Szedł z żoną tyłem, bo patrzył na mnie. U Sienkiewicza to bym wtedy powiedziała: Mój ci on jest, ale ja naprawdę sobie pomyślałam – to będzie MÓJ MĘŻCZYŻNA”[8].

Stanisław Dygat był w tym czasie jednym z najbardziej popularnych polskich pisarzy. Sławę przyniosła mu autobiograficzna, wydana w 1946 roku powieść *Jezioro Bodeńskie*, a jego renomę ugruntowały *Pożegnania* opublikowane dwa lata później.

Dygat nie uważał się jednak za zawodowego literata i twierdził, że zajął się pisaniem wyłącznie z tego powodu, że nie potrafił znaleźć sobie innego sposobu zarabiania na życie.

„Mniemał – na przykład – opowiadał blisko z nim zaprzyjaźniony Kazimierz Kutz – że jest życiowym nieudacznikiem, a pisarzem został tylko dlatego, że nie nadawał się do żadnego zawodu i mimo wielu prób, albo raczej chęci, do żadnego nie trafił. Toteż pisanie nie uważał za zawód, podśmiewał się z tych, którzy uważali się za zawodowych pisarzy; dla niego było to tylko męczące zajęcie”[9].

Dygat miał ogromny talent, ale był człowiekiem zbyt leniwym, by całkowicie poświęcić się literaturze. I chociaż jego prozę uznano za niezwykle nowatorską i choć cieszyła się ona ogromnym powodzeniem, to trudno było go skłonić do terminowego wywiązywania się z zobowiązań. Chętnie natomiast brał zaliczki i z tego powodu wielokrotnie miał kłopoty.



„*Pożegnania* Staś napisał pod terrorem – potwierdziła Irena Szymańska. – Była to książka dla Klubu Odrodzenia, przyrzeczona subskrybentom i zapowiedziana na określony termin, a terminy subskrypcyjne traktowano jeszcze wtedy w wydawnictwach serio. Przerażeni, że Staszek nie zabrał się do roboty, po prostu porwaliśmy go, zamknęli w domu »Czytelnika« w Bierutowicach i tam, trzymając co prawda nie o chlebie i wodzie, ale odciętego od znajomych i przyjaciół, zmusiliśmy go – my, to znaczy ówczesny dział wydawniczy »Czytelnika« z Zofią Dembińską na czele – do napisania w sześć tygodni książki”[10].

Regularnie jednak pisał opowiadania i felietony, był również współautorem dwóch dramatów, ale przez całe życie „słabo rozróżniał nominalną wartość banknotów NBP”, a do tego „z nawyku wydawał więcej, niż zarabiał”. W efekcie wraz z żoną i córką często nie miał z czego żyć i zasypywał wydawców prośbami o pieniądze. A gdy to nie skutkowało, wysyłał po zaliczki swoją córkę, licząc na to, że widok dziecka skruszy ich opory.

Z tego powodu chętnie przyjmował też różnego rodzaju synekury, pod warunkiem że nie wymagały jednak zbyt wiele pracy. Niestety – z funkcji wiceprezesa wrocławskiego Związku Literatów Polskich został zwolniony za permanentne lenistwo i właśnie wtedy przeniósł się do Trójmiasta. Tam został kierownikiem literackim Teatru Wybrzeże, w którym posadę dostała również jego żona, aktorka Władysława Nawrocka.

## HIPISI NAD BAŁTYKIEM

Ich małżeństwo było przedziwnym związkiem, bo żona, podobnie jak on, „nie kojarzyła sobie wydawania z zarabianiem”. Sytuacji nie zmieniło przyjsie na świat ich córki, wobec której oboje zachowywali się w sposób całkowicie nieodpowiedzialny.

„Kiedyś, wychodząc w nocy z restauracji – wspominała Magda Dygat – zapomnieli zabrać mnie z szatni, gdzie leżałam w beciku. A do tego zgubili numerek i gdy w końcu wrócili, bo przypomnieli sobie, że mieli jeszcze chyba coś poza parasolem, szatniarka nie chciała mnie wydać”[11].

Na szóste urodziny córka dostała od nich „zieloną, emaliowaną patelnię”. Była to jedyna rzecz, jaką mogli kupić nad ranem, gdy wracając z imprezy, przypomnieli sobie o rocznicy ich dziecka. Przy okazji uświadomili córce, że przecież „żadna jej koleżanka nie ma własnej patelni”.

„Kiedy budziłam się w nocy sama w domu – kontynuowała Magda – szłam spać do sąsiadów, którzy byli już do tego przyzwyczajeni. Rodzice czasami dziwili się, że jestem ciągle jeszcze mała, a czasami odkrywali ze zdziwieniem, że chodzę do szkoły”[12].

Nawrocka była zajęta głównie sobą i nigdy nie ukrywała, że obecność dziecka uważa za zbyteczną. Przez całe życie sprawiała zresztą wrażenie osoby, która urodziła się w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie, bo chyba znacznie lepiej pasowałyby do epoki dzieci kwiatów i festiwalu w Woodstock.

„Matki stosunek do liczb – tłumaczyła Magda Dygat – był wynikiem jej braku poczucia czasu. A już zupełnie nie miała i nie ma głowy do takich przyziemnych spraw, jak imiona, urodziny, chrzest. Nigdy nie wiedziała, który jest rok i dziś [w 2001 roku – S.K.], będąc w wieku osiemdziesięciu kilku lat, ciągle ma nadzieję, że w przyszłości wszystko jej się lepiej w życiu ułoży”[13].

Dyगतowie prowadzili życie godne komuny hipisów, podobnie też zachowywali się w sprawach intymnych. Stanisław „wszystkie zajęcia uważał za męczące, łącznie z erotyką” i w wieku 33 lat nie był już zainteresowany współżyciem z żoną. Dbał zatem, aby Władysława miała młodszych partnerów seksualnych, a jednym z nich został 20-letni bokser i początkujący pisarz, Edward Kurowski.

Pisarz prowokował dwuznaczne sytuacje, namawiał, aby młodzieniec robił Nawrockiej masaże, aż wreszcie stało się to, co musiało się stać.

„Aktorka wyszła z łazienki we flanelowym szlafroku – wspominał Kurowski – i położyła się na moim łóżku, mówiąc, że bardzo dobrze się czuje, choć woda była ledwie ciepła. Przekonana, że mój masaż ją rozgrzeje, odsłoniła do połowy ciało, zacząłem więc swoje zajęcia od szyi, mówiąc, że piersi aktorki już po kilku masażach stały się bardziej jędrne, co stwierdziła z zadowoleniem. Zapytałem, czy chodzący po sąsiednim pokoju pisarz nie zajrzy do nas, aktorka odpowiedziała »na pewno nie, krążąc za szybą układa powieściowe dialogi, które podobno dobrze mu idą«. [...]

– Idźcie wreszcie gdzieś, bo mi przeszkadzacie – wtrącił pisarz, jakby nas podsłuchiwał.

– Przecież cicho leżymy.

– Ale łóżko skrzypi”[14].

Małżonkowie sypiali oddzielnie, Dyगत miał zresztą zwyczaj zamykania na noc drzwi od swojego pokoju. Nawrockiej natomiast zupełnie nie przeszkadzało, że mąż śpi obok – miała niewiele ponad 30 lat i stosowne do wieku potrzeby erotyczne.

„Zatoczyłem się, widząc wyciągniętą ku mnie rękę – kontynuował Kurowski – usiadłem na tapczanie [...] dotykasz ją kolanem, czujesz, że jest bez dolnej części pizamy, pyta, co ci jest, nadciśnienie? Możliwe – odpowiadasz – chyba tak, damska ręka dotyka twoich spodenek, chce ci je zdjąć? Próbujesz dotknąć jej biodra, nie pozwala, odruch czy naprawdę nie wolno, kolanem można, niczym więcej...

Leżysz niby spokojnie, ale coś w tobie kipi, słyszysz własny oddech i aktorki, chcesz coś powiedzieć, czujesz pustkę w głowie i suchość w ustach, co robić? Do odważnych świat należy – to głupie, żadna odwaga, odważniej byłoby odejść teraz, nie potrafisz... musisz być zdecydowany, ale od decyzji do jej wykonania mijają długie chwile, w czasie których czujesz jej palce na swoim biodrze, całą delikatną dłoń, podsuwa się pod gumkę twoich spodenek i wtedy nagle decydujesz się wejść na jej ciepłe, prawie gorące ciało, które nie uczyniło żadnego ruchu, żeby cię zrzucić, napięte damskie nogi jakby sflaczały, uda trochę się rozeszły, więc dalsze działanie było już niezależne od ciebie, pewnie krótko trwało, po czym wasze ciała zlepily się i ponownie znieruchomiały.

– Niech pan już idzie – szepnęła aktorka jakby resztkami sił”[15].

Dyगत uwielbiał flirtować i romansować z kobietami, ale nie zawsze interesowało

go seksualne zbliżenie. A już regularne kontakty erotyczne z jedną partnerką śmiertelnie go nudziły, nawet wtedy, gdy była nią tak atrakcyjna osoba jak Władysława Nawrocka. Niewykluczone też, że miał na ten temat podobne zdanie jak pewien niemiecki filozof, który twierdził, że nie będzie wykonywał „śmiesznych ruchów” niegodnych honoru mężczyzny...

Otwarte małżeństwo może funkcjonować wyłącznie wówczas, gdy pomiędzy partnerami panują przyjazne stosunki. Dygatowie jednak często się kłócili, „oskarżając się wzajemnie o różne drobne niepowodzenia”. Po przeprowadzce do Trójmiasta awantury domowe stały się codziennością i zdominowały ich życie. Sytuację najlepiej podsumowała rozmowa Dygata z córką po wspólnym wyjściu do kina na *Summertime*.

„Płakałam, kiedy pociąg z Katharine [Hepburn – S.K.] odjeżdżał – wspominała Magda Dygat – a na peronie został zakochany w niej Włoch. Ojciec pocieszał mnie, że gdyby ona została i gdyby się pobrali, toby się kłócili tak jak mamusia z tatusiem”[16].

## NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu na ulicy Jędrusik i Dygat poznali się osobiście na balu sylwestrowym. Później pisarz adorował aktorkę, przychodził z bukietami kwiatów na jej występy, towarzyszył podczas spacerów na plaży. Kalinie to imponowało, aprobowała również różnicę wieku (Dygat był starszy o 16 lat). Znów odezwała się słabość do starszych partnerów.

Zostali kochankami, ukrywając swój romans, a Kalina w tym czasie podobno bardzo dbała o przychylność córki partnera. Znała zresztą Magdę doskonale, bo dziecko często pojawiała się za kulisami teatru, w którym pracowali Jędrusik i Dygatowie.

„Grały w jednym teatrze – relacjonowała Magda – ale nie w tych samych sztukach. Kiedy mama była na scenie, ona zajmowała się uwodzeniem jego i mnie. Wydawała się taka śliczna, miała długie blond włosy. Wyglądała jak księżniczka z bajki. Rozmawiała ze mną jak z przyjaciółką, dawała mi prezenty. [...] Zaprzyjaźniła się bardzo z moją mamą. Czuła się samotna daleko od domu. Potrzebowała rodziny”[17].

Dygat, choć czuł się podobno życiowym nieudacznikiem, był przecież poczytnym pisarzem i przystojnym mężczyzną. Potężnie zbudowany, zawsze nienagannie ubrany i pachnący dobrymi kosmetykami prezentował się korzystnie na tle innych mężczyzn. Do tego dochodziły jeszcze maniery wyniesione z dobrej, przedwojennej rodziny, dzięki czemu pisarz „wydawał się taki »pański« i »arystokratyczny«” w swoim zachowaniu. Wyróżniał się na tle szarej polskiej rzeczywistości lat 50., nic zatem dziwnego, że Kalina straciła dla niego głowę.

On również zakochał się w niej jak młodzik, zapewne jednak nie doszłoby do rozwodu, gdyby nie upór Jędrusik. Razem z aktualnym partnerem Nawrockiej zmusiła ona Dygatów do złożenia pozwu rozwodowego, wychodząc z założenia, że pora zakończyć to nieudane małżeństwo i uregulować sytuację prawną całej czwórki.

Rozwód nie był jednak sprawą łatwą i formalności ciągnęły się przez dłuższy czas. Dygat opuścił rodzinę i zamieszkał z Kaliną w „schronisku dla aktorów, w ciemnym, ponurym poniemieckim domu”. Gdy jednak Nawrocka wyjechała na urlop, to za jej zgodą zamieszkali w domu Dygatów. A po powrocie Władysławy już się stamtąd nie wyprowadzili.

Sytuacja ta bulwersowała nawet najbardziej odpornych ludzi z ich otoczenia. Jeden pokój zajmowała matka Nawrockiej z Magdą, natomiast w drugim tłoczyli się Kalina, Stanisław, Władysława i jej aktualny partner. A Dygatowie ciągle nie mieli jeszcze rozwodu...

Najważniejszym problemem tej sześciuosobowej „rodziny” był niedostatek. Kłopoty finansowe zbliżały ich do siebie i sprawiały, że nie było czasu na wzajemne kłótnie oraz pretensje.

„Co rano wszyscy w domu wywracali kieszenie w poszukiwaniu drobnych, żeby kupić coś na śniadanie – wspominała Magda Dygat. – Potem każdy wychodził na miasto w poszukiwaniu pieniędzy. Macocha [Kalina Jędrusik – S.K.] i ja wyłączone byłyśmy z obowiązku aprowizacji domu, ja musiałam iść do szkoły, a ona na ogół leżała na kanapie z powodu jakichś dolegliwości”[18].

Sytuacja przypominała układy w rodzinach z marginesu społecznego, ale czy życie pod wspólnym dachem z żoną, kochanką, partnerem żony, córką i teściową nie nosi w sobie cech patologii? A przynajmniej dużej dawki perwersji?

„Atmosfera była przyjazna i serdeczna do momentu – kontynuowała Magda – kiedy okazało się, że druga żona ojca przez cały ten czas ukrywała swój stan posiadania. Pech chciał, że stało się to w dniu, w którym matka, w desperacji spowodowanej brakiem innych możliwości, poszła sprzedać butelki. Scena, w której z rąk macochy wyslizguje się torebka i wylatują z niej banknoty różnej wielkości, była dramatyczna, żenująca i filmowa, szczególnie że brały w niej udział dwie aktorki. Ojciec przeproszał w imieniu swoim i nowej żony, było nawet jakieś wiarygodne tłumaczenie, ale nie udało się przywrócić beztrudnej idylli, i tak dobrze zapowiadające się życie rodzinne szóstki osób na czterdziestometrowej powierzchni musiało się skończyć”[19].

## MACOCHA I PASIERBICA

Pod jednym względem nadal byli zgodni – Trójmiasto okazało się zbyt małe jak na ich ambicje, toteż postanowili w komplecie przenieść się do Warszawy. W stolicy warunki lokalowe były jednak jeszcze trudniejsze niż na Wybrzeżu, zatem ponownie zamieszkali wspólnie. Nie trwało to na szczęście zbyt długo, bo Dygat dostał jednopokojowe mieszkanie przy Wiktorskiej na Mokotowie, a po kilku latach nieco większe przy ulicy Joliot-Curie.

Latem 1958 roku orzeczono wreszcie rozwód pomiędzy Władysławą i Stanisławem, który niedługo później poślubił Kalinę. W podróż poślubną wyjechali na dwa miesiące do Włoch, co w tamtych czasach było wręcz nieprawdopodobną

ekstrawagancją.

„[Staś] prowadził mnie śladem młodzieńczych fascynacji – wspominała Jędrusik – Capri, Neapol, Wenecja, Werona, Rzym... Wieczne Miasto kojarzy mi się ze smakiem bananów. Dotknęłam zakazanego owocu – ja, przeniesiona z tego potwornego zakątka Europy. W tamtych latach zamętu i grozy w Polsce, potwornej nędzy moralnej i materialnej, jakimś cudem udało się nam przeżyć dwa miesiące miłości we Włoszech. Pamiętam, że pożerałam banany. Nigdy wcześniej ich nie jadłam”[20].

Podróż nie przebiegała jednak bezproblemowo, bo pomiędzy małżonkami zdarzały się starcia, a główną ich przyczyną był trudny charakter Dygata. Świadcami jednej z takich sytuacji byli Zofia i Andrzej Łapiccy, którzy po latach opowiedzieli o tym swojej córce.

„W latach 50. rodzice pojechali z Dygatami do Włoch – relacjonowała Zuzanna Łapicka-Olbrychska. – Oglądałam zdjęcia, na których Staś Dygat i mój ojciec są w wytwornych letnich garniturach z alpaki. W takim garniturze Dygat usiadł do kolacji. Kalina zaczęła go upominać: »Stasiek, poplamisz się, Stasiek, zdejmij tę marynarkę, bo się poplamisz«. Dygat spojrzał na nią przeciągle, wziął masło i zaczął nim smarować klapę marynarki. Kalinę замуrowało”[21].

Jędrusik nie mogła mieć dzieci, co z czasem stawało się coraz większym problemem. Opinie na temat powodów jej bezpłodności są podzielone – miała jakoby poronić w pierwszych miesiącach związku z Dygatem, ewentualnie urodzić bliźnięta, które zmarły podczas skomplikowanego porodu. Wiadomo jednak, że pisarz nie chciał mieć więcej potomków, a Kazimierz Kutz twierdził nawet, że „nie wiadomo, co wtedy naprawdę się stało i jaką »winę« wziął wtedy Dygat na siebie”. Sugerował w ten sposób aborcję, która do 1956 roku była w Polsce zakazana, a wykonana pokątnie, mogła doprowadzić do poważnych komplikacji zdrowotnych Kaliny.

Aktorka do końca życia nie mogła się pogodzić ze swoją bezpłodnością i ze smutkiem sama siebie nazywała „pulardą”. Musiało się to odbić na jej kontaktach z pasierbicą, którą Dygat na swój sposób przecież kochał. Zazdrosna o względy, jakie okazywał córce, Kalina bez problemów wcieliła się w rolę złej macochy. Dręczyła dziewczynę za plecami męża, a gdy Magda skarżyła się na jej zachowanie, zrzucała na nią całą winę. Podobno zawsze patrzyła na pasierbicę „wzrokiem, który mówił, że nie bierze jeńców” i robiła wszystko, aby obrzydzić jej życie.

„Ojciec zabierał mnie też na wakacje razem z macochą. Nie są to moje najprzyjemniejsze wspomnienia. Kpiła ze mnie nieustannie, poświęciła kiedyś cały dzień na przekonywanie mnie, że jestem niedorozwinięta, bo nie znam przekleństw, a potem wyparła się przed ojcem, twierdząc, że jestem nienormalna, bo zmyślam takie rzeczy.

– Magda! Na litość boską, skąd ty znasz takie słowa! – wykrzyknął ojciec, gdy zapytałam, co to znaczy.

Nie miała instynktów opiekuńczych i nie można było zwrócić się do niej o żadną poradę, odwrotnie, starałam się ukrywać wszystkie moje problemy, słabości i niedomagania. Ponieważ wiedziała, że boję się duchów, opowiadała wieczorami o zamordowanych przez ubeków młodych akowcach, pochowanych w piwnicy domu,



w którym mieszkaliśmy. Jakby chciała zemścić się na ojcu za to, że zabierał mnie z nimi na wakacje. Bałam się okropnie i nie mogłam zasnąć, mimo że w tym domu nie było piwnic, więc może miała rację, mówiąc, że jestem niedorozwinięta”[22].

Jędrusik prowokowała awantury z pasierbicą, po czym przedstawiała mężowi swoją wersję wydarzeń. Dygat miał pretensje do córki, nie mogąc „zrozumieć, dlaczego rzuca oszczerstwa na jego żonę i czepia się jej, kłamiąc”. W efekcie pomiędzy ojcem i Magdą dochodziło do kłótni, po których przez wiele dni nie odzywali się do siebie.

Pod nieobecność męża Kalina potrafiła nawet zadreczać pasierbicę opowieściami o życiu erotycznym jej rodziców. Z radością obserwowała niesmak i zgorzzenie na jej twarzy, znęcanie się nad dziewczyną sprawiało jej perwersyjną przyjemność. Ale pod tym względem nie różniła się specjalnie od Dygata, któremu zdarzało się zapomnieć, z kim rozmawia, i zwierzać się nastoletniej córce ze swoich erotycznych problemów.

„[...] odwożąc mnie do domu ze wspólnej Wigilii – żaliła się Magda – na której dostałam od niego zieloną torebkę ze skaju, zabawiał mnie opowiadaniem o swojej nowej dziewczynie, która była niemal w moim wieku. Kiedy powiedziałam, że to obrzydliwe, żeby młoda dziewczyna miała romans ze starszym mężczyzną, zatrzymał samochód, kazał mi wysiąść i oddać torebkę. Wysiadłam, ale torebki nie oddałam”[23].

Nienawiść Kaliny do pasierbicy przybierała różne formy. Czasami kłamała, innym razem oskarżała ją o kradzież albo o to, że dziewczyna się w niej zakochała i prześladowa ją swoją miłością. A czasami wykorzystywała Magdę do tego, by dokuczyć mężowi, przy czym robiła to w podobny sposób jak jego pierwsza żona.

„– Idź i poproś ojca, żeby powiedział »rura« albo »fruwać« – podpuszczała matka, kiedy nie odzywali się do siebie. Pisarz grasejował [»r« wymawiał na sposób francuski – S.K.] i bardzo go złościło, gdy żona się z tego wyśmiewała.

Awantury z macochą miały charakter bardziej burzliwy:

– Idź i poproś ojca, żeby powiedział »kurwa«, albo powiedz mu, żeby się »odpierdolił«.

– Czy to znaczy to samo co »rura« i »fruwać«?”[24].



# Narodziny gwiazdy



## POLSKA MARILYN MONROE

**A**le nawet Magda przyznawała, że Jędrusik i Dygata łączyła „jakaś niezrozumiała więź” i pomimo wszelkich problemów darzyli się głębokim uczuciem. Oczywiście też było, że bez pomocy męża Kalina nigdy nie zrobiłaby kariery.

„Kiedy Staś przywiózł Kalinę do Warszawy – wspominał Jacek Bocheński – zobaczyłem rzeczywiście fascynującą kobietę. To była sama zmysłowość, niezależnie od sławnego dekoltu, to było coś, od czego feromony były całymi falami – choć słowo feromony to anachronizm: wtedy nikt o żadnych feromonach jeszcze nic nie wiedział”[25].

Dygat miał jasną wizję kariery żony, znał jej potencjał i chciał ją uczynić polskim odpowiednikiem zachodnich gwiazd ekranu. Zawsze zresztą miał z lekka pogardliwy stosunek do socjalistycznych produktów kultury i najwyżej cenił to, co amerykańskie. Zdawał sobie również sprawę, że niebawem polskim widzom do reszty obrzydłą prezentowane na ekranie dzielne przodownice pracy i pojawi się zapotrzebowanie na aktorstwo w zachodnim stylu. Uważał, że żona może stać się krajową wersją Marilyn Monroe, dlatego starannie reżyserował jej zachowanie, sposób mówienia i barwę głosu, a nawet kupił jej ukulele.

„[Była] arcydziełem Stasia i niewątpliwie najlepszą postacią, jaką napisał – twierdził Kazimierz Kutz. – Tyle że żywą. Była jego zrealizowanym snem o Hollywoodzie, snem o zniewalającym, amerykańskim fenomenie banału. Była tym samym idealnym przykładem nieograniczonego wpływu mężczyzny na ciało i duszę kobiety. Mitem Hollywoodu fascynował się Stasio od wczesnej młodości. Już pod koniec lat dwudziestych słał miłosne listy do gwiazd amerykańskiego kina. Kalina była niewątpliwie ucieleśnieniem tamtych fascynacji”[26].

Sytuację ułatwiały naturalne predyspozycje Jędrusik – jej otoczenie uważało, że właściwie nigdy nie była dziewczyną. Drobna, ale obdarzona znakomitymi warunkami fizycznymi, wydawała się stworzona do roli obiektu męskiego pożądania.

„Gdybym zamknęła oczy i chciała przywołać tamte obrazy – wspominała Agnieszka Osiecka – to powiedziałabym: siedziałyśmy na kanapie z dziewczynami i Kaliną. Filigranowa, pełna uroku, inteligencji przewrotnej i dowcipu – kobietka, lalka, artystka. Ale nie dziewczyna. Kalina nigdy nie wydawała mi się dziewczęcą. Czymś się zdecydowanie różniła od nas wszystkich, od dziewczyn z tamtych lat”[27].

Dygat nic nie pozostawiał przypadkowi, toteż przygotował dla Kaliny specjalny „dekalog”, który miał zapewnić jej sukces. Lektura jego zaleceń jest bardzo interesującym przeżyciem.



„Nigdy nie proś o drobne przysługi kogoś, kto jest od Ciebie w lepszej sytuacji materialnej i moralnej – czytamy w pierwszym punkcie. – Kogoś takiego znacznie mniej zdenerwuje prośba o sprawę dużą i ważną. Może nawet ją spełnić, żeby popisać się przed innymi”[28].

Dalej było równie ciekawie, bo Dygat zalecał żonie, aby „odmawiała wszelkich usług, chyba że chodziło o usługi wymienne”. Proponował, aby Kalina „uczyła się w tym znajdować satysfakcję” i wyrabiała sobie opinię „egoistki, osoby nieugiętej i wyrachowanej”. Miała starać się „robić wrażenie osoby bardzo zajętej swoimi sprawami”, a gdyby kiedykolwiek „zagroziła komuś, że coś zrobi”, to powinna „naprawdę być gotowa to zrobić”. Albowiem „blefować można jedynie w kartach”, natomiast „w życiu blefują jedynie hochsztaplerzy”.

Czytając wytyczne Dygata, można odnieść wrażenie, że pisał je człowiek, który doskonale wiedział, że życie jest dżunglą, w której przetrwają wyłącznie najsilniejsi. I chciał, aby do tego grona należała także Kalina.

„Nie wolno Ci sprawiać na ludziach wrażenia szczerej i otwartej. Nikczemnicy (a więc wszyscy, którzy Cię otaczają) uważają osoby szczere i otwarte za głupców łatwych do pożarcia”[29].

Przy okazji nakazywał, aby Kalina „nie angażowała się w cudze sprawy, jeżeli nie miała w tym interesu”, a jeżeli już o nich musiała mówić, to powinna „robić to z obojętnością”, a nawet „z lekkim akcentem znudzenia”. Koniecznie natomiast powinna wykluczyć „w każdej sytuacji pozę osoby fajnej, swojego chłopca”, co zapewni, że „ludzie będą ją szanowali i udawali, że ją kochają”.

Dzięki koneksjom Dygata Jędrusik trafiła do zespołu Teatru Narodowego, którego dyrektorem był Erwin Axer. Debiut stanowił dla niej duże wyzwanie, bo nie był to już gdański teatr, tylko jedna z najważniejszych scen w kraju.

„Pierwszym wielkim przeżyciem na terenie Warszawy – opowiadała w wywiadzie prasowym – była dla mnie rola Zosi w *Oстрыm dyżurze* Lutowskiego, którą otrzymałam jako zastępstwo za Danutę Szaflarską. Byłam przerażona i onieśmielona tym, że właśnie mnie – prawie debutantce – powierzono rolę, którą grała tak znakomita aktorka jak Danuta Szaflarska. Był to prawdziwy doping do dalszej pracy”[30].

Axer zarządzał wówczas również Teatrem Współczesnym, niebawem jednak rozdzielono te sceny. Kalina przeszła do Współczesnego, który przez wiele lat miał uchodzić za najlepszy teatr w stolicy, a zapewne również i w kraju. To właśnie na tej scenie odniosła ogromny sukces jako Polly w *Operze za trzy grosze* Bertolta Brechta.

„Wrócono jej karierę operową – wspominał Bartosz Śmigielski. – Kalina i opera? Już to widzę, jak Kalina stosuje specjalną dietę bez krzty alkoholu i idzie wcześniej spać, by głos był w formie! Na początku lat sześćdziesiątych jej głos był już lekko schrypnięty. A więc Polly śpiewała już głosem Kalinowym. [...] Była to Polly najlepsza, jaką udało mi się zobaczyć w Polsce i za granicą. Miała coś z dziecka i coś z dziwki. I w tym przedstawieniu ona jedna i Bardini jako Peachum śpiewali songi tak, jak chciał Brecht”[31].

Grała dużo i często, nie narzekała również na brak uznania widzów. Wielbiciele przynosili jej kwiaty, prezenty, przesyłali listy z niedwuznacznymi propozycjami. Jej

wielkim sukcesem okazała się rola Holly Golightly w scenicznej adaptacji *Śniadania u Tiffany'ego* (1965). Oboje z Dygatem uwielbiali tę książkę, a dodatkowym wyzwaniem dla Kaliny było zmierzenie się z legendarną kreacją Audrey Hepburn. Adaptacji dokonał Dygat, uprzednio prosząc listownie Trumana Capote'a o zgodę; dodał jednak, że nie stać go na wysokie honorarium. Amerykański pisarz pokazał klasę, zrezygnował z wynagrodzenia i przysłał Jędrusik w prezencie zamknięte na kluczyk pudełko od Tiffany'ego.

W tych czasach przywiązywała jeszcze dużą wagę do tego, by przedstawiano ją Jędrusik-Dygat. Wiedziała bowiem, że dopiero pracuje na swoje nazwisko, podczas gdy mąż jest osobą bardzo popularną. Ale niebawem nie było to już potrzebne, gdyż Kalina stała się prawdziwą gwiazdą.

## TEATR TELEWIZJI

Dygat doskonale wiedział, że teatr był rozrywką elitarną, natomiast popularność w zachodnim stylu mogły zapewnić wyłącznie film i telewizja. Początkowo nie potrafił jednak zagwarantować Kalinie odpowiednich ról filmowych, wobec czego całą uwagę skierował na telewizję. Konkurencja była tam zresztą o wiele słabsza, gdyż wielu aktorów nie miało jeszcze przekonania do możliwości szklanego ekranu.

Lata 50. były pionierskimi czasami rozwoju telewizji. Pierwszy ogólnopolski program wyemitowano w październiku 1952 roku, a dopiero cztery lata później emisja odbywała się pięć razy w tygodniu. Na dodatek liczba odbiorników telewizyjnych była ograniczona, toteż program oglądano głównie w klubach i świetlicach. Ale Dygat widział, że do telewizji należy przyszłość, więc Kaliny nie mogło w niej zabraknąć.

Siedziba TVP mieściła się wówczas przy placu Powstańców Warszawy i w niczym nie przypominała lokali dzisiejszych stacji telewizyjnych.

„[...] do gmachu telewizji w Warszawie wchodziło się przez dziurę w podłodze – wspominał Jerzy Gruza. – Takie to robiło wrażenie. Wejście od razu z ulicy i stromymi schodami w dół. Budynek dawnego banku przy placu Wareckim, obok jedyne drapacza chmur w stolicy, dziś hotel »Warszawa«, był absolutnym zaprzeczeniem nowoczesnej stacji telewizji. Przypominał raczej mrowisko pełne uwijających się w różnych kierunkach mrówek. To była chyba jedyna stacja telewizyjna na świecie, do której wchodziło się przez kuchnię, później przez bar i charakterystycznie dla aktorów. [...] Kiedy szło się po schodach na górę, mijało się studio i słynną »reżyserkę«, do której można się było dostać tylko po żelaznej drabinie. Studio było wielkości trzech pokoiów z kuchnią, z ręcznie robionymi przez polskich inżynierów kamerami i reflektorami wiszącymi tuż nad głową aktora” [32].

Praktycznie wszystkie programy emitowano na żywo, nie dysponowano bowiem jeszcze sprzętem do rejestracji obrazu. W takiej sytuacji nie mogło oczywiście zabraknąć różnego rodzaju pomyłek, które sprawiały obsłudze i widzom wiele uciechy. Bohaterką jednej z nich była Irena Dziedzic.

„Było to w czasach – opowiadał Igor Śmiałowski – kiedy jako młodziutka dziennikarka rozpoczynała swoją karierę w warszawskiej TV w charakterze spikerki.

Otóż kiedyś, nie wiedząc, do której kamery ma się zwrócić, z całą szczerością spytała:

– No, chłopaki, który mnie bierze pierwszy?

A to było już na wizji!”[33].

Z czasem wprowadzono zasadę, że zanim przywrócono ład i porządek po jakiejś poważniejszej gafie, na ekranie pojawiała się tablica z napisem „przepraszamy za usterki”...

Niemal od samego początku funkcjonowania TVP jednym z najważniejszych jej programów był Teatr Telewizji. Spektakle emitowane w poniedziałkowe wieczory okazały się skuteczną próbą przeniesienia na ekran autentycznej atmosfery teatralnej. Starannie dobrany repertuar (choć zdarzały się też sztuki o radzieckich partyzantach), ciekawe inscenizacje, znakomita gra aktorska. To musiało przynieść sukces.

„Wszystko szło wtedy »na żywo« – opowiadał Jerzy Gruza. – W studiu nie większym od M3 powstawały wielkie inscenizacje literatury światowej. Co poniedziałek premiera! [...] Fenomen w skali światowej. Czegoś takiego nie było i nie ma”[34].

Po każdym spektaklu oczekiwano na reakcję publiczności. Największą rolę odgrywały telefony od widzów, którzy z reguły dzwonili na gorąco, jeszcze pod wpływem emocji.

„W któryś wtorek – kontynuował Gruza – zapytałem Hanuszkiewicza po jego premierze:

– Jakie miałeś reakcje?

– Fenomenalne, dziesiątki niemych telefonów.

– ?

– Ludzie ze wzruszenia nie mogli mówić”[35].

Równie ważna, a nawet ważniejsza była reakcja władz. Partyjni decydenci podejrzliwie obserwowali repertuar Teatru Telewizji i natychmiast interweniowali, gdy uznali, że zaprezentowano coś niestosownego. Tak było w przypadku *Asfaltowej drogi* Kazimierza Korcellego, czyli sztuki o tym, jak z powodu kaprysu partyjnego ministra budowano szosę na plażę. Na domiar złego do obejrzenia spektaklu namówiono samego Władysława Gomułkę, co źle się skończyło.

„Reżyserował Tadeusz A. [Aleksandrowicz] – relacjonował Gruza – ja grałem operatora kroniki filmowej. Główną rolę sekretarki ministra [grała] aktorka w skąpym kostiumie kąpielowym, o największych chyba piersiach w Polsce. Rzecz działa się głównie na plaży.

Nie wiadomo, czy te cyce, czy sam fakt pokazania naszego ludowego ministra, który zużywa reglamentowany cement dla osobistej wygody, tak rozeźlił pierwszego sekretarza, że walnął z całej siły szklanką herbaty w kineskop telewizora, który, jak to się wówczas często zdarzało, mógł wybuchnąć i spowodować śmiertelne zejście Pierwszego Telewidza.

Na szczęście nic takiego się nie stało, bo byśmy wszyscy siedzieli. Gomułka złapał za czerwony telefon, opierdolił Sokorskiego, Korcellego, a Tadeusz A. dostał

zakaz czegoś tam...”[36].

Niestety nie był to ostatni przypadek szczególnej irytacji Zofii i Władysława Gomułków z powodu pojawienia się na małym ekranie aktorki z dużym biustem... Występy Jędrusik jeszcze wielokrotnie będą wywoływać ich nerwowe reakcje.

Teatr Telewizji odegrał ogromną rolę w karierze Kaliny. Największy sukces odniosła w inscenizacji sztuki Jeana Giraudoux *Apollo z Bellac*, gdzie partnerowała Adamowi Hanuszkiewiczowi i Jackowi Woszczerowiczowi. Udźwignęła ciężar roli, prezentując typ nowoczesnej dziewczyny bardzo odległej od ówczesnych oczekiwań partyjnych decydentów.

„Na ekranie telewizyjnym – pisał krytyk Henryk Bieniewski – pojawiała się dziewczyna w obcisłej, uwydatniającej pełny biust bluzce, wąska w pasie, gładko uczesana, z włosami związanymi w koński ogon, jak nosiły się w owym czasie modne dziewczyny, naśladując francuską aktorkę Brigitte Bardot. Agnieszka poruszała się lekko, zwiewnie i takie też były ruchy jej rąk. Na początku niepewna, wystraszona, w miarę osiągniętych sukcesów – coraz bardziej zdecydowana. Operowała głosem wysokim, dźwięcznym, z lirycznym zaśpiewem”[37].

Przedstawienie było triumfem, wobec czego w 1961 roku nagrano je w tej samej obsadzie. Dodzisiaj jest najstarszą zachowaną inscenizacja Teatru Telewizji, zaliczaną zresztą do pierwszej setki najlepszych spektakli, jakie ukazały się pod szyldem tej instytucji.

Nie byłoby jednak tego sukcesu, gdyby nie Dygat. To jego kontakty zadecydowały o rolach Jędrusik, bo przy okazji w ciągu dwóch lat zagrała również w trzech przedstawieniach zrealizowanych na podstawie jego prozy. We wszystkich partnerowała Gustawowi Holoubkowi, a jako aktor lub reżyser pojawiał się tam również Andrzej Łapicki. Obaj panowie byli najbliższymi przyjaciółmi Dygata, stałymi bywalcami stolika w kawiarni Czytelnika i członkami wpływowej grupy nazywanej księstwem warszawskim. Inna sprawa, że gdyby Kalina nie miała talentu, to nawet zabiegi Dygata nie przyniosłyby skutku.

Udanej karierze telewizyjnej towarzyszyła umiejętna promocja w czasopiśmie. Twarz Kaliny pojawiała się na okładkach „Ekranu”, „Filmu” albo popularnej wówczas „Panoramy Północy”. Jej zdjęcia zamieszczała również codzienna prasa, a były to na ogół bardzo udane prace, które powiększały zainteresowanie osobą aktorki. Kalina stanowiła zresztą wdzięczny obiekt dla fotografów.

„Niezwykle fotogeniczna – wspominała Zofia Nasierowska. – Światło pięknie układało się na jej twarzy... Przez te wszystkie lata robiłam jej setki zdjęć. Każdy portret był inny, bo Kalina zmieniała się bardzo w zależności od kostiumu, makijażu, fryzury. [...] Kiedyś ustawiłam ostre światło na jej twarz. I mówię: »Kalinka, jesteś na gorącej plaży, świeci na ciebie ogromne słońce, jesteś szczęśliwa, rozmarzona myślą o mężczyźnie i tym słońcem...«. I na jej twarzy zobaczyłam, że ona rzeczywiście jest na tej plaży i myśli o ukochanym...”[38].

Jednak największą popularność przyniosły jej występy w Kabarecie Starszych Panów, który błyskawicznie uzyskał status dzieła kultowego. Jego twórcy, Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski, planowali stworzyć elitarne widowisko, które miało „rozśmieszać nawet Stanisława Dygata”. Nie było to zadanie łatwe, ale jego efekty zaskoczyły nawet samych twórców. Pomimo bowiem nieregularnej emisji (w latach 1958-1966 powstało łącznie 16 programów) kabaret cieszył się powszechnym zainteresowaniem widzów i na stałe zagościł w świadomości Polaków.

„To wielka, cudowna przygoda – wspominał Mieczysław Czechowicz. – Tyle rozkoszy, tyle zabawy, tyle przyjemności, ile nam, wykonawcom, sprawiał Kabaret, tego się właściwie nie da opisać. Na czym to polegało? Chyba na bardzo dobrym zestawie ludzi i przede wszystkim na dwóch Starszych Panach. Udało się stworzyć specjalny gatunek humoru. To taki piękny humor-żart, niezwykle szlachetny i ładnie mówiący o człowieku. Żart szalenie humanitarny, bo nawet najwięksi zbroje okazują się w rezultacie jednostkami dobrodusznymi”[39].

Był to humor ludzi dobrze wychowanych, humor kojarzący się z epoką II Rzeczypospolitej. Starsi Panowie nie ukrywali zresztą, że Kabaret powstał z „tęsknoty za elegancją”, dlatego też ich nieodzownymi atrybutami były cylindry, żakiety i sztuczne spodnie. Był to bowiem strój pośredni pomiędzy „wizytowym a balowym”, używany „przy takich okazjach, jak śluby czy eleganckie wyścigi”. Do tamtych czasów nawiązywał nie tylko ubiór głównych bohaterów programu, ale również język, jakim posługiwano się przed kamerą. Ta ostentacyjnie inteligentna rozrywka nie mogła się podobać partyjnym decydentom, jednak władze nie interweniowały. Wprawdzie opowiadano, że Gomułka dostawał furii, widząc Starszych Panów, ale podobno nawet on uważał, że potrzebny jest odpowiedni „wentyl bezpieczeństwa”. Znamy epoki podejrzewają zresztą, że niechęć pierwszego sekretarza była wyłącznie legendą, gdyż jego tryb życia raczej wykluczał oglądanie programu. Towarzysz Wiesław pojawiał się bowiem w domu o godzinie 19.30, podczas kolacji oglądał wraz z żoną *Dziennik Telewizyjny*, po czym udawał się na spoczynek.

„I tu mamy problem – zauważył Jerzy Eisler – bo Starszych Panów nadawano późno, dopiero po 22.30. A Gomułka dość wcześnie chodził spać, wiemy to z licznych relacji. Denerwowało to na przykład Chruszczowa. Kiedy po polowaniu w ośrodku rządowym w Łańsku Chruszczow chciał posiedzieć do nocy przy wódce, Gomułka się zmywał. »Towarzyszu Wiesławie, napijcie się jeszcze«. »Dziękuję, ale dokumenty muszę przeczytać, węgiel policzyć«. Jest więc możliwość, że Gomułka nigdy do Starszych Panów nie dotrwał”[40].

Inna sprawa, że twórcy Kabaretu unikali wszelkich politycznych podtekstów i cenzura nie miała wiele roboty przy akceptacji kolejnych programów. Przyborę i Wasowskiego interesował inteligentki humor w dobrym stylu, program miał być chwilą oderwania od szarej, komunistycznej rzeczywistości.

„Nie było poza »mękami twórczymi« żadnych przeszkód – potwierdzał Jeremi Przybora. – Nikt nam niczego nie utrudniał, nie rzucał kłód pod nogi, nie zazdrościł w sposób widoczny czy skuteczny, nie narzucał żadnych ograniczeń. [...] Moglibyśmy częściej dawać premiery, ale tyle nam wyznaczały nasze »moce twórcze«”[41].



O powodzeniu Starszych Panów zadecydował znakomity program i staranny dobór wykonawców. Przez scenę Kabaretu przewinęła się elita polskich aktorów komediowych tamtych lat, a Wasowski i Przybora „potrafili doskonale rozpoznać umiejętności każdego z zespołu” i zawsze „pisali pod konkretną osobę”. Wychodzili z założenia, że gdy ktoś nie może wystąpić (pierwsze audycje prezentowano na żywo), to nikt nie ma prawa go zastępować.

Kalina pojawiła się w czwartym programie Kabaretu. Przybora miał okazję już wcześniej ją poznać i orientował się w jej możliwościach aktorskich. O angażu zadecydowały jednak osobiste walory Jędrusik oraz jej umiejętności wokalne.

„[...] doszliśmy do wniosku – opowiadał Przybora – że właściwie dobrze by było zaangażować jakąś dziewczynę stale śpiewającą liryczne albo żartobliwie-liryczne piosenki. Chcieliśmy, aby wprowadziła przewijający się stale wątek liryczny. Dawałby on odpoczynek od tej »kanonady żartów«, a może trafniej byłoby powiedzieć – odwracałaby uwagę od nieustannego wysiłku autora, żeby być dowcipnym”[42].

Kalina zadebiutowała jako Kaloryferia, czyli dziewczyna wyłaniająca się ze zbędnego żebra grzejnika. Nie ograniczała się zresztą do „wątku lirycznego”, bo na scenie Kabaretu właściwie po raz pierwszy pokazała się jako zmysłowa piosenkarka, potrafiąca doprowadzić do wrzenia męską część widowni. Jednak u Starszych Panów nigdy nie przekraczała granic dobrego smaku, gdyż Wasowski i Przybora dbali o jakość swojego programu.

„[Była to] zamierzona półgroteska, groteska liryczna – uważała Agnieszka Osiecka. – Bo kto Kalinie naprawdę pomógł stworzyć pełen uroku i dowcipu symbol seksu... Wyłącznie Przybora i Wasowski, którzy pisząc dla niej piosenki o dużej zawartości erotyzmu i pikanterii, jednocześnie cały czas trzymali ją za rękę, żeby jednak poruszała się po obszarach, gdzie bardzo ważny jest dobry smak, wdzięk i dowcip. Kruche, delikatne, wspaniałe kreacje. Przybora i Wasowski to była jedyna para czarowników, którzy potrafili z Kaliny wykrzesać – bo to w niej było – jakiś delikatnie zmysłowy i tajemniczy czar”[43].

Przygoda ze Starszymi Panami obfitowała jednak w różne incydenty, albowiem Jędrusik „jako aktorka była nie do okiełzania i żaden reżyser nie mógł sobie z nią poradzić”. W efekcie Przybora nie dawał jej „tekstowych okazji do stawiania na swoim”, o co zresztą nie miała pretensji. Była natomiast niezwykle zazdrosna o pisane dla niej piosenki i inne aktorki bały się je śpiewać. Jędrusik bowiem „w słowie była ostra” i „straszliwie się wyrażała o nielicznych piosenkarkach, które odważyły się zaśpiewać piosenkę z jej repertuaru”. I wbrew pozorom miała duże możliwości odegrania się na konkurentkach.

Kalina nie byłaby sobą, gdyby nie ozdabiała realizacji programów swoim specyficznym humorem. Podczas jednego z nich miała zaśpiewać piosenkę *Już kłpiesz się nie dla mnie*, a Jeremi Przybora miał ją podglądać przez dziurkę od klucza. Jędrusik postanowiła zażartować sobie z niego i rzeczywiście rozebrała się w łazience do naga. Żart się jednak nie udał: dziurka była jedynie atrapą, natomiast przypadkowym świadkiem striptizu stał się telewizyjny elektryk, który poruszony widokiem spadł z drabiny. Później okazało się również, że nagą Kalinę obejrzała sobie z góry cała

obsada reżyserki. Podobno aktorka osłaniała miejsca wstydlive dłońmi, ale – jak ktoś słusznie i z satysfakcją zauważył – „ona miała bardzo drobne dłonie”...

## FILM

Nieco gorzej rozwijała się w tym czasie jej kariera filmowa. Co prawda regularnie pojawiała się na ekranie, ale nie dostawała tak poważnych ról, o jakich zapewne marzyła. W 1960 roku zagrała epizod młodej dziennikarki w *Niewinnych czarodziejach* Andrzeja Wajdy, potem przyszły poważniejsze propozycje. W *Jak być kochaną* dostała rolę u boku Zbigniewa Cybulskiego, w *Upale*, czyli nieudanej próbie przeniesienia Kabaretu Starszych Panów na wielki ekran, zagrała Zuzannę, aż wreszcie w 1967 roku pojawiła się w *Jowicie*, będącej adaptacją powieści jej męża (*Disneyland*). Jędrusik wcieliła się tam w rolę żony trenera, którego grał Zbigniew Cybulski (był to jego przedostatni film), a w jednej ze scen miała całować się z głównym bohaterem kreowanym przez Daniela Olbrychskiego. Pan Daniel „przyznał się Kalinie, że choć to już jego czwarty film, pierwszy raz będzie się całował przed kamerą”. Ta z uśmiechem odparła, że tego debiutu nigdy nie zapomni. I słowa dotrzymała.

Dwa lata wcześniej, w filmie *Lekarstwo na miłość* zrealizowanym na podstawie powieści Joanny Chmielewskiej, jedyny raz pojawiła się na ekranie prawie nago. Prawie, bo jej wdzięki szczelnie zakrywała wypełniająca wannę piana. I to było chyba jej najodważniejszym dokonaniem w tej dziedzinie, bo nigdy nie zdecydowała się rozebrać przed kamerą. Na planie tego filmu pojawiła się w zastępstwie Elżbiety Czyżewskiej, która w tym czasie przeżywała poważne problemy osobiste związane z rozstaniem z Jerzym Skolimowskim.

„Pierwotnie przewidziana była Czyżewska, pasująca doskonale i już chyba nawet ugadana – potwierdzała autorka powieści – cieszyłam się z niej bardzo, ale nastąpiło nieszczęście. Otóż pani Czyżewska zapadła podobno przedtem na komplikacje uczuciowe podobnego rodzaju, spotkał ją cios na tle doznań osobistych, jeśli się nie mylę, z góry ją na wszelki wypadek bardzo przepraszam, ale tak mnie poinformowano. Przeżyła to ciężko i wpadła w depresję tak porządną, że na jakiś czas wyłączyła się z pracy zawodowej, a już nietaktem szczytowym byłaby propozycja przyjęcia roli, której zasadniczym elementem jest klęska sercowa. Odpadła zdecydowanie ku mojej rozpacz i w ostatniej chwili. Termin kręcenia był już ustalony, wszystkie inne aktorki zajęte, ani jednej wolnej, dno i mogiła. I w tym właśnie momencie z Włoch wracała Kalina Jędrusik, jeszcze niezaangażowana z racji nieobecności w kraju. Batory chwycił ją w drapieżne szpony, zdaje się, że czekał na lotnisku i wyrwał swój ratunek prosto z samolotu”[44].

Mimo to Kalina uważała, że nigdy nie dostała szansy na właściwą dla siebie główną rolę. Jedyna taka próba, film Janusza Morgensterna *Jutro premiera*, zebrał umiarkowane recenzje i szybko został zapomniany. Następnym propozycji nie było, toteż rok później zdesperowana Kalina pisała do męża:

„W ogóle to już mam naprawdę dosyć tego mojego życia. Ciągłe na jakimś marginesie, na wygnaniu z cygańskim obozem. Co to w ogóle znaczy? Czytam teraz z nudów nasze wszystkie czasopisma, gdzie bez przerwy zdjęcia i wiadomości na temat tej całej zgrai moich koleżanek, często amaterek, i tych wszystkich skurwysynów, naszych przyjaciół. [...] Zastanów się, jakim sposobem, ile dla takiej koszarnej nogi Majki [Wachowiak – S.K.] potrafi załatwić Gucio [Holoubek – S.K.]. Właściwie nie życzyłabym sobie niczego więcej, jak być w jej sytuacji zawodowej – kręci film za filmem, gra świetną rolę u jego boku w teatrze, w telewizji będzie grać u Gruzy i Gucia bez przerwy, razem z Guciem będzie śpiewać u Kydryńskiego piosenki. Jak to się dzieje? Takie zero, taka rozdeptana żaba, nie aktorka. Czyżewska kręci podobno w 5-ciu filmach równocześnie 5 głównych ról, a scenarzyści piszą dla niej już na rok 1970 wspaniałe role. Żona Antczaka [Jadwiga Barańska], jak wiesz, nie wychodzi z telewizji, a on niedługo zacznie kręcić filmy tylko dla niej i tylko z nią. Andrzej Łapicki, który niedawno wyrwał się do życia, lawiruje pomiędzy Beatą [Tyszkiewicz – S.K.] a Czyżewską, wspaniałymi partnerkami-dupami”[45].

Z perspektywy czasu jej najważniejszą rolę wydaje się postać Lucy Zuckerowej w *Ziemi obiecanej* Andrzeja Wajdy. Reżyser namawiał ją, aby rozebrała się przed kamerą, Jędrusik jednak odmówiła, tłumacząc, że nigdy tego nie robiła i teraz też nie zmieni zdania. A była ku temu doskonała okazja, bo scenariusz zawierał dwie sceny zbliżenia seksualnego z Danielem Olbrychskim.

„Tę słynniejszą, w pociągu, Andrzej Wajda wyciął, przygotowując odnowioną wersję filmu – wspominał Olbrychski. – Kalina zagrała w niej niezwykle odważnie. Dla mnie jednak drastyczniejsza była scena w karocy. Kalina daje mi w niej depeszę przeznaczoną dla jej męża, z której wynika, że ceny bawełny pójdą w górę, a ja dzięki tej wiedzy będę mógł zbić fortunę. Otwieram dach od karety i krzyczę na całą Łódź, że to triumf. Przeczytawszy o tym w scenariuszu jakieś trzy miesiące przed zdjęciami, uświadomiłem sobie, że ręce będę miał zajęte depeszą, a Kalina siedząca naprzeciwko mnie w pewnym momencie zanurkuje w dół. Będę grał radość z depeszy i z tego, co ona robi mi pod kadrem”[46].

Olbrychski nie byłby sobą, gdyby nie postanowił zażartować z partnerki. W Danii kupił paczkę czarnych prezerwatyw (w Polsce kolorowe akcesoria erotyczne były niedostępne) i jedną z nich założył przed rozpoczęciem zdjęć.

„Już przy pierwszym dublu – kontynuował Olbrychski – przekonuję się, że miałem rację. Przy drugim dublu już się do mnie nie odzywa. Widzę, że jest speszona, choć pokrywa to aktorstwem. Przez następne dwa dni Kalina nie schodzi na śniadania w hotelu, ledwie odpowiada na moje »dzień dobry«. Myślę: »Cholera, strasznie ją czymś obraziłem«. W pewnym momencie podchodzi do mnie Kłosiński: »Kalina strasznie cię przeprasza. Nie wiem za co, ale mam ci powiedzieć, że czarne też jest piękne«” [47].

Kalina nie musiała się rozbierać, aby pokazać swoją zmysłowość. Scena w salonie pociągu, w której po seksie z Olbrychskim-Borowieckim, z potarganą fryzurą obżera się, pluje resztkami jedzenia i w tym samym czasie sięga do krocza kochanka, przeszła do historii polskiego kina. Przy okazji jednak ugruntowała złą sławę gwiazdy. Ostatecznie uznano ją za seksualną dewiantkę i zdarzało się, że „obrońcy moralności”



wymyślali jej na ulicy. Do dzisiaj zresztą nie brakuje ludzi uważających, że wówczas posunęła się za daleko i grała tak, że „krzesła się rumieniły”. Przy okazji zaszufelkowano ją już do końca kariery, toteż specjalnie się nie zdziwiła, gdy w połowie lat 80. dostała ofertę zagrania szefowej domu publicznego w *C.K. Dezerterach*.

„Propozycję Janusza Majewskiego uznałam za znak czasu – mówiła z rezygnacją – zaklasyfikowanie mnie przez los do grupy, kategorii osób, wśród których i tak na pewno bym się znalazła. Bo skoro karierę filmową rozpoczynałam od ról cichodajek, mewek, panienek niezbyt ciężkich obyczajów, to musiałam kiedyś zagrać też ich szefową, burdelmameę” [48].

## KSIĘSTWO WARSZAWSKIE

Narzekanie Kaliny na brak odpowiednich ofert ze świata filmu dziwi tym bardziej, że jej mąż należał do niezwykle wpływowej grupy mającej wiele do powiedzenia przy obsadzaniu ról filmowych. Była to grupa 30–40 osób połączonych więzami towarzyskimi, dość hermetyczna i trudno dostępna dla osób z zewnątrz. Sam talent nie dawał jeszcze prawa, by znaleźć się w jej szeregach, a przyjezdnym, którzy nie znali miejscowych układów, szczególnie trudno było się do niej dostać.

Bolesnie przekonali się o tym Zbyszek Cybulski i Bogumił Kobiela, których talentów nigdy do końca nie wykorzystano. To właśnie Cybulski nazwał tę grupę „księstwem warszawskim”, uważając, że jej członkowie mogli zdecydować o czyjejś karierze albo upadku, o dobrych recenzjach lub kompletnej klapie. Siła „księstwa” była wręcz nieprawdopodobna.

„W SPATiF-ie niektórzy mieli swoje stałe stoliki – relacjonował Kazimierz Kutz. – Na przykład Dygat. Kelnerzy pilnowali, by o stałej porze stolik był wolny. Dygat zasiadał i się zaczynało. Przysiadywali się znajomi, zaczynała się rozmowa. Zawsze ciekawa, zawsze dowcipna. Tym ciekawsza, że to była rozmowa ludzi wolnych. My wiedzieliśmy, że jesteśmy szpiegowani, podsłuchiwani, więc niczego się nie baliśmy. To był ten sznyt. Wielu chciało się przysiąść, ale to nie było proste. Śmieszył mnie ten ceremoniał. Zawsze, gdy ktoś chciał się przysiąść, musiał zapytać – grzecznie, jakby wchodził do salonu. Dygat przyjmował albo odrzucał. Potrafił odrzucić bardzo brutalnie. [...] Wieczorami to już cały SPATiF był nasz. Przy każdym stoliku siedział ktoś z »księstwa«, ktoś znakomity. Zaczynały się wędrówki od stolika do stolika. Luźne pogawędki, zabawa” [49].

Aby uzyskać aprobatę księstwa, trzeba było „być dopuszczonym”. Uznanie mogły zapewnić tylko rzeczywiste osiągnięcia, „inaczej nie było mowy o zaproszeniu”.

Pomimo wszelkiego rodzaju opozycyjnych ciągot udziałowcami księstwa warszawskiego byli ludzie „skupieni wokół władzy, pieniędzy, wpływów, wszelakiego rozdawnictwa”. Była to oczywiście „struktura nieformalna”, rodzaj „koterii podejmującej przeróżne nieujawnione szerzej decyzje, w tym personalne”. I łatwo

można było z jej łask wypaść.

„[Całe to] towarzystwo brało czynny udział w życiu kulturalnym – kontynuował Kutz – czytało wszystko, oglądało wszystko i miało na ten temat określone zdanie. Jeśli ktoś się zeszmacił, wypuścił knota, był odstawiany”[50].

I chociaż w rzeczywistości księstwo warszawskie tworzyła niewielka grupa ludzi, to jednak odegrali oni ogromną rolę w artystyczno-intelektualnych dziejach PRL. Były to osoby, które „poiły się w tym samym miejscu, jadły w tym samym miejscu, spacerowały po tych samych ulicach”. Ludzie ci mieli ogromne, chociaż ukryte wpływy.

„[Rozmawiano] dużo i chętnie – tłumaczył Andrzej Żuławski – bo księstwo warszawskie to głównie czas i obszar rozmów. Myśmy z tych rozmów wszyscy wiedzieli, co w danym momencie pisze Tadzio Konwicky, co powiedział Słonimski, a co Wilhelm Mach. I ta grupka gadających intelektualistów, zwijających się w różnych meandrach komunistycznej rzeczywistości, rozpychających łokciami granice tego, co możliwe – dlaczego na to pozwolono, to inna rozmowa – okazała się miejscem niezmiernie ważnym. Księstwo warszawskie okazało się jednym z powodów, dla których polskość intelektualna się nie zgubiła. Powstała literatura, poezja, powstały Nagrody Nobla..., istniały kontakty pomiędzy księciem Giedroyciem, czyli Maisons-Laffitte, a księstwem warszawskim”[51].

Nie bez powodu przecież mówiono, że gdy księstwo warszawskie zechce kogoś zniszczyć, robi to bez większych problemów. Wystarczyło wygłosić parę negatywnych opinii w kawiarni Czytelnika czy w SPATiF-ie albo przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych ze znajomymi. Informacja szła w miasto i prowokowała odpowiednie skutki...

Było to środowisko zbliżone do towarzystwa zbierającego się regularnie przy słynnym stoliku w kawiarni Czytelnika. Najważniejszymi uczestnikami tych spotkań byli Dygat, Holoubek, Konwicky i Łapicki, jednak każdy z panów miał własne ulubienice, które z różnych względów lansował. I zapewne ta rywalizacja powodowała frustrację Jędrusik.

Aktorka sama również uwielbiała mieszać się w rozmaite intrygi towarzyskie. Opowiadano, że to właśnie ona jest odpowiedzialna za kolportowanie opinii swojego męża. Faktycznie, Kalina uwielbiała długie rozmowy telefoniczne z przyjaciółkami, podczas których relacjonowała poglądy Dygata i jego przyjaciół. A to wystarczało, by informacja poszła w miasto i zrobiła odpowiednie wrażenie.

„Dygat jest największą siłą destruktywną, z jaką się w życiu spotkałem – potwierdzał Tadeusz Konwicky. – Jego moc niszczycielską można zmierzyć tylko na megatony, jak bombę wodorową. [...] Oczywiście zna go większość z nas z wieczorów autorskich albo z telewizji. Zna go świat jako wytwornego pana o trochę nonszalanckim sposobie bycia. Zna go z wielkopańskich gestów, z czarującej autoironii, z gwałtownych, lecz niestety symulowanych porywów serca. Urobiła się więc w naszej pamięci sylwetka człowieka wielkoświatowego, człowieka nienagannych manier i gołębiej dobroci”[52].

Według Konwickiego Dygat był bezwzględny intrygantem, któremu słusznie należał się tytuł „potwora z Mokotowa”. Potrafił niemal każdego wprowadzić na parnas literacki, ewentualnie (w zależności od humoru) zniszczyć jego karierę. Dygat i jego

żona lubowali się bowiem w gierkach towarzyskich, a z ich zdaniem w Warszawie wyjątkowo się liczone.

„Dygat, żeby skuteczniej uprawiać swój proceder, siedzi stale w domu otoczony dla niepoznaki miłymi zwierzętami. Działa wyłącznie za pomocą telefonów. Wykorzystując sieć miejską, szerzy w przyjaciołach zwątpienie, wszczyna kunsztowne intrygi, doprowadza słabych do upadku. Nie ma osoby, która by pokazała się na firmamencie publicznym i nie stała się ofiarą praktyk Dygata”[53].

A jednak nie potrafił zrealizować filmowych aspiracji swojej żony, bo nawet w tak zgranym zespole decydentów, jakim było księstwo warszawskie, ścierały się różnego rodzaju koterie i interesy...

## GWALCICIEL IREDYŃSKI I HOMOSEKSUALIŚCI

Kalina była już uznaną gwiazdą, gdy zainteresowała się nią bliżej Służba Bezpieczeństwa. W archiwach Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się interesujące dokumenty dotyczące rzekomej próby gwałtu, którego sprawcami mieli być Ireneusz Iredyński i jego dwaj przyjaciele homoseksualiści.

Jędrusik rzeczywiście znała tego młodego literata (Iredyński miał wtedy 22 lata), który pisał dla niej teksty piosenek. Pewnego dnia umówili się, by porozmawiać o szczegółach dalszej współpracy.

„Spotkanie miało nastąpić w jednym z barów w pobliżu CDT – czytamy w notatce służbowej Milicji Obywatelskiej ze stycznia 1962 roku. – Około godziny 23.00 spotkali się w umówionym miejscu, ponieważ bar był zamknięty, Iredyński zaproponował jej pójście do mieszkania kolegi, które znajdowało się w tym samym budynku. Jędrusik wyraziła zgodę, po czym się tam udali”[54].

Na miejscu czekało już dwóch innych mężczyzn, z których jeden przedstawił się jako właściciel mieszkania. Początkowo panowała sympatyczna atmosfera, pojawiła się nawet jakaś dziewczyna, podając kawę i ciasteczka. Cała czwórka piła wódkę, przy czym Kalina czuła „dziwną ociężałość i bezwład”. Podejrzewała, że w alkoholu podano jej środki odurzające, ale nie odmawiała (!!!) następnych kolejek.

„W pewnym momencie zaproponowali jej zabawę w »butelkę«. Gdy nie wyraziła na to zgody, jeden z mężczyzn podszedł do niej z tyłu i rozerwał na niej sukienkę. W tym czasie pozostali rozebrali się do naga, namawiając do stworzenia »baletu«”[55].

Zainteresowania erotyczne znajomych Iredyńskiego okazały się zresztą dość szerokie, albowiem „między sobą ci mężczyźni ściskali się i całowali, będąc w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego”. Inspiratorem całej imprezy miał być Iredyński, on też rzekomo namawiał kompanów do gwałtu. Podobno siłą rozciągali nogi aktorki i przewracali ją na tapczan, ale ostatecznie nie udało się im zgwałcić Kaliny. A o czwartej rano aktorka ubrała się i wyszła.

Cała historia wygląda na wyjątkowo nieudolną prowokację Służby Bezpieczeństwa, a w zeznaniach Kaliny brakuje elementarnej logiki. Trzech młodych

mężczyzn przez kilka godzin miało szarpać się z odurzoną kobietą, aby ostatecznie jej nie zgwałcić? Warto również zwrócić uwagę na daty, bo Jędrusik opowiedziała o całej sprawie dopiero po upływie sześciu miesięcy, nie podając zresztą żadnego konkretnego adresu. Nie wymieniła również imion kompanów Iredeńskiego, a przecież trudno sobie wyobrazić, by ci „dwaj zboczeńcy” pili z Kaliną wódkę i wcale się jej nie przedstawili. A co najważniejsze, z dokumentów wynika, że to nie Jędrusik zgłosiła się na milicję, tylko została tam wezwana.

Służba Bezpieczeństwa od pewnego czasu przygotowywała prowokację przeciwko Iredeńskiemu i zeznania Kaliny były zapewne elementem działań operacyjnych. Funkcjonariusze SB mieli bowiem wiele możliwości nacisku na aktorkę – od zatrzymania paszportu dla niej i męża po zakaz emisji programów z jej udziałem w radiu i telewizji, zwłaszcza że Kalina nie miała przecież najlepszych notowań w kręgach partyjnych. Władze mogły również zakazać wznawiania książek Dygata, co oznaczałoby finansową katastrofę dla rodziny. Wydaje się zatem, że Kalinę zmuszono do złożenia fałszywych zeznań, ale zrobiła to w taki sposób, by uniemożliwić podjęcie śledztwa.

Trzy lata później SB była już znacznie lepiej przygotowana. Tym razem Iredeńskiemu podstawiono agentkę, a w pobliżu czekał patrol milicji. Niepokorny pisarz został skazany na trzy lata więzienia...



# Skandalistka epoki



## SALON PRZY ULICY JOLIOT-CURIE

Dyगत mógł być znakomitym przyjacielem i opiekunem Kaliny, ale nawet dla niej nie zamierzał zmieniać swoich upodobań. Nadal wykazywał się nieprawdopodobnym wręcz lenistwem, pisał niewiele i z dużą niechęcią. Przez 32 lata (od chwili premiery *Jeziora Bodeńskiego*) oficjalnie opublikował tylko pięć powieści, a do tego doszła jeszcze podobna liczba zbiorów opowiadań i felietonów. I chociaż na początku kariery literackiej próbował się jako dramaturg, to jednak później zupełnie porzucił ten gatunek. Pytany, czy zamierza coś jeszcze napisać dla sceny, gorliwie zaprzeczał i tłumaczył, że „życie jest dostatecznie trudne, by je sobie dodatkowo komplikować”, a na koniec oznajmiał, że „teatr go śmiertelnie nudzi”.

Zdecydowanie bardziej interesował się filmem, od zawsze będąc gorącym wielbicielem X muzy. Na podstawie jego scenariuszy nakręcono cztery obrazy (w tym dwie adaptacje jego prozy), a do dziewięciu kolejnych napisał dialogi. Nie przeszkadzało mu to oczywiście dojść „do wniosku, że nie bardzo się nadaje do pracy w filmie” i w ogóle „jego praca z kinematografią w sensie scenopisarstwa jest stratą czasu”.

Trudno stwierdzić, ile w tych opiniach było faktycznego przekonania, a ile poży znużonego intelektualisty. Nie zmienia to jednak faktu, że pan Stanisław raczej nie lubił się przepracowywać. Miało to oczywiście wpływ na jakość życia domowego, tym bardziej że małżonkowie zachowywali się tak, „jakby nie znali systemu monetarnego”. Wprawdzie Kalina „chałturzyła ostro”, jeżdżąc z występami „od Pucka po Żywiec”, ale to wszystko nie wystarczało. Na domiar złego chałtury nie zawsze należały do przyjemności, a prowincjonalna publiczność czasami potrafiła mocno ją zirytować.

„[...] za każdą aktorką lecą ludzie, szczury od małych dzieci po stare, spocone matki – tłumaczyła matce. – Bo Polska jest krajem chamów, hołoty i źle wychowanych ludzi. Polacy to normalna, chamska dzicz...”[56].

I dodawała, że właściwie nie powinna być zdziwiona takim zachowaniem, albowiem „inteligencja została wybita w powstaniach, w więzieniach i za stalinowskich czasów”, a pozostało „trochę hołoty, która się dorobiła”. I przyznawała, że robi to tylko ze względów finansowych, albowiem „kocha pieniądze”, chociaż „tak trudno je zarobić”.

Na szczęście nawet Dyगत potrafił się czasem zmobilizować, a wtedy pisał szybko i sprawnie, regularnie dostarczając materiał.

„Na początku lat 50. pisał dla chleba obyczajową powieść zamieszczaną w odcinkach na łamach wrocławskiej »Gazety Robotniczej« – opowiadał Tomasz



Zbigniew Zapert. – Dziesięć lat później – pod pseudonimem Anna Tarczyńska – publikował w »Przekroju« powieść *Ze zwierzeń młodej aktorki*. Była to sensacja towarzyska, bo utwór przedstawiał warszawskie środowisko artystyczne. W postaciach można się było doszukać podobieństwa m.in. do Leopolda Tyrmanda czy Krzysztofa Komedy. Trudniej było rozszyfrować panie, choć z fabuły wynikało, że bohaterkami są studentki i absolwentki stołecznej PWST, robiące karierę przez łóżko. Także jego. W tej kwestii korzystał ponoć z pomocy żony”[57].

W latach 60. warszawskie mieszkanie Dygatów przy ulicy Joliot-Curie stało się jednym z najpopularniejszych miejsc spotkań towarzyskich. Ściągała tam (codziennie!) niemal cała śmietanka artystyczna miasta, a Stanisław i Kalina prowadzili z gośćmi subtelną grę.

„[...] udawali – że nie chcą nikogo widzieć – opowiadała Agnieszka Osiecka. – Staś o szóstej wieczorem kładł się do łóżka z migreną, a Kalina obijała się w dezabilu po kuchni, udając, że nie ma nic do jedzenia oprócz wyschniętego makaronu. Przyjaciele, ze swojej strony, kłamali bezczelnie, że wcale się wieczorem do Dygatów nie wybierają. Niestety (stety) wszyscy wieczorem spotykali się na Mokotowie, wysiadali Stasiowi w nogach, plotkowali i godzinami oglądali telewizję. Staś oglądał wszystko – od piłki nożnej do dobranocki, i w rytmicznych odstępach czasu jęczał: »To potworne«. W ślad za nim pojękiwali goście”[58].

Kalina lubiła czasami gotować, szczególnie spaghetti, a Dygat „był żarłokiem, więc to pałaszował”. I chociaż „pochodził z eleganckiego domu” i nikt nie mógł mu zarzucić nieznajomości zasad *savoir-vivre*’u, to przy Joliot-Curie „niektóre potrawy jedzono palcami”, a często „jeden brał z talerza drugiego”.

„Ich małżeństwo było takie trochę teatralne – wspominała Agnieszka Osiecka. – Małpi gaj to był ten ich dom, trochę operetkowy. Od biedy można by go nazwać salonem. Mówię od biedy, bo oni nie robili wielkich wysiłków, żeby podawać wystawne kolacje [...]”[59].

Był to prawdziwy dom otwarty. Odwiedzały go zarówno tabuny zaprzyjaźnionych gości, jak i przypadkowo poznani ludzie, zaś Kazimierz Kutz na pewien czas po prostu z nimi zamieszkał. Dygatowie „przygarnęli go jak psa”, a on kwaterował tam, „dojrzewając w ich domu jak zielony pomidor na jesiennym parapecie”. Miał wówczas okazję blisko Dygatów poznać i do dzisiaj uważa ich za „najwspanialsze i najniezwyklesze małżeństwo, jakie znał”. Byli bowiem bardzo autentyczni „bez grama obłudy i kłamstwa; jak z dobrej literatury amerykańskiej, a nie z naszej rzeczywistości”.

Całość uzupełniały jeszcze tabuny zwierząt, do których oboje mieli ogromną słabość, a także dość intrygujący znajomi pana domu. Dygat przejawiał bowiem niezwykłą skłonność do zawierania najdziwniejszych znajomości.

„[...] wytropił na jakimś podwórku – opowiadał Kutz – chłopca w drucianych okularach, niewiarygodnie podobnego do Gomułki; zafascynowany tym faktem zaprosił go natychmiast do domu, przeszedł z nim na ty, nazywał »Sekretarzem« – co przyjęło się w całej dzielnicy – zaprowadził do Nasfetera [Janusza, reżysera filmów dla dzieci i młodzieży – S.K.] dla zrobienia kariery filmowej. Chłopak zagrał główną rolę w jego filmie, a potem przychodził dwa razy na tydzień do Dygata. Prowadzili między sobą

dyskusje, w tym również polityczne, chodził do sklepu po coca-colę i inkasował po złotówce od przyniesionej butelki. Taki bowiem postawił warunek wstępny i Dygat bez słowa na to przystał. I tak było ze wszystkim i z każdym”[60].

Pan Stanisław nie ograniczał swoich zainteresowań do intelektualnych dyskusji. Był wielbicielem sportu, przede wszystkim boksu i piłki nożnej, a dobry mecz potrafił porównać z inscenizacją dramatu Szekspira. W młodości sam boksował (pozostał mu po tym złamany nos) i grał w tenisa, a pierwsza wzmianka prasowa na jego temat pojawiła się na łamach „Przeglądu Sportowego”. Był z niej niezwykle dumny i powtarzał, że już nigdy żadna inna opinia nie sprawiła mu tyle przyjemności. Często gościł na meczach piłkarskich i bokserskich (z reguły z Holoubkiem i Konwickim), motyw sportu pojawiał się również w jego twórczości. Nie bez powodu główny bohater *Disneylandu*, Marek Arens, jest biegaczem nazywanym „kameleonem bieżni”.

W domu przy Joliot-Curie bywali pisarze, aktorzy, sportowcy. Trudno znaleźć wspomnienia ludzi z kręgów ówczesnej elity artystycznej, w których nie pojawiałoby się mieszkanie Dygatów. Stała bywalczyni lokalu, Agnieszka Osiecka, uwielbiała Kalinę, ale jej męża autentycznie się bała. Twierdziła, że z Jędrusik bez problemu może znaleźć wspólny język, natomiast nigdy nie chciała, aby Dygat stał się jej wrogiem.

„Kalina bowiem, która na scenie grała ekscentryczki seksualne, dziwaczki, wariatki i zakonnice – w życiu była dobrą, serdeczną koleżanką, wrażliwą i dyskretną jak może żadna inna. Dygat natomiast, który w swoich różowych, zielonych i niebieskich kajetach ział nieustającą sympatią, wyrozumiałością i mądrą tolerancją dla człowieka – w życiu był kapryśny, niesprawiedliwy i nieznośny. Bałam się go jak diabeł święconej wody, ponieważ uważałam go za mistrza intrygi towarzyskiej. Dwór Ludwika Piętnastego był stadem zgodnych owieczek w porównaniu z rojowiskiem wilków z tapczana Stanisława Dygata!”[61].

Podobno przez mieszkanie przewinęły się „dwie reprezentacje olimpijskie” (bokserów i lekkoatletów), co nie dla wszystkich okazało się dobrym znakiem. Tak przynajmniej twierdził Tadeusz Konwicki, a był on człowiekiem doskonale zorientowanym w sprawach swojego przyjaciela:

„Poznałem u Dygata pewnego rewelacyjnego sprintera. W kilka dni później na zagranicznym mityngu ten nieszczęśnik osiągnął na sto metrów czas gorszy od kobiet, a nawet od junierek. Innym razem zobaczyłem, jak na kanapach w salonie Dygata wyleguje się znakomity płotkarz z pucharem w ręku. W trzy dni później na poważnych zawodach przewrócił się razem z pierwszym płotkiem i zszedł chyba na zawsze z boiska”[62].

Destrukcyjny wpływ pisarza nie ograniczał się zresztą do sportowców. Kontakty z Dygatem miały w fatalny sposób odbijać się także na przedstawicielach literatury, a nawet na przypadkowych znajomych.

„Widywałem z Dygatem pewnego młodego poetę, który zapowiadał się jako polski Heine. Dziś ten Heine prowadzi nierentowny kiosk z piwem w Kopenhadze. Pewnej ślicznej dziewczynie Dygat posłał kwiaty z poetyckim bilecikiem. Nie wiem, co było po drodze, ale dziś ta dziewczyna jako paskudna baba frymarczy swym ciałem w dalekim egzotycznym mieście”[63].



Jednym ze stałych gości przy Joliot-Curie był także Władysław Komar, ale akurat jemu znajomość z Dygatami nie przeszkodziła w zdobyciu złotego medalu olimpijskiego. Wybitny kulomiot przejawiał bowiem ogromną odporność fizyczną i psychiczną, dzięki czemu mógł święcić triumfy pomimo wyczerpującego życia towarzyskiego, jakie prowadził...

## BIUST, KAPEĆ I BARBÓRKA

„Poznałem ją w latach 60. dzięki Agnieszce Osieckiej – wspominał Wojciech Młynarski. – Wtedy na festiwalu w Opolu śpiewała moją piosenkę *Z kim tak ci będzie źle jak ze mną*, zdobywając pierwszą nagrodę. Od początku byłem oczarowany jej osobowością i sposobem nawiązywania kontaktu z takim początkującym autorem jak ja. Powiedziała: »Młody człowieku, skąd pan tyle wie o kobiecie?«. [...] Kalina w interpretacji piosenki znacznie wyprzedzała swój czas, przez co nie zawsze ją rozumiano. Dla mnie i wielkiej grupy moich znajomych każda jej piosenka była ucztą”[64].

Zdecydowanymi przeciwnikami seksownych interpretacji Kaliny okazali się natomiast Władysław Gomułka i jego małżonka Zofia. Żona pierwszego sekretarza nabrała do niej niechęci podczas transmisji jakiegoś koncertu dla robotników, gdy Jędrusik miała na sobie suknię z ogromnym dekoltem, a na jej piersiach widoczny był krzyżyk. Gomułkowa interweniowała i dyrekcja telewizji poprosiła Kalinę, aby w przyszłości pokazywała się na wizji „przyzwoicie” ubrana. Następnym razem aktorka pojawiła się zapięta pod szyję, ale w pewnej chwili odwróciła się tyłem do kamery, zdjęła szal i pokazała dekolt sięgający pośladków.

Opowiadano, że gdy na wizji ukazywała się Jędrusik, pierwszy sekretarz rzucał w telewizor kapciem. Inni dodawali bardziej drastyczne szczegóły, bo zamiast kapcia towarzyszył Wiesław miał używać kałamarza albo popielniczki. Eleonora Syzdek, biografka wielu prominentnych postaci z czasów PRL, uważała to jednak za plotki:

„Nie mógł rzucać kapciami w telewizor (ani tym bardziej popielniczką czy kałamarzem), bo był człowiekiem oszczędnym. Jego oszczędność była wręcz legendarna. Niszczenie czegokolwiek, a zwłaszcza rzeczy cennej, jaką w tamtych czasach był telewizor, nie mieściło mu się w głowie. Zresztą on nie miał czasu na telewizję. To był wybitny człowiek, najbardziej pracowity spośród pierwszych sekretarzy. Czytał wszystkie dokumenty. Wystarczy prześledzić jego dzień pracy”[65].

Zdecydowanie protestował również syn Gomułki, Ryszard Strzelecki. Podawał przy tym bardzo logiczny i konkretny powód – jego ojciec był przecież kaleką i w ogóle nie nosił kapci, a w domu zakładał specjalne obuwie ortopedyczne.

Bezprecedensowym osiągnięciem Kaliny było to, że chyba taką samą niechęcią darzyli ją zarówno katolicy, jak i komuniści. Pruderia potrafi więc łączyć ludzi nawet o tak odmiennych światopoglądach. Inna sprawa, że Jędrusik rzeczywiście potrafiła prowokować. Wcale też nie musiała ubierać się wyzywająco, aby poruszyć męskie

zmysły. Podczas jej występów panowie dostawali prawdziwego amoku, a każdemu wydawało się, że aktorka śpiewa wyłącznie dla niego. Najgorętsze owacje zbierała jednak na początku koncertów, bo później do świadomości mężczyzn zaczynała docierać, że impreza się skończy, a żony pozostaną. Zdarzały się również próby demonstracji przeciwko popisom Jędrusik – pewna kobieta przyniosła na koncert specjalne gwizdki, aby zakłócić jej występ. Władze telewizji otrzymały także list podpisany przez 20 robotnic z Rybnika, w którym żądały one zakazu pokazywania Kaliny na ekranie, ponieważ gorszy ich mężów.

Przekazów na temat skandali telewizyjnych z udziałem Kaliny było tak wiele, że po latach trudno oddzielić prawdę od legendy. Podobno do kulminacji niechęci władz do artystki doszło po koncercie barbórkowym, na którym wystąpiła „cała ówczesna lista przebojów”, czyli: Helena Majdaniec, Irena Santor, Halina Kunicka, Krystyna Sienkiewicz, Jerzy Połomski, Wiesław Gołas i Bohdan Łazuka. Nagromadzenie gwiazd zapowiadało kłopoty dla organizatorów, tym bardziej że nie było mowy, aby „całe to towarzystwo przez dwa dni i dwie noce omijało hotelowy bar”. Wprawdzie do chwili wejścia na wizję obowiązywała całkowita prohibicja, ale zakaz ten pozostał jedynie w sferze pobożnych życzeń. Kalina nie była oczywiście wyjątkiem i pojawiła się na scenie mocno nietrzeźwa.

„[...] program był nadawany na żywo z miejsca szczególnego – wspominał reżyser Janusz Rzeszewski – bo z matecznika polskiej klasy robotniczej [...] i musiał szczęśliwie dobrnąć do końca: żadnych wpadek, żadnych pomyłek, żadnych potknięć. [...] W wozie transmisyjnym patrzyliśmy wszyscy w monitory w niemym milczeniu i modliliśmy się, każdy do swojego boga i każdy po swojemu, żeby Kalina dojechała do końca zwrotki czy refrenu wykonywanej piosenki, [...] zaś idąc na wprost odjeżdżającej kamery, żeby się nie wywaliła, bo wtedy byłaby już kompletna kompromitacja; wtedy mieliby prawo wszystkich nas rozstrzelać! Kalina dośpiewała, co miała dośpiewać – na szczęście pod playback, więc mieliśmy potem tę jedną jedyną szansę obrony przy późniejszym tłumaczeniu się: ale dykcję piosenkarka miała w porządku!”[66].

Nietrzeźwa Jędrusik zachowywała się jeszcze bardziej wyzywająco niż zwykle, a gdy weszła pomiędzy widownię, mężczyźni wręcz oszaleli. Zdesperowany Rzeszewski nakazał kamerzystom „najeżdżać na orkiestrę, na dyrygenta”, aby tylko „nie pokazywać Kaliny całej Polsce”. Faktycznie, program ten oglądały miliony widzów, były to przecież czasy jednego kanału telewizyjnego.

Nie na wiele się to wszystko zdało, bo dużo do życzenia pozostawiał już sam strój aktorki. Jędrusik tuż przed wejściem na scenę „podpruła nitkę w dekolcie, koło biustu manipulowała, szarpnęła i rozleciał się szew – i obnażyła piękne piersi”. A do tego „dosyć skąpo od góry była przykryta”, więc stało się to, co musiało się stać.

„Kto śpiewał następny, nie pamiętam, tego już nie pamiętam – kontynuował reżyser – w każdym razie gdy program się skończył i dobiegłem do garderoby, żeby Kalinę – nie wiem: udusić, rozszarpać, zarąbać, usłyszałem jej omdlewający głos:

– Widziałeś, jak ci górniczy na mnie patrzyli, jak mnie pożerali wzrokiem? A jacy byli przy tym pijani! Ale wiesz, to przecież Barbórka, ich święto, tego dnia mieli prawo...”[67].

Skandalem na koncercie zajęło się Biuro Polityczne, bo w czasach PRL-u podobne zachowania uchodziły za „obrazę socjalistycznej moralności”. Sprawę osobiście nagłośnił Zenon Kliszko, osoba numer dwa w państwie i partyjny „specjalista” od spraw kultury. Wprowadził ją do porządku obrad najbliższego posiedzenia, nazywając Kalinę „cycatą wywłoką, potykającą się o własny biust i błyskotki”. Prezes Radiokomiteu Włodzimierz Sokorski został wezwany przed oblicze Gomułki, a ten zalecił mu wyciągnięcie surowych konsekwencji wobec winnych. Sokorski okazał właściwą skruchę i obiecał zająć się sprawą.

„Ale prywatnie, kiedy nas ściągnął, żeby wszystkim dać opeer, wcale nie był taki groźny! To, że Kalina – taka ponętna, taka kobieca i do tego taka odważna, że sobie golnęła i weszła między ludzi, żeby im pośpiewać – to go wcale nie oburzyło. Sokorski był straszny babiarz, do takich skandali przykładał własną miarę. No, ale musiał, jak to się wtedy mówiło, dać odpór, więc mnie odsunął na jakiś czas od robienia programów, dyrektorowi ośrodka telewizyjnego w Katowicach polecał po premii, kierownika redakcji rozrywki zwolnił, dyrygenta orkiestry ochrzanił [...]. Kalinę zaś oczywiście kazał zdjąć z wizji na czas nieokreślony”[68].

Nie do końca było to prawdą, gdyż Jędrusik pozostała w zespole Kabaretu Starszych Panów, chociaż przed każdym nagraniem władze telewizji przysyłały specjalnego przedstawiciela, aby skontrolował strój aktorki. Ale legenda pozostała – przez lata opowiadano, że Kalina została usunięta z mediów za to, iż „pokazała biust Gomułce”.

„Skandalistka?! – dziwiła się Magdalena Zawadzka. – Nie ma nic gorszego niż oceny miernot i kołtunów. A to oni właśnie przypięli jej taką łatkę. Kalina była po prostu sobą. Osobowością wyrastającą ponad przeciętność. A dla polskiego kołtuna ktoś, kto jest inny, nie chcę mówić, czy lepszy, czy gorszy, ale inny, jest niebezpieczny! Bo polski kołtun zawsze chce, żeby ludzie stali niżej od niego. A jeśli ktoś wysforuje się ponad przeciętność, kołtun robi wszystko, żeby go ściągnąć do swojego poziomu. A Kalina się nie dawała. Miała odwagę żyć tak, jak chciała. Socjalizm i jego wyznawcy nie akceptowali takich barwnych postaci”[69].

Inna sprawa, że nie można do tamtych czasów przykładać dzisiejszych norm. Była to jednak (przynajmniej oficjalnie) bardzo pruderyjna epoka. Kalina wywoływała skandale, gdyż „epatowała trochę seksem, nie za dużo, a jednak to było bardzo źle przyjmowane”. Wywracała bowiem „socjalistyczny system wartości”, była inna, niż powinny być artystki akceptowane przez władze. Zresztą żadne środowisko nie lubi ludzi wyróżniających się i wychodzących przed szereg...

„Słyszałam, że jestem wulgarna – skarżyła się po latach – że odrzucam do tyłu głowę, że przymykam oczy, że rozchyłam usta, szepczę, dyszę, wiję się, wypinam biust. Byłam obrzydliwie nieprzyzwoita, powielalam jakiś nieprzyzwoity, zachodni styl gry. Bo polska aktorka musiała na ekranie zachowywać się moralnie i taktownie – wytrzeszczać oczy i zaciskać usta. A ja nie pasowałam do tego obrazu i byłam niepokorna, więc obcięto mi głowę i wyrzucono za burtę”[70].

Po latach wyolbrzymiła nieco tę sytuację, bo w rzeczywistości jej banicja z mediów trwała zaledwie kilka miesięcy. Jednakże, wchodząc w rolę polskiej Marilyn

Monroe, skazała się niemal wyłącznie na role charakterystyczne, a epatowanie seksem w socjalistycznej kinematografii pociągnęło za sobą funkcjonowanie na marginesie sztuki aktorskiej. Ale zapewne dzięki temu do dzisiaj przetrwała jej legenda.

## PROWOKACJE

Zachowane relacje zgodnie potwierdzają, że Kalina dla przyjaciół była niezwykle ciepłą, uczynną i przyjazną osobą. Uczciwie jednak zapracowała na opinię seksualnej dewiantki, z rozmysłem szokując otoczenie. W Chałupach potrafiła przyjść rano do sklepu w wyjątkowo kusym szlafroku (i bez majtek, co było widoczne), aby kupić kilka butelek szampana. Zaciekawionym klientom wyjaśniła z uśmiechem, że „przecież musi się w czymś wykapać”. Natomiast fotografka Zofia Nasierowska nigdy nie zapomniała sesji zdjęciowej w swoim rodzinnym domu:

„Kończymy tamten seans czy może zrobiliśmy przerwę, bo z kuchni dochodziły zapachy obiadu, który gotowała moja mama. Kalinka była wtedy szczupła jak osa, z biustem już niedługo słynnym i bioderkami, szalenie dumna ze swej figury, zresztą bardzo seksownej i fajnej. Wtedy była moda rozkloszowanych sukienek, spódnic noszonych na halkach; Kalinka była właśnie tak ubrana. [...]

Kiedy przyszłyśmy na obiad trochę spóźnione, przy stole siedzieli już rodzice, siostra i jakiś nasz kuzyn. Kalina głośno westchnęła:

– O kurwa, jak gorąco! – i powachlowała się z dołu do góry spódnicą i wszystkimi halkami. Ojcu łyżka wypadła z ręki, bo ona niczego pod spodem, pod tą sukienką nie miała!”[71].

Wulgarne słownictwo Kaliny stało się kiedyś przyczyną nieporozumienia przypominającego scenariusz komedii dla niezbyt wymagających widzów.

„W jednym z teatrów na próbie – opowiadał Gustaw Holoubek – Kalina Jędrusik paliła papierosa. Na scenie nie wolno palić papierosów. Zbliżył się strażak i powiedział:

– Proszę zgasić papierosa, bo tu nie wolno palić.

A Kalina jak Kalina – z wdziękiem odparła:

– Odpierdol się, strażaku.

I on strasznie się zamyślił, poszedł za kulisy i tam trwał jakiś czas. Potem nabrał powietrza, wrócił na scenę, ale tam już nie było Kaliny, tylko Basia Rylska. On jednak tego nie zauważył, bo oczy zaszły mu bielmem ze wściekłości, i krzyknął do Rylskiej:

– Ja też potrafię przeklinać, ty kurwo stara!

Kompletnie zdumiona Basia pobiegła do Edwarda Dziewońskiego, który był reżyserem spektaklu, i powiedziała mu, że strażak zwariował, bo ją wyzywał bez żadnego powodu. Dziewoński strasznie się zezłościł, poszedł do strażaka i powiedział:

– A pan jest chuj!

Przy czym strażak też był już inny”[72].

Oczywiście są i tacy, co twierdzą, że nie był to żaden teatr, tylko Sala Kongresowa, i nie Rylska, lecz Barbara Krafftówna. Ale meritum anegdoty się zgadza:

Kalina klęła, był papieros, dwóch strażaków i Edward Dziewoński.

Aktorka lubiła szokować, szczególnie nieznaną sobie bliżej osoby. W restauracjach z lubieżnym uśmiechem zamawiała kotlet de volaille, a na deser melbę, wiedząc, że jest to zestaw zarezerwowany dla prostytutek. Używała przy tym bardzo wulgarnego języka, co dodatkowo sugerowało jej powiązanie z najstarszym zawodem świata.

Jednak większość znajomych Kaliny nie widziała w jej wulgarnym słownictwie niczego złego. Twierdzono nawet, że gdy „mówiła »kurwa«, to było to słodkie, w takiej słodkiej wacie – jakby cukiernik dmuchał pianką na ptysia”. Niektórzy uważali, że Jędrusik była „biegła w posługiwaniu się »językiem Kutza« i »słownictwem Dejmka«, może nawet i lepsza w tej dziedzinie od swoich przyjaciół-mistrzów”. Aktorka przeklinała zresztą nawet podczas obrzędów religijnych.

„Spowiadaliśmy się u księdza Niewęgłowskiego – wspominał Daniel Olbrychski. – Ja z Zuzią [Zuzanną Łapicką-Olbrychską – S.K.] byliśmy rodzicami chrzestnymi syna Magdy Umer – Mateusza, a Kalina i Janusz Kondratiuk – chrzestnymi samej Magdy, której rodzice – ideowi komuniści – przedtem nie ochrzcili.

Spowiada się Kalina. W pewnym momencie dochodzi do nas podniesiony głos księdza Niewęgłowskiego. Zamarliśmy.

– Droga Kalinko – tłumaczy ksiądz – to wszystko nieważne. Najważniejsze, czy ty kiedykolwiek kogoś znienawidziłaś, bo prawdziwym grzechem jest nienawiść.

Po drugiej stronie konfesjonału cisza.

– Uhm – odzywa się w końcu Kalina – ale ja, proszę księdza, kilku ludzi tak, kurwa, nienawidzę, że...

Po spowiedzi podeszła do nas, oczy miała czerwone od płaczu. Rozgrzeszenie oczywiście dostała [...]”[73].

Jędrusik nie tylko ordynarnie przeklinała, ale nie miała też oporów przed opowiadaniem pikantnych szczegółów z życia innych osób. Potwierdzał to wspomniany specjalista od wulgaryzmów Kazimierz Kutz, który, mieszkając przez dłuższy czas u Dygatów, miał okazję do codziennych obserwacji:

„[...] miała fantastyczny dar prowokowania zdarzeń, oko sokoła i niebywałe poczucie humoru na własnym punkcie. I bezlitosna była wobec kobiet. Jej opowieści o koleżankach z solarium na Legii lub teatrów mogły najmocniejszego ściąć z nóg. Jej bezwzględność obserwacyjna i dosadność formy, której używała, nie niszczyły portretowanej, tylko stawiały w nowym świetle, które utrwalalo się na zawsze. Dlatego była niebezpieczna; niszczyła złudzenie o ludziach i romantyczną otoczkę płci pięknej”[74].

Kalina nie miała zwyczaju się hamować, a z wulgarnego słownictwa uczyniła swój znak rozpoznawczy. Nie zwracała uwagi na otoczenie, zawsze mówiła to, co jej na myśl przychodziło i nigdy nie dbała o konsekwencje. Inna sprawa, że zdarzało się jej być „wulgarną, ordynarną, a za chwilę liryczną i delikatną”. Ale był to liryzm właściwy wyłącznie dla niej, co kiedyś odczuły na własnej skórze organizatorki koncertu w pewnym prowincjonalnym miasteczku.

„Przyniosły stertę dokumentów do podpisania – wspominał pianista Włodzimierz



Korcz – Kalina podpisała jeden z wierzchu i oddała im ze słowami:

– Macie, odpierdolicie się.

Panie zamarły, ja się skuliłem ze wstydu i po prostu uciekłem. Ale za chwilę słyszę zza uchylonych drzwi, jak Kalina im peroruje:

– O co wam chodzi? O pierdolenie? Przecież nie ma nic piękniejszego na świecie”[75].

Stanisław Dygat również nie przebierał w słowach, w związku z czym konwersacje małżonków mogły narazić mniej odpornych słuchaczy na atak serca. Gdy Jędrusik, przygotowując się do roli pani Wąsowskiej w ekranizacji *Lalki*, pobierała lekcje konnej jazdy, zwierzyła się mężowi, że duże wrażenie zrobił na niej pewien rotmistrz, który był jej nauczycielem.

„Kiedyś wróciła wieczorem do domu – wspominał Jerzy Gruza. – Staś leżał na łóżku, a ona zaczęła mu pokazywać, jak ją ten rotmistrz instruuje:

– On mnie tak, to ja mu tak, on mi wtedy każe tak, to ja na to tak.

Staś słucha i w końcu mówi:

– Kalina, czy jesteś pewna, że on cię nie pierdolił?

– Pewna nie jestem, ale jazda konna jest czymś wspaniałym”[76].



# **Małżeństwo niepodobne do innych**



## OTWARTY ZWIĄZEK

**D**ygata powszechnie uważano za hipochondryka, wobec czego odgrażał się przyjaciółom, że na swoim nagrobku poleci wyryć napis: „A nie mówiłem, że źle się czuję?”. Jednak na początku lat 60. faktycznie zaczął mieć poważne problemy z sercem. Zawsze nosił przy sobie nitroglicerynę, nie mógł też zasnąć bez środków nasennych.

„Miał swoją zmore, czyli otaczającą go rzeczywistość – twierdził Kutz. – W boju o codzienne zerwanie z nią kładł się nie później niż o 23, nawet gdy w jego domu – na przez niego samego zorganizowanym przyjęciu – głośniej było niż na dyskotece”[77].

Jego stan okazał się na tyle poważny, że lekarze zasugerowali mu rezygnację z aktywności seksualnej. Dygat przyjął to ze stoickim spokojem i dał żonie całkowitą wolność w tej kwestii. Uznał, że ważniejszy jest związek emocjonalny dwojga ludzi niż więź erotyczna, a przy tym nie chciał, by żona rezygnowała z przyjemności życia. Przy okazji zorganizował również wystawne przyjęcie z powodu przejścia na „erotyczną emeryturę”.

„[...] wydał w swoich salonach uroczysty bankiet z okazji rozstania się z życiem erotycznym – wspominał Tadeusz Konwicki. – Przybyło dużo gości, a wśród nich wiele młodych, ładnych dziewcząt. Solenizant albo denat – nie wiem, jak go nazwać – był bardzo czarujący. Z ironiczną nostalgią rozlewał alkohol, przynosił wyszukane dania. Wszyscy okazywali mu delikatną troskę i czułość. Spełniano wiele wzruszających toastów.

Nie minął wszakże tydzień, gdy doniesiono mi, że Dygat znowu randkuje z pewną panienką. Głęboko poruszony tym faktem natychmiast zadzwoniłem.

– Stasiu, jak ci nie wstyd? Po takim uroczystym pożegnaniu.

– A bokserzy też żegnają się z ringiem, a później cichcem wracają”[78].

Wydaje się, że pan Stanisław nie mógł żyć bez flirtów, ale jednocześnie był typem uwodziciela, który nie musiał finalizować romansu. Znakomicie zaczynał, ale z reguły nie interesował go ciąg dalszy. I tak było przez wiele lat.

„Spotykam mego mistrza na ulicy – kontynuował Konwicki – kiedy z angielska wytworny, wypomadowany i wyjardlejony zdąża gdzieś z tajemniczym bukietkiem. Jest koniec marca 1968 roku.

– Dokąd to, Stasiu? – pytam pełen najgorszych przeczuc.

– A umówiłem się z Dorotą – rzecze mistrz bagatelnie.

– Stasiu, ile lat ma jej ojciec?

– A bo ja wiem. Może czterdzieści pięć, może czterdzieści sześć – w głosie



mistrza słysząc wyraźną niechęć.

– Stasiu, przecież dałeś słowo, że nie będziesz podrywać dziewcząt, których ojcowie są młodszy od ciebie”[79].

Niemniej jednak Kalina bywała czasami zazdrosna, więc gdy pewnego razu zobaczyła, że „Stasiowi podoba się jakaś aktorka”, to tak załatwiła sprawę, że „o tej skądinąd pięknej kobiecie” do dzisiaj mówi się jak „o jakiejś pokrace”[80].

Ich małżeństwo musiało być otwartym związkiem jeszcze przed „erotyczną emeryturą” Dygata, gdyż Kalinę (przy aprobacie jej męża) połączył gorący romans z Tadeuszem Plucińskim. Grała z nim w *Operze za trzy grosze*, a ich zażyłość była na tyle widoczna, iż wzbudziła zainteresowanie otoczenia. Uważano jednak, że skoro związek nie przeszkadzał im w pracy, a Dygat nie zwracał na to uwagi – w ogóle nie było żadnego problemu. Podobno zresztą Pluciński chodził w marynarkach Dygata, gdyż wtedy jeszcze nie miał własnych.

„Gdyby ona była panienką na poczcie przyklejającą znaczki – odpowiadał pisarz pytany o małżonkę – to być może nie byłyby jej potrzebne takie fascynacje. Kalina jest wielką aktorką i potrzebne jej są niezwykle, cudowne momenty. Ona kocha cudowne przeżywanie i proszę nie wtrącać się do naszego małżeństwa” [81].

Inni mężczyźni w życiu Kaliny zaczęli się pojawiać na większą skalę dopiero wtedy, gdy jej mąż „przeszedł na erotyczną emeryturę”. Partnerzy „legalnie” odwiedzali ją w domu, a pisarz na noc „zamykał drzwi do swojego pokoju na zamek yale”.

Kalina twierdziła, że miała najwyżej pięć romansów i to w dodatku z nikim znaczącym. Opowiadała, że nie sypiała „z reżyserami, dyrektorami czy innymi decydentami”, preferując „romantyczne historie z biednymi studentami”.

Nie było to jednak zgodne z prawdą, przez jej życie przewinęło się bowiem całkiem liczne grono mężczyzn. Lubiła przystojnych partnerów – wiadomo, że poza Plucińskim sypiała także z Władysławem Kowalskim (partnerował jej w *Pożegnaniach* w Teatrze Telewizji), operatorem Wiesławem Rutowiczem, tyczkarzem Włodzimierzem Sokołowskim i piosenkarzem Wojciechem Gąssowskim. Z tym ostatnim Dygat się zaprzyjaźnił, a muzyk całkowicie znalazł się pod jego urokiem.

„Uwielbiałem go – przyznaje Gąssowski. – Szybko znaleźliśmy wspólny język, ponieważ Staś, podobnie jak ja, był pasjonatem sportu i chodziliśmy razem na imprezy sportowe. Kiedy umarł, mocno odczułem jego brak. W dalszym ciągu mi go brakuje”[82].

Gdy Gąssowski remontował mieszkanie, pan Stanisław zaproponował mu przeprowadzkę do siebie. Niebawem za piosenkarzem pojawiła się jego żona, Małgorzata Potocka. Po latach przyznała, że „stanowili zgodny, przynajmniej przez jakiś czas, trójkąt”.

„Oni ciągle uprawiali coś, co można nazwać życiem w trójkę – wspominała Agnieszka Osiecka – bo Kalina ciągle miała jakiegoś adoratora cudownego. Potem ten adorator zakochał się w Stasiu. Pierwszy znany romans Kaliny to był do dziś atrakcyjny amant teatru Syrena. Kalina się w nim strasznie zakochała, on się w niej strasznie zakochał. Poleciała mu, żeby poszedł do Dygata i powiedział: Kocham pańską żonę, może mnie pan wyzwąć na pojedynek, będziemy się strzelać, i tak dalej w tym

guście. I ten biedny amant poszedł do Dygata i powiedział: Kocham pańską żonę. A Dygat zaczął z nim rozmawiać w sposób tak uroczy, że kompletnie go rozbroił i całe uczucie tego amanta zaczęło przechodzić na Dygata. Zaczął wyprowadzać psy na spacer i potem kompletnie był jego niewolnikiem” [83].

Do legendy przeszły słowa pisarza opowiadającego znajomym o swoim zaskoczeniu, gdy kiedyś wrócił wcześniej z podróży służbowej, „a Kalina spała zupełnie sama”. Dla niektórych jednak stosunki panujące u Dygatów były trudne do zaakceptowania.

„Pamiętam wizyty na Joliot-Curie – opowiadał Daniel Olbrychski. – Przeważnie z okazji meczów piłkarskich albo festiwalu w Opolu. Bywali tam Holoubek, Konwicki, przysłuchiwałem się ich rozmowom, to były dla mnie jakby wyższe studia. Przewijała się w tym wszystkim Kalina, wchodziła w jakimś szlafrocжку, popatrzyła trochę, gryząc jabłko. Potem wracała do drugiego pokoju spać z aktualnym narzeczonym. Ja, wychowany w purytańskich warunkach przez babcię i mamę, byłem zaszokowany” [84].

Zdarzało się również, że Jędrusik, wracając późno do domu, specjalnie rwała pończochy, aby Dygat myślał, że przychodzi z erotycznej eskapady. Często zdawała mu też relacje ze swoich przygód, a on pocieszał ją po świeżo zakończonych romansach. Tymczasem ona, podróżując z koncertami po Polsce, miała ich niemało.

„Staś czekał na jej powroty – twierdził Kazimierz Kutz – bo przywoziła niezwykle opowieści; choćby tę o jednym z gwiazdorów telewizyjnych, który usiłował ją zgwałcić w sleepingu i – jak się okazało – nie mając czym, zaczął przypinać coś sztucznego” [85].

Jedną z jej największych fascynacji był Włodzimierz Sokołowski, zwany przez przyjaciół Witkiem. Podobno całkiem straciła dla niego głowę i myślała o odejściu od męża. Tak przynajmniej twierdziła jej pasierbica, która ze zgrozą obserwowała postępowanie macochy:

„Witek był największą miłością, najbardziej absorbującą nas wszystkich i najtragiczniejszą. Ta miłość uspiła jej poczucie i tak już niezbyt zdrowego rozsądku. Po raz pierwszy, i do tego przy mnie, powiedziała ojcu, że chce się z nim rozejść i że go nienawidzi. Kupiła sobie nawet mieszkanie, gdzie przesiadywała samotnie, czekając na Witka, który uciekł po tej deklaracji dość szybko, a ona sama musiała skupić się i wrócić już na zawsze do jedynej osoby, który traktował ją z szacunkiem. Mojego ojca” [86].

Magda nigdy nie potrafiła zrozumieć, że dwoje ludzi może się wzajemnie kochać również bez seksu. W jej oczach macocha była uosobieniem całego zła tego świata, istotą brutalną, próżną i absolutnie niemoralną.

„Druga żona mojego ojca wprowadziła w nasze życie wulgarność, brak zasad i absolutną egoistyczną wolność, z jaką wcześniej nie miałam do czynienia. Była niszcząca, demoralizująca siłą, która zbrutalizowała i tak już wymęczone niedorosłymi rodzicami moje krótkie życie. Opowiadała przy mnie o swoim życiu erotycznym, często ze szczegółami, klęła, ośmieszała ojca, drwiła z niego. Czasami robiła to przy znajomych. Jej problemy sercowe były najczęstszym tematem w ich wspólnym domu. Kiedy się zakochiwała, rozpieszczała swoich kochanków do tego stopnia, że w końcu od

niej uciekali”[87].

Kalina faktycznie miała zwyczaj rozpieszczać swoich partnerów. W domowej lodówce zawsze przechowywała smakołyki, a na nich kartki z napisami: „Nie ruszajcie tego, to jest dla Kitusia, Wicia czy Pieseczka”. I była wręcz chorobliwie nadopiekuńcza.

„Stasio przygarniał adoratorów Kaliny, jak przygarnia się zięcia – wspominał Gustaw Holoubek. – Na własne oczy widziałem, jak ktoś siedział na kolanach Kaliny, która karmiła go podawaną na łyżeczce jajecznicą. Staś się temu z aprobatą przyglądał. Prawdopodobnie jego opinia decydowała o tym, czy Kalina kontynuowała związek. Jeżeli Staś kogoś nie aprobował, Kalina rezygnowała”[88].

Na co dzień rzeczywiście zadowalała się „biednymi studentami”. Ale miała też duże potrzeby erotyczne, co wraz z jej skłonnością do sprawowania kurateli nad partnerami bywało najczęstszą przyczyną końca romansu.

„Konsumowała – jeśli tak można powiedzieć – dwóch młodzieńców w skali rocznej li tylko dlatego, że nie wytrzymywali jej totalnych reżimów – potwierdzał Kutz. – Nie wypuszczała ich z rąk: otaczała całodobową opieką, gotowała dla nich i kąpała nawet. Przedobrzała w swej zachłanności i dobroci. I kiedy się w końcu od niej wyzwalali – niejako z »przejedzenia« zachłanną miłością Kaliny – odchodzili z wielką estymą do Dygata, którym na początku gardzili. A niektórzy z dozą miłością”[89].

Mimo że kochała przede wszystkim męża, bardzo przeżywała rozpad swoich kolejnych związków. Wpadała wówczas w głęboką depresję, ale wtedy do akcji wkraczał Stanisław i stawał się dla niej „aniołem stróżem, najlepszym pielęgniarzem i przyjacielem”. Realizował wszystkie jej kaprysy, zapożyczając się z reguły u swojego szwagra, Witolda Lutosławskiego. Kompozytor zresztą „potem dług odpuszczał”, a gdy Kalina dochodziła wreszcie do siebie, „wszystko zaczynało się od nowa”.

„Byłyśmy kiedyś, same dziewczyny, na takim spotkaniu, jak to kobiety sobie czasem urządzają – opowiadała Agnieszka Osiecka. – Nagle Kalina dzwoni do gospodyni i mówi: »Słuchaj, ja nie mogę przyjść, bo jestem tutaj, prawdę mówiąc, w łóżku, jest tak cudownie, jestem z chłopakiem«. Przecież normalnie nikt tego nie robi. Jak już się jest w alkowie z ukochanym człowiekiem, to raczej do nikogo się nie dzwoni. A ona miała potrzebę opowiedzenia tego nawet szerszemu gronu, bo po kolei prosiła nas do telefonu i mówiła: »Nie masz pojęcia, jak jest cudownie, świeci różowe światło, pijemy szampana«”[90].

Jako pani domu również nie uznawała za wskazane, by na czas pobytu gości zmieniać swoje erotyczne obyczaje. Często leżała w łóżku z aktualnym partnerem, nie przejmując się zupełnie otoczeniem. Dla stałych bywalców był to widok, do którego zdążyli się już przyzwyczaić, poza tym uznawano to za prywatną sprawę Dygatów.

„Drzwi były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę – relacjonowała Zuzanna Łapicka-Olbrychska. – Tłum kłębił się już w przedpokoju. Kalina leżała w łóżku, była goła, co było widać, gdy nogami podnosiła kołdrę. Obok niej często leżał jakiś młodzieniec. Goście siadali na tym łóżku”[91].

Stanisław Dygat zmarł na atak serca w styczniu 1978 roku. Śmierć męża, mentora i przyjaciela w jednej osobie, wywarła na Kalinie wstrząsające wrażenie. Zbliżyła się wtedy do Kościoła i potrafiła godzinami leżeć krzyżem przed ołtarzem. Nie unikała jednak kontaktów towarzyskich w dawnym stylu i w dalszym ciągu przyjmowała licznych gości w domu przy ulicy Kochowskiego na Żoliborzu, gdzie spędziła z Dygatem ostatnie lata jego życia.

„Tam nawet już po śmierci Stasia – opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska – też pojawiał się zestaw ludzi, którzy by się nigdy nie spotkali, gdyby nie Kalina. Ona nimi zarządzała, wносиła dania, robiła atmosferę, a ludzie gadali ze sobą. Byli tacy trochę przetrąceni, Kalina dawała im kopa energetycznego. Była jak włoska la mamma”[92].

W rocznicę śmierci męża zamawiała mszę za spokój jego duszy, po czym urządzała przyjęcie dla znajomych. Jedzono wtedy potrawy, które on lubił, pito również jego ulubione trunki. Ale przestrzegała nakazów kościelnych, w związku z czym nie chciała pożyczyc korkociągu Olbrychskiemu, który przyjechał do Juraty prosto ze strajku w Stoczni Gdańskiej i koniecznie chciał się napić wina. Nie chciała, bo Kościół ogłosił przecież sierpień miesiącem trzeźwości.

Czasami powracała jednak tamta dawna Kalina, co w pewnych sytuacjach przyjmowało humorystyczny obrót:

„Gdy w 1979 r. papież przyjechał do Polski, biegała na wszystkie msze – kontynuowała Łapicka. – Jej temperament nie wytrzymał jednak śpiewania pieśni religijnych. Na mszy na placu Zwycięstwa przy drugiej zwrotce »My chcemy Boga« zaczęła synkopować, ruszać biodrami, bić rytmicznie w dłonie. Obok niej stała Aleksandra Śląska i też kołysała biodrami. Jak Kalina znudziła się śpiewem, powiedziała: »Oleśka, idziemy«”[93].

Już po śmierci Dygata pojawił się w jej życiu ostatni mężczyzna. Był nim znacznie od niej młodszy Aleksander Jedynacki, muzyk z zespołu akompaniującego artystce. Związek ten trwał kilka lat, a Kalina próbowała nawet znaleźć żonę dla swojego partnera. Gdy romans zakończył się w 1985 roku, nie związała się już więcej z żadnym mężczyzną.

„Podobno powodzenie kobiety mierzy się ilością mężów – mówiła z nostalgią – ja miałam jednego wspaniałego... Przeżyłam też kilka niezwykłych romansów, które dziś wydają się nieważne. Nie chodzi o ilość, w jaką chcę mnie ubrać ludzie – ważna jest niezwykłość i intensywność przeżywania. Codziennosc zabija niezwykłość. I wielka miłość małżeńska w końcu przeradza się w miłość przyjacielską. Jeśli mąż po latach małżeństwa nie jest przyjacielem, to ta miłość – fascynująca, jak motyl – nie była prawdziwa. [...] Te moje i jego różne miłostki nigdy nie zmieniły naszej miłości, wzajemnego szacunku i zaufania. Wiedziałam, że zawsze mogę na niego liczyć. Kiedy potrzebowałam pomocy, był zawsze ze mną, i kiedy on potrzebował pomocy, byłam z nim”[94].

Zbliżenie do Kościoła nie było jednorazowym kaprysem Kaliny. Po śmierci męża faktycznie przeżyła wstrząs, a jednym z jego efektów były działania na rzecz internowanych w stanie wojennym. Dostarczała opozycjonistom paczki i nie było takich

barier, których nie potrafiłaby sforsować. Znakomicie wykorzystywała swoją popularność – była przecież żyjącą legendą.

„Pamiętam śmieszłą scenę – wspominała Ludwika Wujec – wzywa mnie oddziałowa i pyta:

– Gdzie to upoważnienie?

Ja nie wiem, o co chodzi.

– No, na prawo do odbioru kartek żywnościowych dla dziecka. I proszę się pospieszyć i szybko wypełnić, bo pani Kalina czeka!

A to Kalina Jędrusik jeździła do Olszynki i przekazywała paczki i takie polecenia. Jak wchodziła, to miała takie wejście wielkiej damy, one wszystkie padały po prostu plackiem – no coś takiego, sama Kalina Jędrusik przyszła! Więc jak Kalina kazała, to się trzeba spieszyć!”[95].

Kompletnie natomiast załamała się jej kariera telewizyjna i filmowa. Grała właściwie już tylko epizody, zamykała się w sobie, otoczona gromadą ulubionych zwierząt. Miała astmę, uczulenie na sierść mogło ją zabić, ale nie zwracała na to uwagi. Zwierzęta stały się bowiem treścią jej życia, mówiła nawet, że jest szczęśliwa, iż „Staś zabrał do siebie ich Żabcię” (ulubionego pekińczyka).

U schyłku życia z goryczą oceniała swoją karierę, uważając, że z różnych powodów nie dano jej wykorzystać wszystkich możliwości.

„W kinie polskim już wtedy panowały jakieś przedziwne kategorie, klasyfikacje; uważano, że skoro mam wspaniały biust i talię jak osa, skoro potrafię się poruszać, a mężczyźni się za mną oglądają, no to kim właściwie jestem? Kurwą, oczywiście. No to nią byłam – ale tylko na ekranie”[96].

Zmarła na atak astmy 7 sierpnia 1991 roku, pochowano ją u boku Dygata na Starych Powązkach w Warszawie.

## AWANTURA O SPADEK

Po jej śmierci wybuchła awantura o spadek. W ostatnich latach życia Kaliną opiekowała się Aleksandra Wierzbicka, pracownica WSS Społem. Pełniła u niej funkcję gosposi, była „opiekunką, pomocą, zaopatrzeniowcem”. Niedługo po pogrzebie pojawił się testament ustanawiający Wierzbicką jedyną jej spadkobierczynią. Problemem było to, że dokument nie został zalegalizowany przez notariusza, jednak jako jego świadkowie wystąpili: Anna Płoszaj-Dejmek, Mirosław Rossowski z Pagartu i dziennikarz Zbigniew Dziegiel.

Rodzina Kaliny (siostra i jej potomkowie) skierowali sprawę do sądu, ten jednak uznał ważność testamentu, stwierdzając również (na podstawie zeznań świadków) brak więzi rodzinnej pomiędzy Kaliną a siostrą i jej dziećmi.

Przyjaciele Kaliny podzielili się na dwa obozy. Część stanęła po stronie Wierzbickiej (Wojciech Gąssowski), a inni (Małgorzata Potocka) – po stronie rodziny. Teraz, po latach, Gąssowski przyznał się do błędu:



„Zebrała się wtedy grupa przyjaciół i była tylko jedna myśl: co ta biedna Ola teraz zrobi – wspominał piosenkarz. – Dziś z perspektywy czasu wiem, że to było nieporozumienie. Czuję wściekłość, że tak się stało. Byliśmy naiwni. I jest mi wstyd przed rodziną Kaliny”[97].

W 2000 roku Wierzbicka sprzedała dom artystki, tłumacząc, że musi spłacić córkę Dygata. Miała założyć fundację imienia Jędrusik, która jednak do dzisiaj nie powstała, a pamiątki po artystce trafiają na aukcje. Rodzina nie dostała nawet propozycji pierwokupu. W 2009 roku Wierzbicka zarejestrowała znak towarowy „Kalina Jędrusik”, dzięki czemu ma prawo czerpać profity, ilekroć nazwisko artystki pojawi się przy okazji edycji płyt, książek czy festiwali. I unika kontaktów z dziennikarzami.

„Testament nie wydaje mi się wiarygodny – anonimowo stwierdził jeden z przyjaciół Kaliny, do którego dotarła redakcja tygodnika »Wprost«. – Tego typu pragnień nigdy z ust Kaliny nie słyszałem. Ale wtedy rzeczywiście było tak: trzeba pomóc Oli. Zbieramy się i pomagamy”[98].

Kalina zawsze była łatwowierna, a jej przyjaciele w tym wypadku najwyraźniej wzięli z niej przykład. Cała ta sprawa bardzo pasuje do charakterów Kaliny i Stanisława – ludzi bardzo chimerycznych, kapryśnych, a jednocześnie życzliwych innym i na swój sposób naiwnych. Nie bez powodu Kazimierz Kutz mawiał, że dla ich „przyjaźni warto było się urodzić”.

„[...] ta otwartość czasami ją gubiła – wspominał Kalinę Wojciech Gąssowski. – Zdarzało się, że za dużo powiedziała. Potrafiła coś palnąć ni stąd, ni zowąd. I ludzi to trochę do niej zrażało. Ale nie tych, którzy mieli do siebie dystans czy poczucie humoru. Oni obracali to w żart, zwłaszcza jeśli znali Kalinę. Wiedzieli, że ona nikomu krzywdy nie chce zrobić. [...] Ona wszystko robiła z przymrużeniem oka. Miała niesamowite poczucie humoru. Trzeba ją było dobrze znać, żeby oceniać. Powierzchnowość to nie wszystko...”[99].





# Przypisy do cz. I

- 1 Za: K. Tomasik, *Seksbomby PRL*, e-book, Warszawa 2014.
- 2 Za: P. Gacek, *Kalina. Jestem, jaka jestem*, Warszawa 2010, s. 14.
- 3 Za: *ibidem*.
- 4 D. Michalski, *Kalina Jędrusik*, Warszawa 2010, s. 60.
- 5 Za: *ibidem*, s. 58.
- 6 Za: A. Klim, *Seks, sztuka i alkohol. Życie towarzyskie lat 60.*, Warszawa 2013, s. 41.
- 7 K. Kutz, *Portrety godziwe*, Kraków 2004, s. 69–70.
- 8 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 78.
- 9 K. Kutz, *op. cit.*, s. 48.
- 10 I. Szymańska, *Czego wtedy nie powiedziałam...*, „Polityka” 6/1978.
- 11 M. Dygat, *Rozstania*, Kraków 2001, s. 41–42.
- 12 *Ibidem*, s. 49.
- 13 *Ibidem*, s. 46.
- 14 E. Kurowski, *Moje życie ze Stanisławem Dygatem*, Toruń 2004, s. 90–91.
- 15 *Ibidem*, s. 57–58.
- 16 M. Dygat, *op. cit.*, s. 179.
- 17 *Ibidem*, s. 137.
- 18 *Ibidem*, s. 76.
- 19 *Ibidem*, s. 77.
- 20 Za: P. Gacek, *op. cit.*, s. 23.
- 21 Za: J. Szczerba, *Co ja Jezus Chrystus jestem?*, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html).
- 22 M. Dygat, *op. cit.*, s. 206–207.
- 23 *Ibidem*, s. 14.
- 24 *Ibidem*, s. 209.
- 25 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 77.
- 26 K. Kutz, *op. cit.*, s. 70.
- 27 Za: P. Gacek, *op. cit.*, s. 25.
- 28 Za: *ibidem*, s. 5.
- 29 Za: *ibidem*, s. 6.

- 30 Za: I. Czyńska, *Kalina Jędrusik-Dyगतowa. Sylwetki aktorów*, „Ekran” 14/1958.
- 31 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 127.
- 32 J. Gruza, *40 lat minęło jak jeden dzień*, Warszawa 1998, s. 8.
- 33 I. Śmiałowski, *Igor Śmiałowski opowiada*, Warszawa 1981, s. 38.
- 34 J. Gruza, *op. cit.*, s. 21.
- 35 *Ibidem*, s. 21.
- 36 *Ibidem*, s. 50.
- 37 H. Bieniewski, *Teatr Telewizji i jego artyści*, Warszawa 2009, s. 11–12.
- 38 Za: P. Gacek, *op. cit.*, s. 35.
- 39 Za: M. Wasowska, G. Wasowski, *Starsi panowie dwaj. Kompendium niewiedzy*, Kraków 2014, s. 225–226.
- 40 Za: G. Sroczyński, *Śledztwo w sprawie kapcia*, wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,5585434,Śledztwo\_w\_sprawie\_kapcia.html.
- 41 Za: M. Wasowska, G. Wasowski, *op. cit.*, s. 226.
- 42 Za: *ibidem*, s. 218.
- 43 Za: P. Gacek, *op. cit.*, s. 47.
- 44 J. Chmielewska, *Lekarstwo na miłość. Sfilmowane opowieści Joanny Chmielewskiej*, Warszawa 1994, s. 253–254.
- 45 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 239–240.
- 46 Za: J. Szczerba, *op. cit.*
- 47 Za: *ibidem*.
- 48 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 523.
- 49 Za: *Księstwo warszawskie*, rozmowa Tomasza Kwaśniewskiego z Kazimierzem Kutzem, „Gazeta Wyborcza”, 06.11.2003.
- 50 Za: *ibidem*.
- 51 *Żuławski: od nienawiści, poprzez rozpacz, plucie totalne, egzaltacje*, rozmowa Cezarego Michalskiego z Andrzejem Żuławskim, [krytykapolityczna.pl/Wywiady/Zulawski-Od-nienawisci-poprzez-rozpacz-plucie-totalne-egzaltacje/menu-id-77.html](http://krytykapolityczna.pl/Wywiady/Zulawski-Od-nienawisci-poprzez-rozpacz-plucie-totalne-egzaltacje/menu-id-77.html).
- 52 T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1976, s. 103–104.
- 53 *Ibidem*, s. 84.
- 54 IPN BU 0204/628.
- 55 *Ibidem*.
- 56 *Ibidem*.
- 57 T.Z. Zapert, *Salonowiec warszawski*, „Wprost” 5/2008.
- 58 A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985, s. 27.
- 59 A. Osiecka, *Laleczka i chłopiec*, „Polityka” 32/1999.
- 60 K. Kutz, *op. cit.*, s. 54.
- 61 A. Osiecka, *Szpetni...*, s. 27.

- 62 T. Konwicki, *op. cit.*, s. 103–104.
- 63 *Ibidem*, s. 104.
- 64 W. Młynarski, *Kalina znacznie wyprzedziła swój czas*, „Dziennik” 08.08.2006.
- 65 Za: G. Sroczyński, *op. cit.*
- 66 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 598.
- 67 Za: *ibidem*, s. 598.
- 68 Za: *ibidem*, s. 599.
- 69 Za: A. Szarłat, *Celebryci z tamtych lat. Prywatne życie wielkich gwiazd PRL-u*, e-book, Kraków 2014.
- 70 Za: *ibidem*.
- 71 Za: A. Osiecka, *Laleczka...*
- 72 Za: J. Szczerba, *op. cit.*
- 73 D. Olbrychski, *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992, s. 212–213.
- 74 K. Kutz, *op. cit.*, s. 71.
- 75 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 298.
- 76 J. Gruza, *40 lat minęło...*, s. 41–42.
- 77 K. Kutz, *op. cit.*, s. 42.
- 78 T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 2005, s. 98.
- 79 *Ibidem*, s. 96–97.
- 80 Za: J. Szczęsna, *Grottger by tego nie namalował*, „Gazeta Wyborcza” 7–8.02.1998.
- 81 Za: E. Padoł, *Damy PRL-u*, e-book, Warszawa 2015.
- 82 Za: A. Szarłat, *op. cit.*
- 83 Za: A. Osiecka, *Laleczka i...*
- 84 Za: J. Bielas, *Kalina Jędrusik. Pierwsza Madonna PRL-u*,  
[ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusik\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html).
- 85 K. Kutz, *op. cit.*, s. 71.
- 86 M. Dygat, *op. cit.*, s. 219.
- 87 *Ibidem*, s. 218.
- 88 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 309.
- 89 K. Kutz, *Klapy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999, s. 136.
- 90 A. Osiecka, *Laleczka i...*
- 91 Za: J. Bielas, *op. cit.*
- 92 *Ibidem*.
- 93 Za: J. Szczerba, *Co ja Jezus Chrystus jestem?*, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3).
- 94 Za: K. Tomasik, *op. cit.*
- 95 M. Sutowski, *Wujec. Związki przyjacielskie*, Warszawa 2013, s. 203.

96 Za: D. Michalski, *op. cit.*, s. 172.

97 K. Świerczyńska, *Awantura o Kalinę*, [wprost.pl/ar/314104/Awantura-o-Kaline/?pg=0](http://wprost.pl/ar/314104/Awantura-o-Kaline/?pg=0).

98 Za: *ibidem*.

99 Za: A. Szarłat, *op. cit.*

# Część II

## Elka





**„Elżbieta Czyżewska**

**to sierotka z kompleksem sroczki-szachrajki. Pochodziła z nizin społecznych i jak wiele osób o podobnej kondycji miała nieustanne kłopoty w odnajdywaniu się w życiu. Nic nie układało się jej w linii prostej. Atrakcyjna, utalentowana i zalotna. Bardzo lubiła być na pierwszym miejscu. I zanim gdzieś się pojawiła, miała gotowy pomysł, jak to osiągnąć”.**

*Kazimierz Kutz*



# Dziewczyna z Powiśla



**B**yła największą gwiazdą polskiego kina połowy lat 60. i ulubienicą męskiej części publiczności. Dziewczęta natomiast chętnie ją naśladowały, czesząc się i ubierając tak jak ona. Grała niemal w każdym kasowym filmie tego okresu, a jej życie prywatne budziło powszechne zainteresowanie. Będąc u szczytu kariery, wyjechała do USA, gdzie na dobrą sprawę już nigdy nie zaistniała jako aktorka. Nie chciała jednak wracać na stałe do kraju, bo to oznaczałoby przyznanie się do klęski. Tymczasem w słowniku Elżbiety Czyżewskiej słowo „klęska” w ogóle nie istniało...

## TRAUMA

Chyba żadna z gwiazd kina epoki PRL nie miała tak trudnej drogi do kariery jak ona. Pochodziła z niepełnej rodziny, jej ojciec zginął podczas wojny, natomiast matka popadła w alkoholizm. Była wprawdzie niezłą krawcową, ale nałóg i nadmierne upodobanie do mężczyzn spowodowały, że straciła swoją klientelę. Tuż po zakończeniu wojny rodzina Czyżewskich (Elżbieta miała jeszcze siostrę) zamieszkiwała w obskurnym budynku na warszawskim Powiślu.

„Kiedyś Ela zaprowadziła mnie do domu – wspominał Andrzej Łapicki. – »Chodź, pokażę ci, gdzie mieszka mama«. Mieszkała na Tamce, tam, gdzie teraz znajduje się muzeum Chopina. Wtedy stały tam przedwojenne niskie chałupki. Jak się otwierało drzwi, to od razu było się w środku pokoju. Na wprost wejścia była zielona kanapa, na której siedziała rozparta stara pani Czyżewska. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie. Zupełnie jakbym się przeniósł w XIX wiek. Carskie klimaty. Jej matka była ułomna. Miała jakiś problem z nogami, ale to nie przeszkadzało jej w szalonym powodzeniu u mężczyzn”[1].

Dom był całkowicie pozbawiony wygód, brakowało tam bieżącej wody, centralnego ogrzewania i kanalizacji. A na domiar złego, ze względu na upodobania matki, jej dzieci często nie miały zapewnionych podstawowych potrzeb.

„Babcia miała piękną twarz – opowiadała Magdalena Komorek, siostrzenica Elżbiety – przed wojną pozowała do reklamy pasty do zębów. Była też alkoholiczką i złą matką. Miała przerażające metody wychowawcze – jak jedna córka narozrabiała, lanie dostawała druga. Obie oddała do domu dziecka”[2].

Elżbieta w wieku dziewięciu lat trafiła do sierocińca i zapewne tym można

wytłumaczyć wiele cech jej charakteru. Zawsze czuła się odrzucona, potrzebowała ciągłej akceptacji i potwierdzenia własnej wartości. Była też przekonana, że może liczyć wyłącznie na siebie i nie za bardzo przejmowała się innymi. Nie miała zbyt wielu przyjaciółek, a kobiety wyczuwały w niej bezwzględną rywalkę.

„[...] była wychowanicą domu dziecka – tłumaczył w swoim oświadczeniu aktor Bogusz Bilewski – i jej droga do obecnych osiągnięć aktorskich była długa, bardzo trudna ze względu na kompleksy, jakie ma młoda dziewczyna wychowywana poza rodziną i pozbawiona ciepła domu rodzicielskiego”[3].

W sierocińcu przebywała do 15. roku życia, a następnie wraz siostrą wróciła do matki. Ten moment zadecydował o jej późniejszych losach, trafiła bowiem do Zespołu Pieśni i Tańca „Skolimów”, gdzie szybko zauważono jej talent. Rozpoczęła też naukę w liceum, w którym od razu stała się gwiazdą szkolnych akademii.

„Klasyczny niemal przypadek tzw. człowieka z lumpenproletariatu – mówiła o Czyżewskiej aktorka, Krystyna Stypułkowska – który mając wielkie ambicje, talent i brak skrupułów, w zawrotnym tempie robi karierę zawodową i towarzyską. [...] Zawsze była strasznie bezczelna, a z drugiej strony brak charakteru, można jej nagadać głupstw, a jeżeli wiedziała, że jej to zaszkodzi, przemilczała i udawała pokorną.

Ogromny tupet, chamstwo i zimna krew we wszystkim. Jeszcze w czasach gimnazjalnych powtarzała: »Z takimi nogami jak moje to wiadomo, że zrobię karierę«”[4].

Jednak Elżbieta doskonale wiedziała, że uroda, talent i przebojowość nie wystarczą do zrobienia kariery, toteż w szybkim tempie nadrabiała braki edukacyjne, pochłaniając wiele lektur o bardzo różnej tematyce. Podobno znajomi „co kilka dni widzieli ją z nową książką”.

## UPARCIE DO CELU

Bez problemów dostała się do warszawskiej PWST, gdzie szybko uznano ją za najzdolniejszą na roku. Szczególnie wielką sympatią darzyła ją Halina Mikołajska, której poparcie wiele wówczas znaczyło.

„Chciała, żeby wszyscy ją kochali – wspominał Kazimierz Kutz. – [...] Myślę, że dlatego może poszła do szkoły aktorskiej, że chciała pokazać światu swoją wartość, zaistnieć. Była naturalna, bez ograniczeń i hamulców. Miała w sobie szaleństwo. Dlatego tak dobrze nadawała się do aktorstwa. W tym zawodzie trzeba być wyzwolonym”[5].

Niektórzy postrzegali ją nieco inaczej. Agnieszka Osiecka, która przez lata blisko się z nią przyjaźniła, twierdziła, że zawsze „raziła ją jej proletariackość”, ale w zamian „podziwiała jej bezwzględność” w dążeniu do obranego celu[6].

Plebejskie pochodzenie Elżbiety zupełnie natomiast nie przeszkadzało Beacie Tyszkiewicz. Dziewczęta zaprzyjaźniły się podczas studiów i to właśnie Beata pomogła koleżance w trudnej sytuacji mieszkaniowej.

„Kiedy byłam u nich – wspominała Tyszkiewicz – zobaczyłam, że ona nie ma nie tylko swojego pokoju, ale nawet swojego kąta. Poszłam więc do prorektora Baczyńskiego, prosząc, aby w tak wyjątkowej sytuacji przyznał jej miejsce w »Dziekance« [stołeczny akademik szkół artystycznych – S.K.]. Udało się i od tej pory mieszkała razem ze mną w pokoju”[7].

Pani Beata zawsze miała dużo uznania dla swojej przyjaciółki. Podziwiała jej „czarujący uśmiech”, a także to, że była „szybka, żywa, złośliwa” i zawsze „coś w niej błyszczało”. Doceniała również jej urodę.

„Miała najpiękniejsze nogi, jakie w życiu widziałam, wliczając w to Marlenę Dietrich i różne inne sławy. Kiedyś kupiłam jej w Rembertowie piękne buty na obcasie, gdy włożyła je na nogi, to te buty wyglądały, jakby były stworzone specjalnie dla niej i jej nóg”[8].

Czyżewska zadebiutowała w filmie jeszcze podczas studiów. Na Mazurach, gdzie spędzała wakacje, Jan Łomnicki kręcił film krótkometrażowy i zaproponował jej niewielką rolę. Elżbieta skorzystała z oferty, jednak największe wrażenie zrobiła na asystencie reżysera, Stanisławie Barei, który niebawem obsadził ją w trzech swoich kolejnych filmach.

Podczas pobytu na Mazurach poznała Jerzego Rutowicza, z którym niebawem się zaręczyła. Doszła jednak do wniosku, że „inżynier to dla niej zbyt mało”, i porzuciła narzeczonego. Nigdy zresztą nie miała problemów ze zdobyciem nowego partnera, bo mężczyźni z reguły tracili dla niej rozum.

„[...] w niej jest coś tak drapieżnego i bezwzględного – twierdził niedoszły mąż – że się wszystkim mężczyznom podoba. Poznałem ją przypadkowo na Mazurach, szedłem przez las z Janem Łomnickim [...] i spotkaliśmy dziewczyny. Jedna z nich, ta najbrzydsza, na pytanie, co tu robi, odpowiedziała, że szuka męża, i tak od żartów doszliśmy do tego, że się w niej zakochałem”[9].

Duży wpływ na rozwój jej kariery miał kontakt ze słynnym STS-em, w którym została pierwszą wykonawczynią *Kochanków z ulicy Kamiennej*, co przyniosło jej niezwykłą popularność. Wprawdzie nie uchodziła za specjalnie utalentowaną wokalistkę, ale idealnie wpisywała się w obraz dziewczyny z STS-u: „mieszaniny kołchoźnicy, wampa, zetempówki, harcerki i opozycjonistki”.

„Wszyscy się w niej zakochaliśmy, bo była zjawiskiem niezwykłym – wspominała Agnieszka Osiecka. – Duża, pyzata buzia, włosy typu siano, odrobina piegów, uroda raczej proletariacka. Oblędny biust, który doprowadzał chłopców do szaleństwa, arystokratyczne dłonie i szalenie zgrabne nogi. Jej uśmiech – najcudowniejszy, jaki widziałam w życiu. Oblędny, czarujący, pełen radości i inteligencji, a także ironii względem otaczającej rzeczywistości”[10].

Kontakty z STS-em wywarły pewien niekorzystny wpływ na aktorstwo Czyżewskiej. Talentu Elżbiety nikt nie negował, ale wielu raziła jej skłonność do przerysowanej interpretacji oraz zbyt hałaśliwe zachowanie. Te wady stwarzały jednak wrażenie „swojskości” – Elę postrzegano jako kogoś bliskiego, jako dziewczynę z sąsiedztwa. Widzowie czuli, że jest jedną z nich.

„Ona wyrosła w STS-ie – wyjaśniał Andrzej Łapicki – i miała taki

charakterystyczny sposób mówienia, bardzo warszawski. Niektórzy nie lubili jej głosu, był trochę za wysoki. Ale w latach 60. wszystkie dziewczyny tak szczebiotały. Cały STS tak mówił”[11].

Łapicki przyznawał zresztą, że jej atutem były „nieprawdopodobny wdzięk” oraz naturalne zachowanie. Podczas gdy jej koleżanki „zasuwały heroiny”, Czyżewska grała zwykłą, przeciętną dziewczynę, którą można spotkać w biurze, kawiarni czy na spacerze. A to widzowie szczególnie wysoko cenili.

„Zapamiętałem – kontynuował Łapicki – jak graliśmy w sztuce *Don Juan, czyli miłość do geometrii* Maksa Frischa w Dramatycznym. Tam była taka scena, jak jemy zupę. To jest bardzo trudne dla aktora, łyżka jest w ogóle fatalnym narzędziem na scenie, więc ja starałem się jeść tę zupę najładniej, jak umiałem. A ona chlupała, machała rękami, wsadzała sobie do ust łyżkę bokiem. Mówię do niej: »Nieładnie. Co ty robisz?«. Ona: »Właśnie dlatego to robię, że to nieładnie«. I coś mnie wtedy tknęło, że może to ja nie mam racji, że może trzeba tak jak ona, bo to jest prawdziwe. Ela w graniu była prawdziwa”[12].

## CYBULSKI W SPÓDNICY

Już w latach studiów Elżbieta doskonale знаła swoją wartość, a gdy skończyła szkołę, od razu dostała propozycje od warszawskich scen teatralnych. Ostatecznie zdecydowała się na Teatr Dramatyczny, a jej rozmowa z dyrektorem Marianem Mellerem bardzo odbiegała od zwyczajowych rozmów kwalifikacyjnych. To młoda aktorka stawiała bowiem warunki i właściwie dostawała wszystko, czego zażądała.

„Czyżewska: No to jak, angażuje mnie pan czy nie? (nogi pokazuje do granic możliwości)

Meller: Angażuję.

Czyżewska: Tylko musi mi pan dać zobowiązanie, że będę grała to, co mi pan obieca, inaczej pójdę do Axera, bo Axer też mi proponuje i Teatr Polski. W ogóle mogę iść, gdzie chcę. Pan wie, że jestem bardzo zdolna”[13].

Obecny przy tym Konrad Swinarski powiedział później, że „takiej dozy nonszalancji i bezczelności dawno już nie widział”. Ale Elżbieta mogła sobie na to pozwolić, bo dobrze wiedziała, że nie brakuje takich, którzy chętnie dadzą jej angaż.

Do tego cechowała ją niezwykła pracowitość, związana z „opętaniem manią kariery”. Gotowa była pójść na każdy kompromis, aby tylko osiągnąć cel, a idąc do przodu, nie zwracała uwagi na koszty. Przy okazji nie ukrywała też swojej zazdrości wobec koleżanek, które odnosiły sukcesy i którym lepiej się powodziło.

„Kiedy zaczynała karierę Kępińska – opowiadała Krystyna Stypułkowska – [...] i lepiej się jej wiodło w pierwszych paru miesiącach, Czyżewska miała odwagę w towarzystwie (jak opowiadał Swinarski) głośno pomstować na Kępińską, mówiąc: »Ja jestem dużo zdolniejsza od tej cipy i ładniejsza, a ona gra wielkie role i biorą ją do filmu, ale ja i tak będę większa niż ona”[14].

Czyżewska nie miała skrupułów, bo dobrze wiedziała, że świat aktorski przypomina dżunglę, w której sukces odniosą tylko najbardziej bezwzględni. Nie miała za sobą poparcia rodziny, nie dysponowała też pieniędzmi i o wszystko musiała zadbać sama. Zapewne z tego właśnie powodu prawie w ogóle nie miała przyjaciółek, a w bliższych kontaktach pozostawała wyłącznie z Beatą Tyszkiewicz i Agnieszką Osiecką. Ale nawet Osiecka dawała jej czasami odczuć, że dzieli je pewien społeczny dystans.

„[...] sierotka z kompleksem sroczki-szachrajki – twierdził Kazimierz Kutz. – Pochodziła z nizin społecznych i jak wiele osób o podobnej kondycji miała nieustanne kłopoty w odnajdywaniu się w życiu. Nic nie układało się jej w linii prostej. Atrakcyjna, utalentowana i zalotna. Bardzo lubiła być na pierwszym miejscu. I zanim gdzieś się pojawiła, miała gotowy pomysł, jak to osiągnąć”[15].

Prawdziwą popularność przyniosła jej rola w *Mężu swojej żony* Stanisława Barei, a praca w tym filmie dostarczyła jej dodatkowej satysfakcji:

„Dzięki tej roli – wspominała Czyżewska – mogłam »zemścić się« na moim filmowym partnerze – Wiesławie Gołasie. Był on moim profesorem w szkole teatralnej, czyli panem i władcą i... postawił mi trójkę z szermierki. W filmie ja jestem tą, której jedno słowo może go zdruzgotać lub uszczęśliwić”[16].

W ciągu trzech lat zagrała w dziesięciu (!) filmach, a do tego doszło 18 (!) spektakli telewizyjnych. Miarą jej popularności było poprowadzenie sopockiego festiwalu w 1964 roku. Niektórzy uważali jednak, że nie była to najlepsza decyzja.

„Czyżewska popełniła, tak myślę, latem ubiegłego roku nie najbagatelniejszą gafę – pisał Ryszard Kosiński na łamach »Życia Literackiego«. – Wystąpiła jako konferansjer na festiwalu sopockim. To już nie o to chodzi, że robiła tę konferansjerkę nie najlepiej. Ostatecznie nie takie tuzy sceny mają złe dni. Rzecz w tym jednak, że świadomie przyjęta przez nią maniera infantylnej zapowiadaczki wzięta była za całą prawdę o Czyżewskiej”[17].

Festiwalowa wpadka nie przeszkodziła jej jednak w karierze, bo w tym samym roku zagrała w kolejnych sześciu filmach. Publiczność ją uwielbiała, a ona zawsze dawała z siebie wszystko. W *Domu bez okien* zagrała akrobatkę, przy czym większość scen na trapezie wykonała osobiście, budząc przerażenie u swoich kolegów z planu. Męska część widowni zachwyciła się natomiast jej rolą w komedii *Giuseppe w Warszawie*, gdzie zagrała zwariowaną (ale niezwykle seksowną) działaczkę podziemia. Partnerował jej Zbyszek Cybulski, a samą Czyżewską niebawem zaczęto uważać za jego żeński odpowiednik.

„Mówiło się, że Czyżewska to taki Cybulski w spódnicy – wspominał Władysław Kowalski. – Ona nie miała takiej roli jak Zbyszek w *Popiele i diamentach*, ale w życiu była jego kalką – to samo ostre tempo. Przyjmowała każdą propozycję, kierownicy produkcji ją sobie rano spod domu wyrwali, do którego pojedzie. »To może do mnie, to może do mnie!« – wołali”[18].

Pojawiała się również w poważniejszym repertuarze, zagrała w dramacie Kazimierza Kutza *Milczenie*, który reprezentował Polskę na festiwalu w Wenecji. Wzbudziła tam sensację swoją kreacją, gdyż na uroczyste przyjęcie założyła obcisłą,



czarną sukienkę z „odważnym dekoltem” i płaski, słomiany kapelusz z gałązką jesiennego głogu.

„Ten głóg i jej urzekający biust były najważniejsze – opowiadał Kutz. – W tłumie festiwalowych pań przemacerowanych złotem i diamentami Ela nosiła swój cepeliny kapelusik z wiązką głogów nad czołem jak najkosztowniejszy diadem. Oczywiście miała też piękną szyję. A kiedy rozeszło się, że głóg jest prawdziwy, podziw był powszechny. Panowie podchodzili do niej i dotykali go palcami, sprawdzali, czy rzeczywiście jest z natury. No i rajcowali się jej wdziękami”[19].

Ela chętnie eksponowała swoje walory, nie zwracając uwagi na fakt, że jej sukienka nie najlepiej nadaje się do spacerów po mieście – robiła wprawdzie duże wrażenie na otoczeniu, ale przysparzała nieoczekiwanych problemów.

„Była strasznie obcisła – wyjaśniał Kutz – zapinana od tyłu na suwak błyskawiczny, za każdym razem musiałem osobiście ją zapinać, bo sama przecież nie dałaby rady. Po projekcji filmu całą ekipą chodziliśmy od knajpy do knajpy, popijając grappę. [...] Nagle Ela szepce mi, że chce siusiu. A przecież miała na sobie tę obcisłą sukienkę. Zauważyłem jakiś kiosk, obok wąską szparę, gdzie można było załatwić potrzebę. Poszedłem razem z nią, rozpiąłem ją, po wszystkim zapiąłem. To było dość skomplikowane i trwało przeszło kwadrans. W tym czasie wszyscy musieli na nas czekać, strasznie wkurwieni, bo te polskie samce miały oczywiście ochotę na Elkę, ale nic nie mogli zrobić. Ja ją chronilem. Dlatego ze złości puszczono plotkę, że mieliśmy z Elką seksualną przygodę, mówiło się: »Kurwa, tego jeszcze nie było, żeby pojechać do Wenecji i pierdolić się za kioskiem«”[20].

Elżbieta cieszyła się w Wenecji tak dużym powodzeniem, że musiała zamienić się z Kutzem pokojami, by uniknąć wizyt wielbicieli. Przemieniło to ich pobyt w „szampańską komedię”, a reżyser przyznawał, że po festiwalu mógłby podjąć pracę w „nawet najbardziej skomplikowanej centrali telefonicznej”.

Największe uznanie widzów przyniosły jej wielkie przeboje tamtych lat. Zagrała między innymi w *Rękopisie znalezionym w Saragossie*, *Małżeństwie z rozsądku* i *Żonie dla Australijczyka*. Dochodziło do tego, że obsadę filmu zaczynało od niej, chociaż początkowo powtarzano, iż Elżbieta zbyt często pojawia się na ekranie. W końcu okazywało się jednak, że bez jej udziału nie sposób nakręcić kasowego obrazu.

„Przy omawianiu obsady do nowego filmu – relacjonował Bohdan Łazuka – padało zwykle stwierdzenie: »Tylko nie Czyżewska«, bo tak dużo grała. Po półgodzinnej dyskusji ekipa filmowa orzekała jednak: »Tylko Czyżewska. Dzwońcie do niej«. Była bezkonkurencyjna. W każdej produkcji zachowywała charakterystyczną dla siebie świeżość”[21].

## GWIAZDA

Czyżewska trafiła dokładnie w swój czas. Wprawdzie w rodzimej kinematografii triumfy nadal święciła tzw. szkoła polska, ale obok niej rozwijało się już kino typowo

rozrywkowe, a Elżbieta wyjątkowo dobrze czuła się w lekkim repertuarze. Widzowie lubili komedie, a władze traktowały ten nurt sztuki filmowej jako swoisty „wentyl bezpieczeństwa”. W efekcie nasz kraj zawsze uchodził „za najweselszy barak w całym obozie”.

Wraz z końcem epoki stalinizmu z okładek czasopism zniknęły dzielne traktorzystki i murarki, a dorastające dziewczęta znów mogły (oficjalnie!) marzyć o karierze aktorskiej. Tygodnik „Film” ogłosił konkurs „Piękne dziewczęta na ekrany!”, natomiast krakowski „Przekrój” zainicjował akcję „Dziewczyny z okładek trafiają na ekran”. Efekty przeszły najśmielsze oczekiwania. Zwycięzczyniami konkursu „Filmu” były Barbara Kwiatkowska i Ewa Wiśniewska, natomiast na okładce „Przekroju” pojawiła się maturzystka, Beata Tyszkiewicz. Dzięki temu zaczęły się ich błyskotliwe kariery.

Czyżewska nie musiała brać udziału w podobnych akcjach, bo na gwiazdę zapowiadała się już podczas studiów. Idealnie nadawała się też do roli idolki młodego pokolenia, gdyż ze swoją urodą i przebojowością mogła stanowić dla polskich dziewcząt atrakcyjny wzór do naśladowania.

„Miała ogromną charyzmę – przyznawał aktor Janusz Guttner. – Nieprawdopodobnie silna osobowość i talent. Ja to nazywałem »rtęciową inteligencją«. Błyskotliwa, cięta, z przyjemnością się jej słuchało. A jeszcze z większą oglądało”[22].

Czyżewskiej nie wystarczały jednak sukcesy w kinie typowo komercyjnym. Wprawdzie zapewniały popularność i godziwe honoraria, ale aktorka marzyła o większych wyzwaniach. Chciała pogodzić sukcesy w lekkim repertuarze z wybitnymi rolami filmowymi, w czym miał jej pomóc ówczesny partner życiowy, Jerzy Skolimowski.

## SKOLIM

Był jej rówieśnikiem i miał za sobą bogatą przeszłość. Zanim trafił do łódzkiej szkoły filmowej, zdążył być już elektrykiem w zespole Krzysztofa Komedy i bokserem w drużynie warszawskiej Sparty (stoczył ponad 20 regularnych walk). Wydał też dwa tomiki poetyckie, a po drodze studiował jeszcze historię kultury materialnej na Uniwersytecie Warszawskim. Nigdy jednak nie obronił pracy magisterskiej (o więźbach dachowych na Kurpiach), a w świecie filmu zaistniał, gdy został współautorem scenariusza do *Niewinnych czarodziei* (razem z Andrzejem Wajdą i Jerzym Andrzejewskim). Wtedy też poważnie zainteresował się kinematografią i zdał egzaminy do łódzkiej filmówki. Zrobił to zresztą bez większych emocji, gdyż w tym czasie bardziej absorbowała go praca nad scenariuszem do *Noża w wodzie* Romana Polańskiego.

Na drugim roku studiów wpadł na pomysł, który w przyszłości miał wzbudzić podziw środowiska filmowego. Skolimowski, jak każdy student wydziału reżyserskiego, był zobowiązany do przygotowania kilku filmów krótkometrażowych, on jednak

postanowił wykorzystać ich realizację w określonym celu.

„Owe krótkie filmy Skolimowskiego – pisał Zygmunt Kałużyński – budziły niejaki zaniepokojenie profesorów swoją bezładnością; ale student, jak wiadomo, uczy się, więc wolno mu robić rzeczy nieskładne. Tym więcej, że straty były minimalne, tyle co taśma kosztuje. We fragmentach tych Skolimowski występował sam jako główny aktor, zaś trzy różne role wykonywała Elżbieta Czyżewska po przyjaźni i bezpłatnie, zmieniając peruki i charakteryzację. Gdy Skolimowski skończył szkołę, okazało się, że wszystkie jego krótkometrażówki-wypracowania składają się na pełny film, który oglądaliśmy właśnie pod tytułem *Rysopis*”[23].

W efekcie Skolimowski był jedynym studentem filmówki, który opuszczał szkołę z gotowym pełnometrażowym filmem! Na podobny pomysł nie wpadł nawet Roman Polański, któremu przecież ciekawych pomysłów nigdy nie brakowało. *Rysopis* pojawił się w kinach jesienią 1965 roku.

„Zwykle budowano dekoracje w studiu na Marysinie – wspominał po latach Skolimowski – ale ja kazałem postawić dekoracje na placu Zwycięstwa koło szkoły. Chciałem mieć za szybą przejeżdżający tramwaj, samochody, prawdziwe życie. [...] Odkryłem tam, na placu Zwycięstwa, że aktorzy mogą zagrać lepiej lub gorzej, ale przejeżdżający tramwaj na pewno zrobi mi prawdę. To nadało styl. Myślałem już znaczeniami. [...] Słynna scena z naprawiaczami torów, wspaniały efekt świetlny pracującej spawarki. Bardzo nowatorska była to fotografia. Kolejne ćwiczonko operatorskie na użycie światła, ale nie tylko, bo dla mnie kolejna cegiełka”[24].

Nic zatem dziwnego, że pomimo swoich słabości Skolimowski był idolem dla młodszych kolegów. Marek Koterski chciał nawet powtórzyć jego pomysł ze złożeniem filmu z krótkometrażówek, ale przecież „nie mogło być drugiego Skolima”. Był on bowiem „zjawiskiem niepowtarzalnym”, człowiekiem „zupełnie niesamowitym, jeśli chodzi o siłę przebicia, czar osobisty i predyspozycje do zawodu”.

## WE DWOJE

Koledzy zazdrościli Jerzemu nie tylko talentu, ale również partnerki życiowej. Skolimowski i Czyżewska oficjalnie uchodzili za małżeństwo, w rzeczywistości jednak nigdy nie sformalizowali związku, choć mieszkali razem przez pięć lat.

„Pasowali do siebie, tylko stale się kłócili – uważał Andrzej Łapicki. – Elka nie była łatwa, zresztą on też nie. [...] Może po drodze każde z nich miało jakieś romanse, ale to nie wykraczało poza konwencjonalne, koleżeńskie układy. Dawniej w teatrze w ogóle panowała atmosfera romansowa. Teraz niestety teatr zrobił się jednopłciowy, patrzę na to z przerażeniem”[25].

Czyżewska była już gwiazdą, a on dopiero studentem szkoły filmowej. Ale Elżbieta doskonale wiedziała, że związała się z utalentowanym człowiekiem, który zrobi wielką karierę. I można podejrzewać, że traktowała ten związek jako inwestycję na przyszłość.

„[...] zaczęła mnie uczyć – opowiadała Elżbieta Kępińska – że trzeba mieć kochanka na stanowisku. Śpię z tym Skolimowskim – mówi – moja droga, bez chłopa nie da rady, ktoś musi za kobietą stać, tak to jest urządzone. Każda aktorka musi mieć swojego reżysera, inaczej zginie. On wprowadzie dopiero jest w szkole, ale reżyserem będzie. Ty śpisz z Kajtkiem [Kępińska była wtedy żoną aktora Władysława Kowalskiego – S.K.], no i co ci z tego. Trzeba wiedzieć, z kim spać”[26].

Zapewne to Skolimowski był osobą bardziej zaangażowaną w ten związek. Pan Jerzy przykładał ogromną wagę do prezencji Elżbiety, uważał zresztą, że aktorka zawsze musi dobrze wyglądać. Otoczenie twierdziło wręcz, że to właśnie on „stworzył” Czyżewską, i chyba rzeczywiście najlepsze role zagrała wtedy, gdy była w związku ze Skolimowskim.

„Kiedy gdzieś wychodzili – tłumaczył Wojciech Solarz – to mówił jej, jak powinna wyglądać, w co się ubrać, jakie buty, jakiego koloru. [...] Sam był człowiekiem niezwykle ambitnym, myślę, że też trochę na Elkę naciskał, żeby i ona parła do przodu. W domu ją jak gdyby reżyserował, przygotowywał do występów w życiu”[27].

Elżbieta obracała się w kręgach, które bardzo imponowały Jerzemu. To ona wciągnęła go do środowiska Studenckiego Teatru Satyryków, gdzie Skolimowski trafił nawet na scenę, bo w jednym z programów recytował swoje wiersze. Było to dla niego poważną nobilitacją.

„Zawsze przyjaźnił się z tymi, którzy zaszli wysoko – uważała aktorka Zofia Czerwińska. – I tak się potrafił ustawić, że to o niego trzeba było się starać. Ale jeśli chodzi o związek z Elą, to myślę, że ją kochał. Chociaż to nie była łatwa miłość, ciągle między nimi było napięcie. Co wieczór po przedstawieniu przychodzili na wódeczkę do SPATiF-u”[28].

Elżbieta nie dawała mu również odczuć, że osiągnęła lepszą niż on pozycję zawodową. Zarabiała stosunkowo duże pieniądze, a Skolimowski zawsze doceniał materialną stronę życia. Dlatego nie miał większych oporów przed przyjmowaniem od niej kosztownych prezentów. Jednym z nich był złoty wartburg 311 coupé, który zwracał na siebie powszechną uwagę. Na początku lat 60. prywatne samochody były w Polsce rzadkością, a dwudrzwiowy pojazd z NRD wywierał odpowiednie wrażenie.

Długo jednak tym samochodem się nie nacieszył, rozbił go bowiem na drzewie, podróżując z Andrzejem Kostenką do Łodzi. A jako że wtedy nie miał jeszcze prawa jazdy (!), przed zgłoszeniem wypadku... kupił odpowiedni dokument na bazarze! Były to przecież czasy, w których nie istniała jeszcze ewidencja komputerowa, dzięki czemu nikt nie zwrócił uwagi na fałszywe dokumenty pechowego kierowcy.

## PORZUCONY GENIUSZ

Czyżewska i Skolimowski mogli się często kłócić, ale pod wieloma względami jednak do siebie pasowali. Byli koszmarnymi bałaganiarzami, a ich mieszkanie wyglądało jak klasyczny lokal cyganerii artystycznej.

„Rzadko ktoś ich odwiedzał – opowiadał Wojciech Solarz – bo tam zawsze był okropny bałagan. Spali na materacach rozłożonych na podłodze, wszystkie rzeczy były porozrzucane. Zresztą w każdym mieszkaniu Skolimowskiego było podobnie, Ela też nie przywiązywała wagi do porządku”[29].

Elżbieta nie była jednak typem wiernej partnerki. Zdarzały się jej przygody z innymi mężczyznami, chociaż nie należała do „kobiet łatwych, które idą przespać się z kimś za prezent czy kolację”. Życie erotyczne traktowała „zawsze z odpowiednim wyrachowaniem”, uważając, że seks jest rodzajem inwestycji na przyszłość.

„Czasami wcale jednak nie kalkulowała – twierdził Janusz Guttner – i angażowała się emocjonalnie. Bardzo mocno. Z tego powodu zdarzały się jej kłopoty, gdyż miała w sobie jakąś żyłkę autodestrukcyjną”[30].

Na planie jednego z filmów nawiązała gorący romans z Andrzejem Łapickim. Splotło się to z kłótniami ze Skolimowskim, który podobno „nie wyrażał ochoty na zalegalizowanie związku” i stawał się „nieczuły na jej sukcesy”. Elżbieta wyprowadziła się od partnera, a jej romans z Łapickim trwał nadal.

„Ona jest jeszcze groźniejsza niż Beata Tyszkiewicz – żaliła się Zofia Chrzęszczewska-Łapicka – bo Beata bądź co bądź ma coś tam z drzewem genealogicznym, a ta proletariuszka zrobi, co będzie chciała, nie zawaha się przed żadną metodą. Żyła z Fordem, żyła z Kutzem, teraz sypia z moim Andrzejem. To bardzo dobrze robi w środowisku sypiać z modnymi mężczyznami”[31].

Jednakże ten romans Czyżewska potraktowała bardzo poważnie. Tymczasem Skolimowski nie zamierzał się poddać, więc po Warszawie krążyły najdziwniejsze plotki na temat jego reakcji na utratę partnerki. Powszechnie spodziewano się gwałtownego rozwoju wydarzeń.

„[...] Ela definitywnie postanowiła odejść od Skolima – relacjonował Kazimierz Kutz – miała ostry romans z A.Ł. [Andrzejem Łapickim] więc oddałem jej moją pustą garsonierę opodal STS-u, gdzie się zasyła. A Skolim latał z nożem po Warszawie i szukał żony. W końcu dopadł ją u Agnieszki Osieckiej i od niej mam taki przekaz: kiedy błąd Skolim z nożem w ręku stanął na progu, morderstwo zawisło w powietrzu. Nakazał jej natychmiast wrócić do domu. Kiedy ona heroicznie odmówiła, z jego ust popłynęły znamienne słowa: »Eeela, robisz największy błąd w żżżyciu..., gggeniusza się nie ppporzuca....”[32].

Skolimowski nigdy nie wybaczył Łapickiemu jego romansu z Elżbietą i kilka lat później zemścił się na rywalu w bardzo wyrafinowany sposób...



# Bilet na Zachód





## TOWARZYSKA LALECZKA

**C**zyżewska nie wróciła do Jerzego, chociaż jej romans z Łapickim dość szybko się skończył. Pan Andrzej miał bowiem zwyczaj zaraz po zamknięciu pracy nad filmem urywać nieformalne związki i powracać na łono rodziny. Podobno romansował z większością ładnych aktorek, które mu partnerowały, ale zawsze kończył przygodę wraz z ostatnim ujęciem kamery.

„Aktualnie nadskakuje jej Zygmunt Kałużyński – czytamy w notatce dla SB z kwietnia 1965 roku – od którego odeszło już kilka żon. W sprawach miłosnych ma komplikacje, trafiając na niewłaściwych partnerów. [...] Jest zarozumiała na punkcie swojej urody i lubi być adorowaną przez mężczyzn. Przez długi czas pokazywała się z Igozem Śmiałowskim oraz Edwardem Dziewońskim. Według niepotwierdzonych informacji z ludźmi tymi łączyły ją bliskie stosunki”[33].

Krajowe sukcesy zawodowe nie zaspokajały ambicji Elżbiety. Chciała spróbować swoich sił na Zachodzie, gdyż była przekonana, że jako aktorka poradzi sobie również za żelazną kurtyną. W rozmowach ze znajomymi powtarzała, że skoro w „w ciągu trzech lat stała się najbardziej znaną aktorką w Polsce i najbogatszą z młodych aktorek, to da sobie radę i w Hollywood”.

Zapewne również z tych powodów zaczęła się wtedy obracać w środowisku dyplomatów państw zachodnich. Często widywano ją w towarzystwie dwóch pracowników ambasady USA – sekretarza placówki Roberta De Vecchiego i attaché prasowego Philipa Arnolda. Trzeba przyznać, że specjalnie nie ukrywała zażyłości, jaka ich łączyła.

„W czasie pobytu w Warszawie studenckiego teatrzyku »Toto« z Gdańska – relacjonował kapitan SB, Tadeusz Galiński – spotkała Arnolda i De Vecchi na spektaklu w STS-ie. Ze względu na brak miejsc Amerykanie wzięli ją na kolana i tak przesiedziała cały wieczór [...]. Tłumaczyła im sztukę, gdyż ich znajomość języka polskiego nie pozwalała im zrozumieć sztuki kabaretowej”[34].

Podobno poznali się na premierze *Giuseppe w Warszawie* i szybko przypadli sobie do gustu. Nieraz bywali razem w stołecznych lokalach, podobno Elżbieta spędziła w ich towarzystwie noc, a De Vecchi „dostawał rumieńców, jak o niej mówił”.

„Czyżewska robi wrażenie kobiety prowadzącej bardzo swobodny tryb życia – kontynuował kapitan Galiński. – W sposób jak najbardziej naturalny mówiła o tym, że sypia u różnych swoich znajomych. Imponuje jej, że robi wrażenie na mężczyznach, a ci ją adorują. Uważa się za »towarzyską laleczkę«, którą różni znajomi zabierają na przyjęcia, cocktaile i różne tego rodzaju imprezy towarzyskie”[35].



W kręgu jej zainteresowań znajdował się również attaché prasowy ambasady brytyjskiej, Peter Hall. Anglik adorował Czyżewską, co sprawiało jej dużą przyjemność. Niewykluczone zresztą, że łączyło ich coś więcej niż tylko kontakty towarzyskie.

„Jest to jej zdaniem absolwent Uniwersytetu Oksfordzkiego – relacjonował Galiński – i najprawdopodobniej wywodzi się z rodziny arystokratycznej. Cechuje go wybitna znajomość problemów kultury, w tym polskiej. Zapoznała go przez Zygmunta Kałużyńskiego, z którym żyje w dobrej komitywie. Widziała się z nim kilkakrotnie, Peter Hall ma ją uczyć języka angielskiego [...] twierdzi, że uwielbia ją i podkochuje się w niej. Ubolewa, że nie może ożenić się w kraju akredytacji. Byłoby to dla niego końcem kariery dyplomatycznej. Zdaniem Czyżewskiej tego rodzaju ścisłe rygory są krzywdzące dla jednej, jak i dla drugiej strony”[36].

Stałym adoratorem Elżbiety był również Paul van Dessel, dyrektor Radia Flamandzkiego. Mieli okazję poznać się podczas Festiwalu w Sopocie w 1964 roku, gdzie van Dessel zasiadał w jury. Belg najwyraźniej stracił dla niej głowę, gdyż od czasu Sopotu „był w Polsce trzykrotnie” i „za każdym razem kilka dni spędził w Warszawie prywatnie, przebywając stale w towarzystwie Czyżewskiej”. Po stolicy szeptano, że ma poważne zamiary i planuje poprosić aktorkę o rękę.

Elżbieta doskonale wiedziała, że jeżeli chce myśleć o karierze zagranicznej, to musi mieć oparcie w mężczyźnie dobrze ulokowanym w tamtejszych realiach. Nie zamierzała rzucać wszystkiego, co dotychczas zdobyła, i skazywać się na niepewny los emigrantki. Zapewne dlatego spędzała dużo czasu w towarzystwie obcokrajowców, poszukując człowieka, który pomoże jej zdobyć właściwą pozycję w zachodnim świecie. I taki osobnik już wkrótce miał się w jej życiu pojawić.

## AMERYKANIN W WARSZAWIE

Był nim David Halberstam, akredytowany w Warszawie korespondent „The New York Timesa”. Uchodził wtedy za jednego z najlepszych amerykańskich dziennikarzy, a swoją pozycję zawdzięczał reportażom z Wietnamu, w których obnażał bezsens amerykańskiej interwencji. Jego działalność została doceniona w USA, gdzie otrzymał prestiżową George Polk Award, a za książkę *Tworzenie bagna* uhonorowano go Nagrodą Pulitzera. Z tego też powodu jako „postępowy dziennikarz” był osobą dobrze notowaną w krajach komunistycznych. Nie zwracano przy tym uwagi na to, że Amerykanin przybył nad Wisłę w ściśle określonym celu.

„Za artykułu o Wietnamie – pisano kilka miesięcy później w notatce dla SB – Halberstam odwołany został z Sajgonu i wpisany na specjalną listę Pentagonu (dziennikarze wpisani na tę listę odcięci są od informacji wojskowych, a oficerowie mają zakaz utrzymywania z nimi kontaktów) oraz stracił dobrą opinię wśród personelu Departamentu Stanu. Po odwołaniu z Wietnamu Halberstam zorientował się, że jego dalsza kariera dziennikarska zależy od szybkiej rehabilitacji. [...] Do Polski Halberstam przyjechał z zupełnie określonym zamiarem szybkiego »odrobienia grzechów«

wietnamskich”[37].

Halberstam był potomkiem emigrantów żydowskich z okolic Lwowa, ale przyjeżdżając do Polski, dysponował typowo amerykańską wiedzą na temat historii i geografii Europy. Z całym przekonaniem twierdził, że jego przodkowie pochodzili z Niemiec i dopiero na miejscu dowiedział się, że Lwów leżał na ziemiach polskich...

Więszym problemem okazały się jednak prozaiczne sprawy bytowe. Dla dobrze sytuowanego Amerykanina pobyt nad Wisłą wiązał się wtedy z licznymi kłopotami. Tutaj wszystko wyglądało inaczej niż w USA czy Europie Zachodniej.

„Na początku lat 60. – wspominała żona amerykańskiego dyplomaty, Helen Carey Davis – dla większości Amerykanów niemających rodzinnych powiązań z Polską Warszawa była mało znanym i mało ciekawym miastem, gdzieś za żelazną kurtyną. Polacy natomiast, którzy zawsze czuli się bardziej związani z Zachodem niż Wschodem, mimo istnienia cenzury i odcięcia kraju od świata wiedzieli o Ameryce i Amerykanach znacznie więcej niż my o nich. Była to jednak wiedza w dużej mierze uromantyczniona, czerpana z hollywoodzkich filmów albo od dobrych wujaszków zza oceanu, którzy zapewniali w listach swoich polskich krewniaków ze starego kraju, że w Ameryce dolary zbiera się na ulicy i na poparcie swoich słów posyłałi im regularnie drobne sumy, które w Polsce stanowiły fortunę”[38].

Obywatele USA przebywający nad Wisłą wiedzieli jednak, że nasz kraj jest ewenementem w całym bloku socjalistycznym. Dlatego też chętnie opowiadano anegdotę o dwóch podróżnych. Pierwszy z nich jechał z Paryża do Moskwy, natomiast drugi zmierzał w przeciwnym kierunku. I obaj po przybyciu do Warszawy uznali, że dotarli już na miejsce...

„[...] Polacy są prawdziwymi obywatelami arystotelesowskiego *polis* – twierdziła Helen Davis. [...] Nigdy nie rozmawiają o pielęgnowaniu trawników. Przy kolacji omawiano zwykle aktualne wydarzenia, a młodzi ludzie zdumiewali nas swoim żywym zainteresowaniem i znajomością historii własnego kraju, nie tylko najnowszej, ale i dawnej. A także odcytaniem w dziejach polskich pisarzy i poetów, których znali nieporównanie lepiej niż amerykańscy rówieśnicy dzieła Longfellowa czy Faulknera”[39].

Halberstam pojawił się nad Wisłą w styczniu 1965 roku. Od razu nawiązał kontakt z polskim środowiskiem dziennikarskim, szczególnie z Danielem Passentem, który miał na niego „pozytywnie oddziaływać”. Wszedł też w artystyczne środowisko stolicy, często widywano go w towarzystwie Leopolda Tyrmanda czy Ireneusza Iredeńskiego. Z tym drugim szczególnie chętnie odwiedzał stołeczne knajpy.

„W pierwszym okresie – czytamy w notatce dla SB – Halberstam znaczną część czasu spędzał w lokalach, głównie w barach hoteli »Bristol«, »Europejski« i »Grand«, gdzie przebywał najczęściej w towarzystwie Ireneusza Iredeńskiego i jego przyjaciółek. Lubi towarzystwo kobiet i alkohol, pod wpływem którego przyznaje się do swojego żydowskiego pochodzenia i lubi rozprawiać o rzekomym antysemityzmie w PRL”[40].

Zażyłość Halberstama z Iredeńskim była tak duża, że Amerykanin pożyczał polskiemu koledze nawet swój samochód. Skończyło się to zresztą niezbyt fortunnie, gdyż pisarz rozbił pojazd, a w celu jego naprawy David musiał na kilka dni wyjechać do

Berlina Zachodniego.

Rozrywkowy tryb życia nie przesłaniał Amerykaninowi podstawowego celu, w jakim przybył do Polski. Wprawdzie niemal codziennie wlewał w siebie sporo alkoholu i sypiał z różnymi kobietami, ale zawsze pamiętał o tym, że jego korespondencje dla macierzystej redakcji powinny być jak najbardziej atrakcyjne.

„Halberstam wyraził się – meldował TW »Midas« (Sylwester Kruppa) – że chce »dotrzeć do głębin życia w Polsce«. Chce on poznać środowisko studenckie, młodych naukowców, dziennikarzy, pisarzy itd. Oficjalne informacje go nie interesują, bo od tego są agencje prasowe”[41].

## ICH TROJE

David poznał Elżbietę po premierze sztuki *Po upadku* i szybko znalazł się pod jej urokiem. Fascynacja wydawała się obustronna, ale warto pamiętać, że amerykański dziennikarz idealnie nadawał się do roli promotora aktorki w świecie zachodniego filmu. Zresztą Halberstam początkowo również traktował Czyżewską wyłącznie jak przygodę, a jego pokój hotelowy w dalszym ciągu odwiedzały różne panie.

„Z informacji uzyskanych od personelu pensjonatu »Zgoda« wynika, że Czyżewska odwiedza Halberstama w miejscu jego zamieszkania – informował major Kazimierz Drzewiecki. – TW »Jurek« [...] podał, że Halberstam żyje z dwiema aktorkami: Krystyną Stypułkowską i Elżbietą Czyżewską, a poza tym »dorywczo« ma wiele kobiet, których nazwisk nie ustalono”[42].

Krystyna Stypułkowska była gwiazdą *Niewinnych czarodziei* Wajdy i chyba miała wobec Amerykanina poważne zamiary. Nie przeszkadzała jej w tym współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa[43], której dostarczała bardzo negatywne opinie o Elżbiecie. Widząc, że przegrywa rywalizację o Halberstama, nazywała ją „zimną kurwą i bezczelną”, bez wątpienia zazdrościła rywalce opanowania i wyrachowania. A Czyżewska po mistrzowsku rozgrywała całą partię, w czym pomagały jej wrodzone zdolności aktorskie. Niektórzy twierdzili, iż „wmówiła w siebie, że jest zakochana” i „robi teatralne gesty wyrażające miłość”, co podobno „bardzo sztucznie wychodziło”. Ale na Amerykanina działało.

Sytuacja nie była zbyt łatwa, bo przez cały czas w pobliżu kręcił się zazdrosny Skolimowski. Chcąc odzyskać partnerkę, regularnie nachodził mieszkania, w których przebywała, i urządził tam sceny zazdrości. Lektura akt IPN wskazuje jednak, że Elżbieta wszystko miała pod kontrolą.

„[...] zdecydowała się na wyjazd z Halberstamem do Krakowa – informował Zygmunt Kałużyński [...]. – Przespała się z nim w hotelu. W związku z tym zaczęła histeryzować nad swoim upadkiem, jakby co najmniej straciła dziewictwo. Powiedziała, że go nie kocha i nic do niego nie czuje. [...] [Potem do mnie] niespodziewanie wpadli Halberstam i Skolimowski. Ten ostatni zrobił scenę zazdrości, wyzywając ją od najpodlejszych prostytutek. Czyżewska dostała ataku hysterii”[44].

Elżbieta od lat utrzymywała dobre stosunki z Kałużyńskim, tłumacząc, że „jest ustawiony politycznie, że pracuje dla UB i w jego mieszkaniu będzie bezpieczna”. Jednak Skolimowski nie bardzo się tym przejął i podczas kłótni „teatralnym gestem” wyciągnął nóż, zamierzając ugodzić nim gospodarza. Tak przynajmniej twierdził Kałużyński.

„Ja rzeczywiście tam do niego wpadłem – przyznawał Skolimowski. – Miał dwa duże pokoje i kuchnię z przepierzeniem. Ta zabawna sytuacja z nożem miała miejsce w kuchni. Powiedziałem do Kałużyńskiego szyderczo: »Zyziu, ty wredny ubeku, ktoś cię kiedyś zarżnie kuchennym nożem«. I rzuciłem do zlewu leżący na blacie nóż, tłukąc jakąś szklanekę”[45].

Czyżewska umiała postępować z Halberstamem – wahała się, odrzucała go, a gdy sytuacja tego wymagała – okazywała mu uczucie. Z każdym dniem dziennikarz był coraz bardziej zakochany, a swoim znajomym opowiadał, iż „Polska jest małą, brudną kałużą, w której pływa szlachetna ryba – Czyżewska”. Twierdził, że musi się z nią ożenić, i to jeszcze „przed końcem swojej kadencji”. I że dzięki temu będzie mógł ją zabrać z Polski i „wypuścić na szerokie wody”.

„[Halberstam i Czyżewska byli] oboje kompletnie pijani – relacjonował Kałużyński ich nocną wizytę w swoim mieszkaniu. – Zachowywali się jak zakochani. Będąc w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego, całowali się nawzajem po rękach. Czyżewska [znów] prosiła o przenocowanie jej, gdyż zdecydowała się odejść [ostatecznie] od Jerzego Skolimowskiego”[46].

## MAŁŻEŃSTWO

Reżyser nie miał zamiaru się poddać i nadal obrzydzał Czyżewskiej życie. Wtedy ona przestała się wahać i postanowiła przyjąć oświadczyzny Davida. Zakochany Amerykanin chciał bowiem zalegalizować ich związek.

„Skolimowski, czując się urażony w swojej ambicji – czytamy w notatce SB z końca kwietnia 1965 roku – postanowił, jak oświadczył, walczyć i nie dopuścić do tego małżeństwa. Czyżewska natomiast stwierdziła, że jest to jedyny sposób, »by odczepić się« od Skolimowskiego”[47].

Jednak jak na rasową kobietę przystało, pilnie obserwowała, co dzieje się u byłego partnera. I nie ukrywała rozczarowania, gdy Skolimowski bardzo szybko pozbywał się psychicznie i niebawem zawarł związek małżeński z aktorką Joanną Szczerbic. Nie po to przecież go porzucała, by natychmiast żenił się z inną kobietą...

„[...] świetnie pamiętam spotkanie w »Piekiełku«, słynnym klubie w Hotelu Europejskim – wspominała Ewa Frykowska. – Był to wyjątkowy wieczór. Komedowie gościli Sama Spiegła – słynnego producenta filmowego, który przyjechał do Warszawy z zamiarem kręcenia filmu *Noc generałów*. Była między innymi Czyżewska z Halberstamem. Tego dnia odbywał się ślub Skolimowskiego z Joanną Szczerbic, aktorką młodszą i nie tak znaną jak Elżbieta. Komedowie byli zaproszeni i pojechali

złożyć im życzenia. Elka błagała, żeby wrócili i zdali jej relację. Była rozdygotana. Piła, paliła i bez przerwy mówiła o Jurku. Nawet dziwiłam się, że tak reaguje, mając przy sobie Halberstama i perspektywę wyjazdu do Stanów. Może uświadomiła sobie, że wciąż kocha Skolimowskiego? Może urażona ambicja? W każdym razie Skolimowski bardzo ją dotknął. Nie znam powodu, dlaczego rozstali się z Elżbietą, ale widocznie coś musiało się wydarzyć poważnego, bo Skolimowski nigdy nie chciał o niej wspominać”[48].

Elżbieta była tym bardziej zdenerwowana, bo pod znakiem zapytania stało jej własne małżeństwo. Wprawdzie do Polski przyleciała matka Davida, aby poznać przyszłą synową, ale aktorka podejrzewała, że władze będą stwarzać problemy. Obawiała się również, że Halberstam może zostać wydalony z Polski, co zapewne pokrzyżowałoby ich plany. Dlatego też nalegała na jak najszybsze sformalizowanie związku.

„Przepraszam, że w tak szczególny sposób przerwałem dostarczanie wiadomości, ale sprawy się skomplikowały – pisał David w telegramie do redakcji »The New York Timesa«. – W każdym razie jest ona uroczym, kochanym i zabawnym łobuziakiem i jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Jest bardzo utalentowana i jestem przekonany, że będzie potrafiła mnie podtrzymać”[49].

Czyżewska i Halberstam zaczęli się spieszyć. W kwietniu 1965 roku złożyli dokumenty w urzędzie stanu cywilnego, prosząc jednocześnie o skrócenie miesięcznego terminu oczekiwania na zawarcie małżeństwa. Chcieli się pobrać cztery dni później, przygotowano już nawet imprezę weselną, na którą zaproszono ponad 80 osób. Władze jednak udaremniły te plany – w ostatniej chwili przesunięto datę uroczystości pod pretekstem wątpliwości co do stanu cywilnego Czyżewskiej. Niedoszli małżonkowie nie zdążyli jednak odwołać wesela, które jako przyjęcie zaręczynowe odbyło się w domu Roberta De Vecchio przy ulicy Mianowskiego. Narzeczeni pobrali się ostatecznie w połowie czerwca, a świadkiem Elżbiety była Halina Mikołajska.

Państwo młodzi po ślubie polecili na trzy tygodnie do USA, gdzie Elżbieta poznała rodzinę i przyjaciół męża. Musiała na nich zrobić bardzo pozytywne wrażenie, czego dowodem jest list senatora Edwarda Kennedy’ego. Warto przytoczyć go w całości:

„Droga Elżbieto – pisał najmłodszy z braci Kennedych w maju 1966 roku. – Właśnie wróciłem z podróży po Europie. Miałem tam wiele interesujących spotkań w sprawach pokoju światowego i innych problemów, spotkałem też wielu Twoich wielbicieli (your many admirers). Z ogromną przyjemnością wspominam spotkania z Tobą w Waszyngtonie poprzedniego lata i mam nadzieję zobaczyć Cię ponownie podczas zbliżających się wakacji. Tak jak zawsze składam Tobie i wszystkim Polakom najlepsze życzenia ode mnie i mojej rodziny, która zawsze będzie miała dla Was jak najlepsze uczucia”[50].

Ostatni akapit był standardowym dopiskiem, jaki zapewne zawsze dodawano w korespondencji wychodzącej za żelazną kutyne. Zastanawia jednak brak jakiegokolwiek wzmianki o Halberstamie. Wprawdzie David nie przebywał już wówczas w Polsce, ale wypadaloby wspomnieć coś o mężu. Czyżby Elżbieta zawróciła w głowie tak znanemu



kobieciarzowi, jakim był Ted Kennedy? Czy łączyło ich coś więcej? Tego zapewne jednak nigdy się nie dowiemy.

Po powrocie do Warszawy David z żoną zamieszkali w hotelu dla korespondentów, a Elżbieta chętnie zapraszała znajomych, aby pochwalić się tamtejszymi luksusami. Po latach jednak bagatelizowała całą sytuację.

„Bajka? Jaka bajka? – wspominała Elżbieta. – Po ślubie zamieszkaliśmy w hoteliku przy ulicy Zgody, gdzie byli zakwaterowani korespondenci. Co jest romantycznego w tym, że cały czas byliśmy obserwowani, a nasze telefony były na podsłuchu? Zaczęłam dostawać coraz mniej propozycji zawodowych”[51].

Jednak Czyżewska wcale nie otrzymywała mniej ofert i nadal cieszyła się niesłabnącą popularnością. Już po zawarciu małżeństwa zagrała w *Małżeństwie z rozsądku* Barei i *Niekochanej* Janusza Nafetera. Wówczas też pojawiły się pogłoski o niesnaskach małżeńskich Halberstamów. Podejrzewano, że ich przyczyną był wyjazd aktorki na zdjęcia oraz to, że angaż Czyżewskiej miał być „od czegoś i kogoś uzależniony”. Plotkowano, iż chodziło o szefa zespołu „Kadr”, Aleksandra Forda, którego wcześniej miały łączyć z Elżbietą intymne kontakty.

Zapewne jednak przyczyną rozdzwieńców małżeńskich były zupełnie inne sprawy. Janusz Guttner, który partnerował Elżbiecie w *Niekochanej*, nie miał żadnych wątpliwości:

„Byliśmy z tym filmem na festiwalu w Cork w Irlandii. Kilka dni wspaniałej zabawy. Ale Elżbieta była jakaś inna niż zwykle, kompletnie nie przypominała tej osoby, jaką znałem wcześniej. Podejrzewam, że na żądanie Davida musiała dokonać aborcji. Kiedy po latach rozwiedli się, to niebawem on ponownie się ożenił i jego nowa żona, Amerykanka, szybko urodziła mu dziecko. Natomiast Elżbieta nigdy nie zapomniała, że Halberstam z nią nie chciał mieć dziecka”[52].

Fakt dokonania aborcji potwierdzają również akta IPN, jednak – jak wynika z donosów do SB – Czyżewska miała się tą sprawą specjalnie nie przejmować. Ale czy kiedykolwiek można być pewnym, co w głębi duszy czuje drugi człowiek, jeśli na dodatek doskonale potrafi on ukrywać swoje uczucia?

## KONIEC BAJKI

Oficjalnie wszystko układało się jak najlepiej. David kupił żonie volkswagena garbusa, jednak Czyżewska czasami prowadziła pojazd, będąc w stanie nietrzeźwym, i pewnego dnia straciła prawo jazdy. Podstawowym problemem pozostawała nieustanna inwigilacja Halberstama. Amerykanin cały czas był śledzony, kopiowano jego notatki, obserwowano wszystkie spotkania. Gdy wyjeżdżał w teren, stołeczna centrala SB żądała od lokalnych jednostek meldunków na temat „podjętych przedsięwzięć operacyjno-informacyjnych i operacyjno-dezinformacyjnych”. W każdej notatce na jego temat przypomniano, że jest Żydem i że otacza się dziennikarzami pochodzenia żydowskiego. Podobno najbardziej interesowały go informacje na temat „polskiego rzekomego



antysemityzmu” oraz pogromu w Kielcach[53].

Inwigilacja nie ograniczała się wyłącznie do osoby Halberstama. Kontrolowano również Czyżewską, sprawdzano jej korespondencję i obserwowano przyjaciół, z czego aktorka doskonale zdawała sobie sprawę.

„Stwierdziwszy fakt prowadzonej za nią obserwacji – czytamy w notatce SB – nie wymyślała i nie denerwowała się. W formie żartobliwej powiedziała, że musi szybciej wyjść po próbie, bo »chłopcy marzną«, czekając na nią pod teatrem”[54].

Nic zatem dziwnego, że jeden ze zirytowanych funkcjonariuszy stwierdził, iż dalsza obserwacja Halberstamów „jest bezzasadna, ponieważ może doprowadzić do jawnej dekonspiracji i nieprzyjemności”.

Wreszcie stało się to, co musiało się stać – pod koniec grudnia 1965 roku Davidowi cofnięto akredytację. Dziennikarz dostał kilka dni na opuszczenie Polski, ostatecznie odleciał z Warszawy w pierwszych dniach stycznia następnego roku.

„Halberstam początkowo domagał się, aby Czyżewska wyjechała z Polski razem z nim – pisano w jednym z raportów. – Ona, nie protestując przeciwko decyzji swego męża, obiecała mu, że postara się podporządkować jego woli i zaczęła rozmawiać (choć bez przekonania) z dyrektorem Teatru Dramatycznego [Janem] Świderskim w sprawie natychmiastowego zwolnienia z teatru. Dyrektor nie wyraził zgody, przypominając, że jej kontrakt wygasa dopiero 1 września 1966 roku. Fakt ten Czyżewska skrupulatnie podchwyciła i zaczęła nim argumentować niemożność natychmiastowego wyjazdu”[55].

Elżbieta chyba nie była jeszcze gotowa do opuszczenia Polski. Wiedziała, że jej angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia, a bez perfekcyjnej znajomości tego języka nie miała czego szukać na Zachodzie. Poza tym na ekrany kin wchodziły dwa filmy (*Niekochana* i *Małżeństwo z rozsądku*), z którymi wiązała duże nadzieje. Ale cały czas zachowywała lojalność wobec męża, który musiał opuścić Polskę.

„Jadłem z nią kiedyś kolację w »Krokodylu« – wspominał Janusz Guttner. – Nagle pojawił się Zbyszek Cybulski w towarzystwie jakiegoś swojego starego znajomego ze szkoły czy podwórka i zapytał, czy może się przysiąc. Na to Elka: »Ten chuj nie będzie tu siadał przy moim stoliku«. Okazało się, o czym Zbyszek w ogóle nie wiedział, że ten jego znajomy pracował w MSW i był zamieszany w wydalenie Davida z kraju”[56].

Czyżewska ostatecznie musiała opuścić Polskę, a jej decyzję o wyjeździe przyspieszyła narastająca fala antysemityzmu po zwycięstwie Izraela w wojnie sześciodniowej. Co prawda początkowo miała nadzieję, że cała sprawa szybko ucichnie, zmieniła jednak zdanie, gdy sama padła ofiarą nacjonalistycznej nagonki.

„[...] Dlaczego nasza wybitna, polska przecież aktorka – pisano na łamach »Walki Młodych« – zdradza nasze żywotne, polskie interesy? Czyżby tak ją otumaniał zielony kolor amerykańskich banknotów? Jak można nazwać taką kobietę? Aktorkę, która wszystko zawdzięcza Polsce Ludowej, a która tak niegodnie obraża nas wszystkich. Naród polski”[57].

Ojczyznę opuściła również antagonistka Elżbiety i jej rywalka do względów Halberstama, Krystyna Stypułkowska. Nigdy nie została zawodową aktorką, natomiast po wyjeździe do USA ukończyła tam studia filologiczne. Następnie osiadła

w Waszyngtonie i przez wiele lat pracowała w amerykańskiej służbie dyplomatycznej[58].

Na Zachodzie znalazł się również „porzucony geniusz”, Jerzy Skolimowski. Szybko zrobił tam błyskotliwą karierę, ale nigdy nie zapomniał Elżbiecie doznanego od niej upokorzenia. Do dzisiaj konsekwentnie unika wypowiedzi na temat byłej partnerki, stara się też bagatelizować jej znaczenie w swoim życiu. A na Andrzeju Łapickim zemścił się w perfidny sposób, uwodząc na początku lat 70. jego nastoletnią córkę, Zuzannę. Dziewczyna przebywała wówczas w zachodniej Europie i tam padła ofiarą Skolimowskiego.

„[Do Monachium] przyjechał sportowym mercedesem w złotym kolorze – opowiadała Ewa Frykowska – w towarzystwie osiemnastoletniej córki polskiego idola filmowo-teatralnego, którego chyba wszystkie nasze rodaczki miały za chodzący ideał. Panienka rozsiewała wokół samą mądrość życia, była wyjątkowo snobistycznym kąskiem. Miała ogromne poczucie humoru i rozkoszne dołeczki w policzkach. [...] Sama bohaterka chyba nie zdawała sobie sprawy, jaki zamęt sieje w głowach naszych filmowych pożeraczy serc. Reżyser tym razem ich przebił”[59].

Wprawdzie Zuzanna niebawem zakończyła związek i wróciła na studia do Warszawy, ale jej romans był dla Łapickiego bardzo bolesnym ciosem.



**USA**



## EMIGRACJA

**E**lżbieta osiadła z mężem w Paryżu i już niebawem Halberstam miał okazję przekonać się, że żona nie należy do osób specjalnie lękliwych.

„David miał być świadkiem na moim ślubie w Niemczech – opowiadała niemiecka dziennikarka i przyjaciółka Halberstama, Barbara Ungeheuer. – To był czas zimnej wojny, Elżbieta nie mogła dostać wizy od ręki. Wypożyczyła od angielskiej sekretarki paryskiego biura »The New York Timesa« jej paszport, ucharakteryzowała się na nią i spokojnie przekroczyła granicę francusko-niemiecką. Wtedy zrozumiałam, że David wybrał sobie za żonę świetną aktorkę i odważnego człowieka”[60].

Czyżewska wróciła jeszcze do kraju, by zagrać we *Wszystko na sprzedaż* Wajdy. Od reżysera zażądano cofnięcia jej angażu, władze inspirowały również lawinę korespondencji od oburzonych „patriotów”. Aktorkę śledzono, obrzydzano jej życie na każdym kroku, aż wreszcie zdecydowała się na ostateczną emigrację.

„Wyjechała zaraz po zdjęciach – wspominał Wajda. – Nie czekała na premierę. Pewnie nie chciała czytać tego, co będą o niej pisać. Na lotnisku najpierw była prośba o autograf, a potem upokarzająca rewizja osobista. W Nowym Jorku zamieszkali w samym środku Manhattanu – trzypiętrowe mieszkanie urządzone przez Elę z wielkim gustem, ogród, no i wielki świat”[61].

Halberstam chciał pomóc żonie w zrobieniu kariery za oceanem. Wyszukiwał castingi, towarzyszył jej podczas przesłuchań, płacił za naukę języka. Efektów nie było, bo wprawdzie Czyżewska perfekcyjnie opanowała język angielski, jednak nigdy nie pozbyła się fatalnego akcentu. Nie pomogły lata ćwiczeń z najlepszymi specjalistami – jej wymowę porównywano z „tarcim paznokciem o szybę”. A to tak bardzo odstręczało producentów, że nie powierzali jej nawet ról cudzoziemek.

Elżbieta nie potrafiła odnaleźć się w Ameryce. Nagle zrozumiała, że jest tam tylko żoną swojego męża, a przecież w Polsce była wielką gwiazdą.

„Wychodzę na ulicę i kłania mi się sprzedawca – pisała zrezygnowana do Beaty Tyszkiewicz. – »Good Morning, Mrs Halberstam. How are you?«, odpowiadam »Good morning« i myślę sobie, kim ja właściwie jestem?”[62].

Starał się jej pomóc także Andrzej Wajda i za jego sprawą zagrała w 1974 roku rolę Marii Lebiadkin w *Biesach* Fiodora Dostojewskiego na scenie uniwersyteckiego Yale Repertory Theatre. Reżyserował osobiście Wajda, a obok Elżbiety wystąpiła początkująca aktorka Meryl Streep, dla której było to niezapomniane przeżycie.

„[Elżbieta była] niezwykle piękna, kobieca, emanowała wręcz seksualnością – wspominała gwiazda Hollywood. – Kiedy się przeciągała – jak kot – mężczyźni

kamienieli. I była przy tym niebywale inteligenta – odczytana, zawsze na bieżąco z polityką, miała mordercze poczucie humoru. Kochałam ją. Uwielbiałam z nią rozmawiać i przyglądać się jej ukradkiem, kiedy rozmawiała z innymi. Chciałam być taka jak ona. To na jej podstawie wyrobiłam sobie zdanie o Europejkach jako istotach doskonałych”[63].

Po latach Elżbieta miała pretensje do Halberstama, że nie wykorzystał swoich znajomości, aby pomóc jej w karierze. Nie mogła zrozumieć, że w USA panowały inne obyczaje, a jej uroda nie bardzo odpowiadała ówczesnym kanonom piękna.

„W moich czasach mówiło się, że aktorki są takie same – przyznawała Elżbieta. – Nie było piękności. Najlepszy dowód, że ja mogłam zrobić karierę osoby urodziwej, choć przecież nie należałam do dziewczyn wyróżniających się urodą. Jeśli komuś się mogło tak wydawać, to tylko dlatego, że występowałam w filmach, w których partnerzy mówili mi »jaka jesteś ładna« lub wyśpiewywali inne komplementy, jak Daniel Olbrychski w *Małżeństwie z rozsądku*. Uroda niejako zeszała na mnie z ekranu”[64].

Czyżewska uważała, że David potrzebował żony głównie w celach reprezentacyjnych. Pochodził z zamożnej rodziny, jego ojciec był lekarzem wojskowym, a brat znanym kardiologiem. Elżbieta miała przystosować się do panujących w rodzinie reguł, czego nie potrafiła i nie chciała zrozumieć. Nudziły ją spotkania rodzinne, podczas których panowie rozmawiali w swoim gronie, panie zaś plotkowały wyłącznie o dzieciach.

Inna sprawa, że aktorka wybrała specyficzną metodę kontestacji. Zdarzało się, że podawała do stołu ubrana w „kusy biały fartuszek i biały czepek, a gdy się odwracała, nie można było mieć wątpliwości, że pod fartuszkim nie ma nic”. To w mieszczańskim środowisku wywoływało prawdziwą grozę.

Na domiar złego po aborcji dokonanej w Polsce Elżbieta nie lubiła kobiet mających dzieci. Reagowała bardzo nerwowo i gdy jedna z jej przyjaciółek doczekała się potomka, Czyżewska zerwała z nią kontakty. Prawdopodobnie chciała jednak ratować rozpadające się małżeństwo, wykorzystując do tego celu siostrzenicę.

„Miałam 12 lat – wspominała Magdalena Komorek – kiedy mama z ciocią uknuły, że ciocia sprowadzi mnie do Stanów i zaadoptuje. – Czy ciocia chciała, żebym wyrastała w normalnym świecie, czy to mój przyjazd miał im pomóc w sklejeniu małżeństwa, które już się wtedy nie układało? A może jedno i drugie? Ciotka mnie ubierała w eleganckie sukienki, wujek zabierał do eleganckich restauracji, chodziłam do szkoły przy ONZ, z rodziną Kennedych zdarzyło mi się płynąć na jachcie, a u Kurta Vonneguta bawiłam się puzzlami jego dzieci. Byłam tam nieszczęśliwa i tak się buntowałam, że po roku wypuścili mnie z tej złotej klatki i odesłali do mamy”[65].

Stosunki pomiędzy małżonkami stopniowo się pogarszały, a Czyżewska coraz częściej nadużywała alkoholu. Ostateczny cios ich związkowi zadało upodobanie Elżbiety do pomagania rodakom. Halberstam ciągle podróżował służbowo, a jego żona urządziła w ich apartamencie przytulisko dla polskich emigrantów.

„Przyjeżdżało do niej wielu ludzi z Polski, mieszkali, jedli, pili – opowiadał jej nowojorski przyjaciel Bernard Weissman. – Kilka razy byliśmy wtedy w jej domu. Na stole rozrzucone spaghetti, na podłodze brud. Ona była bardzo czysta, ale jak była

pijana, to nic nie mogła zrobić. Halberstam dużo wyjeżdżał, miał mnóstwo odczytów, zarabiał na tym wielkie pieniądze. Kiedyś wrócił wcześniej rano, zadzwonił do drzwi i otworzył mu nagi mężczyzna. To był koniec. Później przyznała nam się, że popełniła największy błąd w życiu”[66].

## FATUM

Czyżewska była spragniona wiadomości z kraju i właściwie każdy, kto przyjeżdżał z Polski, mógł u niej zamieszkać, wystarczyło zadzwonić. Przy okazji spotkań z rodakami urządzała imprezy suto zakrapiane alkoholem. Polaków przedstawiała jako swoich kuzynów, toteż Halberstamowie mieli przeświadczenie, że w Polsce żyją niezwykle liczne rodziny. Postawę Czyżewskiej w pełni mogą docenić ludzie pamiętający ówczesne stosunki wśród polskiej emigracji w USA. Inna sprawa, że taki tryb życia stał się jednym z powodów choroby alkoholowej, z którą Elżbieta miała się zmagać przez następne lata.

Rozwód z Halberstamem orzeczono w drugiej połowie lat 70. Elżbiecie przyznano alimenty, ale ona chciała pracować w swoim zawodzie. Próbowwała grać w filmach studenckich i na alternatywnych scenach Broadwayu – bez większego jednak powodzenia. Pracowała jako dublerka, ucząc się wszystkich ról kobiecych do przedstawienia, ale nawet w tej profesji miała pecha. Zabezpieczane przez nią inscenizacje zawsze odbywały się w pełnej obsadzie, a Elżbieta beczynnie traciła czas w garderobie.

„Jest taki film dokumentalny o Milošu Formanie – tłumaczył Daniel Passent – reżyserze światowej sławy, Czechu, który zrobił karierę w Stanach. On rozpoczął piętnaście filmów, a dokończył dziewięć, bo na resztę zabrakło pieniędzy. Nawet artyści światowej sławy nie mają w Stanach lekko. A co dopiero Elżunia. Brakowało jej rodziny, przyjaciół, publiczności, kariery. Coraz więcej czasu spędzała wśród ludzi nie zawsze jej oddanych, usiłujących ją wykorzystać. Prowadziła bujne życie towarzyskie, coraz więcej paliła i piła, wychodziła do barów, zapraszała na drinka. Lubiła oryginalny cocktail Bull Shot – zimny bulion z wódką”[67].

Pięć lat po rozwodzie z Halberstamem zaopiekowała się Joanną Pacułą, która właśnie przybyła do USA. Nie wiemy, co zaszło między aktorkami, wiadomo tylko, że po solidnej awanturze Pacuła wyprowadziła się i niebawem rozpoczęła karierę w Hollywood. Na motywach tego wydarzenia inny polski emigrant, Yurek Bogayevicz, zrealizował film zatytułowany *Anna*. Była to opowieść o czeskiej aktorce (emigrantce po praskiej wiosnie), która przyjechała do siebie młodą rodaczkę. Ta nie miała skrupułów i pozbawiła ją wszystkiego – od ważnych adresów i telefonów po mężczyznę. A następnie zrobiła błyskawiczną karierę.

Elżbieta miała zagrać w tym filmie, jednak producenci zgłosili obiekcje: obawiano się jej alkoholizmu. Rolę dostała Sally Kirkland, a Czyżewska poczuła się upokorzona – miała wrażenie, że okradziono ją nawet z własnego życiorysu. A na



dodatek Kirkland zdobyła Złoty Glob i nominację do Oscara.

„Niewiele można było zrobić, bo Czyżewska nam nie dała tej szansy – stwierdziła współscenarzystka *Anny*, Agnieszka Holland. – Miała w sobie takie napięcie, zachowywała się autodestrukcyjnie. Robiła awantury, jakby chciała w życiu grać karykaturę postaci, którą miała grać na planie. Producenci się przestraszyli i dali rolę innej aktorce. Zdumiewało mnie takie marnotrawstwo talentu i inteligencji: strasznie chciała grać, a potem robiła coś, co ludzi zniechęcało. I o tym był właśnie ten scenariusz, o fantastycznej kobiecie, która zrobiła wiele, żeby sobie zaszkodzić. Może Czyżewska się przestraszyła swojego obrazu odbitego w filmie?”[68].

Równie fatalnie zakończyła się przygoda z *Polowaniem na karaluchy* Janusza Głowackiego. Na scenie teatru w Woodstock Czyżewska zagrała główną rolę, jednak po przeniesieniu przedstawienia do Nowego Jorku zaangażowano inną aktorkę. Głowacki tłumaczył, że nie miał nic do powiedzenia i że o wszystkim zdecydowali producenci. Podobno Elżbietę pogrzyżył jej akcent, który można było zaakceptować na prowincjonalnej scenie, natomiast w Nowym Jorku był nie do zaakceptowania. Czyżewska ponownie została z niczym.

Mimo to nadal się nie poddawała – dla niej słowo „porażka” w ogóle nie istniało. Nie wiadomo, ile było w tym gry, ale Elżbieta nigdy na poważnie nie myślała o powrocie na stałe do kraju.

Naprawdę lubiła Nowy Jork i amerykański styl życia, więc nie traciła nadziei, że kiedyś los się odwróci i uda jej się zrobić karierę w USA. I chyba na swój sposób dobrze zaadaptowała się na amerykańskiej ziemi.

„Mieszkałem u niej przez kilka dni na początku lat 80. – wspominał Janusz Guttner. – Nowy Jork nie zasypia nigdy, Elżbieta też sprawiała takie wrażenie. Dużo zresztą oglądała programów telewizyjnych, już wtedy telewizja tam nadawała non stop. I nagle o drugiej w nocy telefon. Elżbieta odbiera, chwilę rozmawia po angielsku, po czym schodzimy do pobliskiej pizzerii. I tam czeka na nią aktor Rip Torn. Usiedliśmy, jedliśmy pizzę. Nowy Jork funkcjonował non stop i Elżbieta bez problemu się do tego dostosowała”[69].

## UPADEK

Czasami przyjmowała krajowe propozycje, jednak żaden z tych filmów nie okazał się niestety przebojem. Inna sprawa, że niewiele zostało z jej dawnej urody i widzowie pamiętający ją z lat 60. byli mocno zaskoczeni. Dodatkowe problemy stwarzał charakter Czyżewskiej, który podczas zdjęć do *Debiutantki* omal nie doprowadził do tragedii.

„Dorota [Stalińska – S.K.] grała główną rolę – wspominała reżyserka Barbara Sass. – W tym czasie było o niej głośno. Czyli konkurentka aktorka. Do tego młodsza. Konkurentka kobieta. [...] Konflikt na planie wynikł przede wszystkim za sprawą Eli, chociaż w którymś momencie Dorota także to podchwyciła. W jakimś sensie sprzyjał

temu scenariusz. Bohaterki tego filmu rywalizują o względy jednego mężczyzny. [...] Jest taka scena przyjęcia w domu nad morzem, starsza się upija i goni za swoją rywalką. Dochodzi do zwarcia w wodzie, walczą ze sobą. I przysięgam, to była jedna z dramatyczniejszych chwil w moim życiu, ponieważ w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że Ela chce Dorotę naprawdę utopić. Że to przestają być żarty na potrzeby filmu. To było też zaskakujące z tego powodu, że Stalińska była przecież silną fizycznie osobą, a Ela delikatną kobietką, a wyglądało tak, jakby Dorota nie dawała sobie z nią rady. Byliśmy przerażeni. Szybko skończyliśmy zdjęcia”[70].

Stalińska zawsze twierdziła, że ocalenie zawdzięcza wyłącznie przewadze fizycznej, ale nie miała żalu do Czyżewskiej. Raczej jej współczuła, bo widziała, jak Elżbieta przemycza na plan alkohol i jak próbuje zwrócić na siebie uwagę, „namiętnie obnażając publicznie swoje pomarszczone ciało”. Ktoś inny zauważył natomiast, że aktorka sprawiała wrażenie, jakby mogła „przespać się z każdym”.

Problemy stwarzała również jej gra. Andrzej Łapicki, który partnerował jej w tym filmie, nie poznawał swojej dawnej kochanki. To nie była ta Elżbieta, jaką pamiętał. Czyżewska zdawała się nie zauważać, że od czasów STS-u minęło już ponad 20 lat, a dla nowego pokolenia widzów jest osobą anonimową. Była przekonana, że samo jej pojawienie się przed kamerą wystarczy, by wszyscy znów zaczęli się nią zachwycać.

„Prawdziwa katastrofa – przyznawał ze smutkiem Łapicki. – Gram z nią i widzę, że ona zapomniała już, jak się gra. Bardzo źle nam szło. Mieliśmy jakąś scenę miłosną. Dawniej Elka była do tego pierwsza. A tutaj nagle ona się wstydzi, zaczyna szarpać. Straciła otwartość, którą miała. [...] Zapomniała, na czym polegał jej wdzięk. Ciągłe tkwiła w przeszłości, w rozmowie nadal była dowcipna, ale to były żarty w STS-owskim stylu. Zresztą takie zatrzymanie w dawnych czasach często się obserwuje u emigrantów”[71].

Jednak czasami potrafiła pokazać się z lepszej strony. W torebce oprócz alkoholu nosiła książki, gdyż bardzo dużo czytała. Jej ulubionym miejscem w Nowym Jorku była ogromna biblioteka, w której przesiadywała całymi godzinami. Czyżewska była osobą bardzo inteligentną i miała dużą wiedzę.

„Bywała nieznośna, zwłaszcza w pewnym okresie swojego życia, mimo to ludzie do niej Ignęli – opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska. – Dlatego że przy niej nie było nudno. To rzeczywiście było imponujące, jak ona chłonęła wiedzę, swobodnie konwersowała na tematy z każdej dziedziny. Z każdym, czy to z profesorem fizyki, czy artystą malarzem”[72].

O swoich zainteresowaniach potrafiła mówić z pasją, przy czym z reguły gruntownie znała temat. Podczas pewnego nowojorskiego przyjęcia z taką znajomością rzeczy wypowiadała się w sprawie autorstwa dzieł Szekspira, że wzięto ją za specjalistkę, która przybyła z serią wykładów. Ale potrafiła też zanudzać otoczenie swymi obsesjami, nieustannie przekonując, że Chrystus ożenił się z Marią Magdaleną.

Czasami zachowywała się całkowicie nieracjonalnie, w czym zapewne dużą rolę odgrywała choroba alkoholowa. Elżbiecie Kępińskiej nie mogła zapomnieć tego, że przed laty odebrała jej rolę w napisanych przez Osiecką *Listach śpiewających*. Osieckiej zaś spaliła w kominku wszystkie (!) ubrania, w związku z czym przez dwa

tygodnie musiała się ona zadowalać odzieżą, którą nosiła na sobie, ponieważ dopiero po upływie tego czasu Czyżewska wybrała się na zakupy.

„Kiedyś mama przez kilka dni wkładała żakiet od garsonki do innej spódnicy – wspominała Agata Passent. – Zapytałam, co się stało ze spódnicą od tego kompletu. »A wiesz – usłyszałam – dół spaliła mi dość dawno Elżbieta Czyżewska, bo już nie mogła na tę garsonkę patrzeć. Górę jednak udało mi się uratować«”[73].

Na Osiecką obraziła się zresztą po *Białej bluzce*. Agnieszka wykorzystała bez wiedzy przyjaciół elementy ich biografii i Czyżewska znalazła w książce wiele faktów ze swego życiorysu. I to takich, o których raczej wolała zapomnieć.

Niewiele brakowało, a upodobanie Elżbiety do towarzystwa rodaków zakończyłoby się tragedią. Gdy zatęskniła za Polakami, szukała ich w pobliskich knajpach. Pijała tam wódkę z przypadkowymi ludźmi, czasami zapraszając ich później do swojego mieszkania.

„Wzięła do siebie do domu jakiegoś faceta, którego poznała w kawiarence na dole – opowiadała aktorka Zofia Czerwińska. – I on się na nią rzucił, bynajmniej nie w celach erotycznych, tylko chciał zabić. Okazało się, że to psychopata. Elka cudem mu się wymknęła. Była ciężko chora ze strachu. Od tamtej pory poszła na terapię i przestała kompletnie pić. Bo wcześniej potrafiła po wódeczce przygodnych ludzi przyprowadzać do siebie”[74].

## DO KOŃCA WIERNA SOBIE

Jej ostatnim nowojorskim adresem było małe mieszkanie przy 43. Ulicy w pobliżu Times Square. Tuż obok znajdował się Town Hall, a naprzeciwko Henry Miller’s Theatre. Lokal niemal w całości wypełniały książki, kasety i bibeloty. Panował tam totalny nieład, wszędzie walały się odzież, obuwie i parasolki. Elżbieta nie uznawała górnego światła, mieszkanie zawsze pozostawało w dyskretnym półmroku.

„Działalem w nowojorskim Komitecie »Solidarności« – opowiadał jej przyjaciel, socjolog Jerzy Warman – i ktoś zawołał, że trzeba pomóc Elżbiecie Czyżewskiej w przeprowadzce. Wyprowadzała się z 60. Ulicy do małego prowizorycznego pokoju. Zobaczyłem człowieka w głębi smutku i alkoholizmu. Jakbym usłyszał *Smutne ptaki* Ravela. Doprawdy nie umiem pojąć, skąd tyle znalazła siły w swoim kruchym ciele, by po kilkunastu latach (czy nawet więcej) wyjść z nałogu. Ale znalazła”[75].

Wieczorami widywano ją, jak spacerowała ze swoją czarną suczką o imieniu Halinka (podobno wierzyła, że to duch Haliny Mikołajskiej). Zawsze miała na sobie szpilki, kapelusz i rękawiczki, w dłoni natomiast trzymała srebrną popielniczkę.

„Ela – opowiadał Michał Kott – podrzutek jak jej czarna kulawa suczka, zawsze nosiła ze sobą własną małą popielniczkę, aby nie śmiecić w naszej brudnej dzielnicy. Wściekle inteligentna, lepiej odczytana niż większość profesorów w kraju, gdzie się osiedliła, cała »zbudowana z ran« – ale jakimś cudem bez cienia ksenofobii i najgorszych uprzedzeń polskich, poza pogardą dla własnego zdrowia: piła, paliła,

ideowo chyba przeciwna była gimnastyce poza nocnym spacerem. Przez wiele ostatnich lat już w ogóle nie piła, ale nawet wtedy, kiedy piła, była zawsze przeraźliwie trzeźwa w swoich osądach”[76].

Ostatnią próbą powrotu Elżbiety na wielką scenę była sztuka *Szósty stopień oddalenia* Johna Guare’a. Przedstawienie święciło triumfy na Broadwayu i jego autor (przyjaciel Czyżewskiej) oddał jej prawa do warszawskiej inscenizacji. Postawił tylko jeden warunek, główną rolę męską miał zagrać czarnoskóry aktor. Z tym akurat nie było problemu – otrzymał ją urodzony w Polsce absolwent warszawskiej PWST, Omar Sangare. Warszawska inscenizacja okazała się jednak prywatną i zawodową klęską Czyżewskiej.

„Byłem na tym spektaklu – wspominał Andrzej Łapicki – nie patrzyłem w ogóle na scenę. Tak mi było przykro. Z aktorem jest tak, że albo ma coś w sobie, co zmusza nas do patrzenia na niego, albo tego nie ma, i wtedy go skreślamy. Niestety, Elka już tego nie miała. Czegóż jej brakowało, coś straciła. Po prostu przegonił ją czas. Żałowałem, że musi się męczyć na scenie. Wszystko szło nie tak. Ona chyba też miała tego świadomość”[77].

Nikt z dawnych przyjaciół nie chciał jej udzielić gościny, zamieszkała więc w tzw. Łoży Stalina – jednym z pomieszczeń w Teatrze Dramatycznym. Nie układała jej się współpraca z ekipą. Z reżyserowania zrezygnował Jan Łomnicki, a gdy Czyżewska zachorowała, odwiedzał ją tylko Sangare, przynosząc zupę w menażce.

Sztuka dostała miazdzące recenzje, nie spodobała się również publiczności. Przyczyną klęski była zapewne jej tematyka – historia Afroamerykanina z nizin społecznych uwodzącego młodzieńca z bogatego domu po to, by dostać się do wyższych sfer, okazała się zbyt abstrakcyjna dla polskich widzów.

Pierwsze rozczarowanie Czyżewska przeżyła już podczas premiery. Chociaż połowę sali wypełnili ludzie uważani przez nią za przyjaciół (dała im darmowe zaproszenia), to nie dostała oklasków na wejściu. Nie była w stanie ukryć rozczarowania, co wpłynęło na jej grę. Pod koniec sezonu sztuka wypadła z repertuaru, a Czyżewskiej pozbyto się w mało elegancki sposób. Znalazła na portierni list informujący ją o nakazie opuszczenia przydzielonego lokalu. Dyrektor teatru nie znalazł nawet czasu, aby osobiście poinformować ją o rozwiązaniu kontraktu.

Usiłowała jeszcze grać w niskobudżetowych produkcjach, jednak również bez powodzenia. Traktowano ją jak zło konieczne i nawet gdy przysyłano po nią samochód, to okazywało się, że był on przeznaczony jedynie dla aktorów drugoplanowych.

Zniechęcona wróciła do Nowego Jorku, dostawała tam niewielkie role (w tym w jednym z odcinków *Seksu w wielkim mieście*), epizodycznie pojawiała się również na scenach teatralnych. Pewną nadzieję przyniosła oferta od stacji HBO, która zaproponowała jej udział w jednej z produkcji koncernu. Telewizja gotowa była nawet pokryć koszt regularnych przelotów ze Wschodniego Wybrzeża do Los Angeles, jednak dla Czyżewskiej było już za późno. Lata alkoholizmu, ogromne ilości wypalonych papierosów i pomoc strażakom na gruzach WTC nie pozostały bez znaczenia.

Zdiagnozowano u niej nowotwór przełyku i lekarze nie dawali jej większych szans. Jedynym pocieszeniem było odzyskanie amerykańskiego ubezpieczenia

zdrowotnego, okazało się bowiem, że Halberstam sfałszował datę ślubu, chcąc uniknąć płacenia dożywotnich alimentów.

Namawiano ją do napisania wspomnień, a Random House (jedno z czołowych wydawnictw amerykańskich) oferował jej okazałą zaliczkę i swobodę twórczą. Nic z tego jednak nie wyszło. Unikała udzielania wywiadów. Nie chciała rozmawiać o chorobie, przeszła trzy operacje, ale cierpiała z godnością wielkiej damy. Podczas rekonwalescencji w Jewish Home namiętnie grywała z innymi pacjentami w scrabble, ale zawsze wolała wizytę w miejscowej bibliotece. W 2010 roku okazało się, że ma przerzuty, jednak do końca broniła się przed pójściem do szpitala. Trafiła tam w ostatnim stadium choroby i po paru dniach zmarła. Kilka miesięcy później, w październiku 2010 roku, na Powązkach Wojskowych odbył się jej oficjalny pogrzeb. Nie przyszło zbyt wiele osób – odeszła tak, jak żyła, ignorowana przez ludzi, którzy sporo jej zawdzięczali. Wielka postać naszego kina, wybitna osobowość, kobieta, która do końca pozostała sobie wierna.

„Późną nocą odprowadzałem ją do »Europejskiego« – wspominał Kazimierz Kutz wizytę Czyżewskiej w Polsce w 1981 roku. – Miasto było zimne i puste. Pod drzwiami hotelu chciało się jej zakurzyć papierosa, ale nie było czym zapalić. Ale na pustym placu, opodal Grobu Nieznanego Żołnierza, płonęły świece w wielkim krzyżu z kwiatów, upamiętniających pochówek kardynała Wyszyńskiego. Ponieważ w pobliżu nie było żywej duszy, poszliśmy na plac.

Kiedy odpalała papierosa od poświęconego znicza, spod igliwia i kwiatów wychynął zabiedzony kundelek i zaczął się do niej łąsić. Ona, przykucnięta w ramionach krzyża, zaczęła tulić pieska. Rozczuliła się rzewnie nad jego losem i postanowiła go zabrać do Ameryki. I tak też się stało. W ten sposób – w magicznym miejscu Warszawy – odnalazły się dwie sierotki. Potem – już nierozłączni – przyjeżdżali razem do Starego Kraju”[78].



## Przypisy do cz. II

- 1 Za: I. Komendołowicz, *Elka*, Kraków 2012, s. 29.
- 2 Za: A. Bikont, *Elżbieta Czyżewska. Srebrna papierośnica i czarna suczka*, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna\\_papierosnica\\_i\\_czarna\\_suczka.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna_papierosnica_i_czarna_suczka.html).
- 3 IPN BU 0192/98/2.
- 4 IPN BU 0192/98/2.
- 5 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 145.
- 6 IPN BU 0192/98/2.
- 7 B. Tyszkiewicz, *Nie wszystko na sprzedaż*, Warszawa 2004, s. 77.
- 8 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 12.
- 9 IPN BU 0192/98/2.
- 10 J. Bielas, *Elżbieta Czyżewska. Niezastąpiona*, [ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/elzbieta\\_czyzewska\\_niezastapiona.html](http://ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/elzbieta_czyzewska_niezastapiona.html).
- 11 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 27.
- 12 Za: *ibidem*, s. 29.
- 13 IPN BU 0192/98/2.
- 14 *Ibidem*.
- 15 K. Kutz, *Klapy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999, s. 61.
- 16 Za: Z. Włoczewski, *Elżbieta Czyżewska*, „Przyjaciółka” 26/1990.
- 17 R. Kosiński, *Głowy Stołeczne. Elżbieta Czyżewska*, „Życie Literackie” 8/1965.
- 18 Za: J. Szczerba, *Dzika róża*, [wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8076960,Dzika\\_roza.html?as=1](http://wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8076960,Dzika_roza.html?as=1).
- 19 K. Kutz, *op. cit.*, s. 63.
- 20 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 40.
- 21 B. Łazuka, *Przypuszczam, że wątpię*, e-book, Warszawa 2010.
- 22 Rozmowa telefoniczna autora z Januszem Guttnerem, 10.04.2015.
- 23 Z. Kałużyński, *Nowa fala zalewa kino*, Warszawa 1970, s. 67.
- 24 Za: K. Krubski, M. Miller, Z. Turowska, W. Wiśniewski, *Filmówka. Powieść o Łódzkiej Szkole Filmowej*, [b.r.], s. 148–149.
- 25 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 30.
- 26 IPN BU 0192/98/2.
- 27 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 103.
- 28 Za: *ibidem*, s. 65.



- 29 Za: *ibidem*, s. 102.
- 30 Rozmowa...
- 31 IPN BU 0192/98/2.
- 32 K. Kutz, *op. cit.*, s. 64.
- 33 Za: F. Gańczak, *Filmowcy w matni bezpieki*, Warszawa 2011, s. 42.
- 34 IPN BU 0192/98/2.
- 35 *Ibidem*.
- 36 *Ibidem*.
- 37 *Ibidem*.
- 38 H.C. Davis, *Amerykanka w Warszawie*, Kraków 2001, s. 13.
- 39 *Ibidem*, s. 27–28.
- 40 IPN BU 0192/98/2.
- 41 Za: F. Gańczak, *op. cit.*, s. 46–49.
- 42 IPN BU 0192/98/2.
- 43 F. Gańczak, *op. cit.*, s. 49.
- 44 IPN BU 0192/98/2.
- 45 Za: F. Gańczak, *op. cit.*, s. 52.
- 46 IPN BU 0192/98/2.
- 47 *Ibidem*.
- 48 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 220–221.
- 49 IPN BU 0192/98/2.
- 50 *Ibidem*, tłum. M. Czerwieniec.
- 51 J. Bielas, *op. cit.*
- 52 Rozmowa...
- 53 Za: A. Bikont, *op. cit.*
- 54 Za: F. Gańczak, *op. cit.*, s. 80.
- 55 Za: *ibidem*, s. 82.
- 56 Rozmowa...
- 57 Za: J. Bielas, *Elżbieta Czyżewska. Niezastąpiona*,  
[ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/elzbieta\\_czyzewska\\_niezastapiona.html](http://ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/elzbieta_czyzewska_niezastapiona.html).
- 58 Krystyna Stypułkowska, <http://filmpolski.pl/fp/index.php?osoba=1111653>.
- 59 E. Morelle, *Słodkie życie*, Kraków 2007, s. 215–216.
- 60 Za: A. Bikont, *op. cit.*
- 61 Za: *ibidem*.
- 62 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 12.

- 63 Za: E. Padoł, *Damy PRL*, e-book, Warszawa 2015.
- 64 Za: J. Lenard, *Uroda zeszła na mnie z ekranu*, „Film” 13/1987.
- 65 Za: A. Bikont, *op. cit.*
- 66 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 195.
- 67 D. Passent, *Passa*, e-book, Warszawa 2012.
- 68 Za: A. Bikont, *op. cit.*
- 69 Rozmowa...
- 70 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 229–230.
- 71 Za: *ibidem*, s. 35.
- 72 Za: *ibidem*, s. 335.
- 73 Za: Z. Turowska, *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2008, s. 241.
- 74 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 72.
- 75 Za: A. Bikont, *op. cit.*
- 76 Za: *ibidem*.
- 77 Za: I. Komendołowicz, *op. cit.*, s. 35–36.
- 78 K. Kutz *op. cit.*, s. 64–65.

# **Część III**

## **Agnieszka**





**„Na Agnieszkę Osiecką patrzyłem z wielką przyjemnością, tym bardziej że na dziennikarstwie, jak wszędzie, obowiązywały kryteria klasowe. Były więc dziewczyny krępe, niskie, nabite. A ona smukła i jasna, niczym panienka z polskiego dworku. Miała niezwykłą cechę – mianowicie każdego wysłuchiwała z życzliwością i każdy nie wiadomo kiedy zwierzał się jej z najbardziej intymnych swoich spraw. Cała nastawiona była na wysłuchanie opowieści o problemach, skupiona na kimś, nie na sobie”.**

**Jerzy Urban**

**Wiktor Osiecki**



**T**rudno wyobrazić sobie współczesną polską kulturę bez postaci Agnieszki Osieckiej. Piosenki z jej słowami zna praktycznie każdy Polak, a wiele ich fragmentów na stałe weszło do naszego codziennego języka. Autorka tekstów, poetka, pisarka, reżyserka teatralna, a do tego osobowość wymykająca się jakimkolwiek klasyfikacjom. Jeden z najbarwniejszych ptaków epoki PRL-u, człowiek o fascynującej psychice i ogromnych słabościach. Kobieta, która zawsze szukała osobistego szczęścia i właściwie chyba nigdy go nie znalazła...

## OJCIEC ARTYSTA

Zapewne największy wpływ na osobowość dorastającej Agnieszki Osieckiej wywarł jej ojciec, Wiktor, który był muzykiem, pianistą, dużą indywidualnością, a jednocześnie człowiekiem nie zawsze potrafiącym poradzić sobie z własnymi problemami.

Stosunki rodzinne ojca poetki były dość skomplikowane, a pan Wiktor miał za sobą bardzo burzliwą młodość. Urodził się w dalekim Belgradzie, pochodził z mieszanego serbsko-polskiego małżeństwa. Wkrótce po przyjściu na świat stracił matkę, a gdy jego ojciec ożenił się po raz drugi, przeniósł się wraz z nim do Wiednia. Niestety, Stefan Osiecki zmarł, gdy syn miał sześć lat, i od tego czasu chłopca wychowywała macocha. Przez pewien czas przebywał również u swojej babki ze strony matki w Timișoarze w Siedmiogrodzie, po czym trafił do Lwowa. Udało mu się dostać do Konserwatorium Wiedeńskiego, jednak po jego ukończeniu powrócił nad Pełtew.

We Lwowie zarabiał na życie jako muzyk, przez pewien czas był nawet kierownikiem muzycznym teatru rewiowego Casino de Paris. Ale największe uznanie przyniósł mu angaż do słynnego hotelu George, gdzie pełnił rolę akompaniatora w sali restauracyjnej. Etat w takim miejscu był dla początkującego muzyka istotną nobilitacją.

W 1933 roku przeniósł się do stolicy i zaczął pracować w Adrii, regularnie grywał też w modnej kawiarni artystycznej Sztuka i Moda. Tam właśnie poznał Marię Sztechman, kierowniczkę sali kawiarni Ziemiańska, i niebawem poprosił ją o rękę. A jako że był artystą, jego oświadczyzny miały dość niekonwencjonalny charakter.

„Był typem odpowiednim dla tutejszej cyganerii – wspominała Agnieszka – i tak zresztą żył: nieodpowiedzialnie, szaleńczo, mama natomiast była cichą mieszczką.



Ojciec chciał odpocząć od swoich towarzyszy z cyganerii u boku spokojnej dziewczyny.

Umówił się z moją mamą właśnie tu, na Saskiej Kępie, i powiedział: »Marysiu, albo kupię sobie psa, albo się ożenię«. Mama w lot zorientowała się, że chodzi o nią, i zgodziła się. Niedługo potem urodziłam się ja”[1].

Jako artyście często zdarzały mu się zachowania kompletnie oderwane od rzeczywistości. Takie jak choćby w dniu, gdy po zakończeniu wojny wraz z żoną i córką wracał do Warszawy. Po opuszczeniu pociągu pan Wiktor pozostawił rodzinę na ulicy i udał się na poszukiwanie dorożki.

„Zabrał ze sobą drobną sumkę – opowiadał Wojciech Solarz. – Agnieszka z matką usiadły na chodniku. Czekały na niego jak na zbawienie. Bardzo długo go nie było, aż w końcu wrócił, dzierżąc w dłoni ogromną lampę z pięknym abażurem.

– Zobaczcie, jaką piękną lampę udało mi się kupić – powiedział.

– No dobrze, ale załatwiłeś coś?

– Co miałem załatwić? – pan Wiktor niezmiernie się zdziwił.

– Jakiś transport!!!

– A, transport... Zobaczcie, jaka piękna lampa!”[2].

Osieccy zamieszkali przy ulicy Dąbrowieckiej na Saskiej Kępie i dzielnica ta już na zawsze stała się dla Agnieszki jej prywatnym azylem. Tu chodziła do szkoły, tutaj dorastała, tutaj też spędziła większą część swojego życia. Wspominała o niej w tekstach swoich piosenek; z Saską Kępą wiązały się jej najpiękniejsze wspomnienia.

Pan Wiktor uwielbiał córkę, uczył ją obcowania ze sztuką, przekazywał swoje zainteresowania. Nakłaniał do aktywnego trybu życia, zapewnił lekcje tenisa, pływania, pragnął nawet, by Agnieszka zajęła się szybownictwem. Córka miała się stać produktem jego pasji i ciekawości życia.

„Ojcu zawdzięczam usposobienie trampa – przyznawała Osiecka po latach – niechęć do nacjonalizmu, rzemieślniczy nieco stosunek do sztuki, sceptycyzm w ocenie ludzi oraz swoiste szwejkowsko-galicyjsko-okupacyjne poczucie humoru”[3].

Zupełnie odmienną osobowością była matka Agnieszki. Pani Maria bała się życia i starała się osłonić córkę przed jego okropnościami. Wybierała przy tym jak najgorsze metody – nie mówiła Agnieszce prawdy, podsłuchiwała jej rozmowy i czytała korespondencję. W swoistej troskliwości posunęła się tak daleko, że pragnęła wychować ją w całkowitym oderwaniu od realnego świata.

„Odkąd pamiętam – uczyła mnie lęku. A raczej: z rozmysłem zarażała mnie własnym lękiem. A bała się wszystkiego: burzy, wiatru, pukania do drzwi. (...) A już najbardziej zależało jej na tym, żebym przeraźliwie bała się seksu. Dawno temu, kiedy miałam siedem czy osiem lat, szłam z mamą wieczorem przez park. Nagle zobaczyłyśmy całującą się parę. Mama szepnęła spanikowana: »Uciekajmy, prędko, nie patrz tam. To obrzydliwe«. Oczywiście, uciekłyśmy”[4].

Maria Osiecka miała raczej chłodne usposobienie – Agnieszka nie odczuwała jej miłości, nie słyszała też od niej „nic miłego”. A to w przyszłości musiało się odbić na życiu emocjonalnym pisarki, która właściwie nigdy nie stworzyła udanego związku partnerskiego.

Wiktor Osiecki był bardzo przystojnym i eleganckim mężczyzną, toteż nigdy nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. I jak na artystę przystało, nie był typem wiernego męża. Z racji wykonywanego zawodu miał wiele możliwości kontaktów z kobietami, a do tego pracował w porach, które sprzyjały nieformalnym związkom. Z zapisów w dzienniku Agnieszki dowiadujemy się, że już w marcu 1950 roku jej ojciec dobrze znał śpiewaczkę Józefinę Pellegrini, dla której w przyszłości miał opuścić żonę. Artystka odwiedzała mieszkanie Osieckich, ćwiczyła razem z Wiktorem, co jego córkę wprawiało w nerwowy nastrój. Agnieszka nie podejrzewała jeszcze ojca o romans, ale nie znosiła śpiewu Pellegrini i nie ukrywała ulgi, gdy śpiewaczka „wynosiła się razem ze swoim gardłem, perfumami, nutami i sopranem”.

Józefina Pellegrini była młodsza od Osieckiego o 16 lat. Karierę rozpoczynała w kawiarniach okupowanej Warszawy, a po zakończeniu wojny występowała na scenach łódzkich. Po powrocie do stolicy brała udział w koncertach organizowanych przez tutejszą Estradę, współpracowała również z Polskim Radiem. Była bardzo atrakcyjną kobietą, toteż pan Wiktor znalazł się całkowicie pod jej urokiem.

Maria Osiecka wiedziała o romansie męża, ale wcale nie myślała o opuszczeniu go. Niebawem o wszystkim dowiedziała się również Agnieszka, a wiedza ta spadła na nią jak grom z jasnego nieba, gdy przypadkowo podsłuchała rozmowę telefoniczną ojca z kochanką.

„[...] Był bardzo zdenerwowany – wspominał Janusz Gazda – błagał tę kobietę, by go nie opuszczała, jego głos był dziwnie odmieniony, takiego go Agnieszka nigdy nie słyszała. Prosił, błagał, mówił z jakimś dziwnym podnieceniem, co córka odbierała jako coś nienaturalnego i zwierzęcego. Dla Agnieszki był to potworny szok, nie tylko dlatego, że w tym momencie pojawiła się skaza na nieskalanych dotychczas wyobrażeniach o rodzicach, ale także ze względu na ten tak bardzo odmieniony ton ojca i na sposób, w jaki ojciec, jej zdaniem, poniżał się. [...] Pamiętam, z jaką zazdrością, ale także ze wzruszeniem obserwowała później moich rodziców, kiedy pocałunkiem żegnali się lub witali codziennie, gdy ojciec szedł do pracy lub z niej wracał”[5].

Dziewczyna szybko zidentyfikowała kochankę ojca, nazwisko śpiewaczki pojawiało się zresztą w czasie kłótni rodziców. Pomimo szoku, jaki przeżyła, nie dawała artystce odczuć, że wie o stosunkach łączących ją z ojcem. A w swoim dzienniku starała się być wobec niej obiektywna, aczkolwiek z pewną nutą złośliwości.

„Pani Pellegrini – notowała w marcu 1951 roku – śpiewaczka, kochanka mojego ojca. Ma strasznie krótki wzrok, chorobę Basedowa i cudowny dar ujmowania sobie ludzi. Kocha do szaleństwa swych 2 małych synków i po rozwodzie z mężem bardzo dużo dla nich pracuje i za mało leczy się. Jest bardzo dobra i cierpliwa, wyrozumiała dla ludzi. Nerwowa bez hysterii”[6].

Wprawdzie Maria Osiecka nie chciała rozwodu i na swój sposób pogodziła się z niewiernością męża, ale jej rywalka nie zamierzała zadowolić się wyłącznie rolą kochanki. Sprawę ułatwiał fakt, że Pellegrini i Osiecki pracowali w Teatrze Syrena (Wiktor był tam kierownikiem muzycznym), a Agnieszka stała się już dorosłą kobietą.

Rozwód nastąpił w 1959 roku, po czym muzyk wyprowadził się do kochanki, którą niebawem poślubił.

„Agnieszka zaakceptowała ten fakt – wspominała Pellegrini – nie było między nami żadnej niezdrowej atmosfery, żadnej nienawiści. Na przykład regularnie spotykaliśmy się podczas różnych świąt. Między mną a panią Marią Osiecką panowały zawsze dobre stosunki. Kiedy owdowiałam [Wiktor Osiecki zmarł w 1977 roku – S.K.], byłam przez nią zapraszana na wszystkie Wigilie. Pozostawałyśmy w stałym kontakcie telefonicznym. [...] Pani Maria była wyjątkową osobą”[7].

Wzajemne stosunki faktycznie musiały układać się dość przyzwoicie, albowiem Agnieszka czasami nawet pomieszkiwała u ojca i jego nowej partnerki. Ułożyła też sobie dobre relacje z synami macochy, chociaż zapewne w głębi duszy nigdy nie wybaczyła ojcu odejścia od rodziny.

Józefina Pellegrini przeżyła nie tylko męża i jego pierwszą żonę, ale również Agnieszkę. Po śmierci Wiktora wycofała się jednak z czynnego życia artystycznego. W zamian zajęła się parapsychologią, napisała dwie książki na ten temat i przygotowywała horoskopy dla prasy oraz stacji radiowych. Zmarła w 2001 roku.

## OJCIEC I CÓRKA

Wiktor Osiecki był mężczyzną o ogromnym uroku osobistym i podobno wiele koleżanek Agnieszki „się w nim kochało”. Miał też dużą skłonność do niekonwencjonalnych zachowań, co przy jego specyficznym poczuciu humoru tworzyło niezwykłą mieszankę.

„Pewnego razu jeden z gości – opowiadał Jerzy Gruza – Jugosłowianin, z właściwą sobie butą i pewniactwem – a były to czasy, gdy oni byli dla nas jakby »Zachodem«, a my dla nich czymś o wiele gorszym od Czecha, Rusa, nie mówiąc już o Niemcach, zażądał, aby zagrać mu jakiś ludowy kawałek, w rodzaju naszego *Szła dziewczeczka do laseczka*. Wiktor Osiecki spokojnie powiedział, że tego nie zna, ale gdy Jugol przyniesie płytę, to on z pewnością potrafi powtórzyć tę melodię na fortepianie i stale już będzie ją grał...”[8].

Następnego dnia muzyk odwiedził ambasadę jugosłowiańską w Warszawie, gdzie bez problemu otrzymał nuty tego utworu. Szybko nauczył się go na pamięć i wieczorem był przygotowany na przyjęcie intruza.

„Gdy Jugol pojawił się na sali – kontynuował Gruza – podszedł do siedzącego przy fortepianie pana Wiktora i wręczył mu płytę z ulubioną melodią.

Pan Wiktor bez słowa położył płytę na pulpicie, tam gdzie pianista zwykle trzyma nuty. Gestem światowej sławy wirtuoza wziął rozmach i zagrał bezbłędnie żadaną melodię. Jugosłowianinowi wyszły ze zdumienia oczy, przekrwione po wczorajszej balandze z polskimi kurwami.

To był żart w stylu dawnych mistrzów, takich jak Dymsza, Eryk Lipiński, [...] którzy z niesłychanym poświęceniem, nakładem energii, czasu i środków potrafili

tygodniami organizować i prowokować jakąś zabawną sytuację z kolegami – towarzyską »Ukrytą kamerę« tamtych lat»[9].

Agnieszka zawsze czuła się ogromnie związana z ojcem, chociaż z upływem lat oceniała go coraz bardziej surowo. Literackim odbiciem jej stosunku do niego była wydana w 1970 roku powieść *Zabiłam ptaka w locie*, w której dała wyraz swoim skomplikowanym uczuciom. Ojciec był zresztą wnikliwym i surowym krytykiem jej twórczości, a ona zawsze liczyła się z jego opiniami. Zdarzało się również, że artystyczne drogi Wiktora i Agnieszki przecinały się – oboje współpracowali ze sobą na przykład przy spektaklu *Łotrzyce*, wystawionym na scenie STS-u w 1974 roku.

## W POSZUKIWANIU WŁASNEJ DROGI

Artystyczna dusza nie przeszkadzała Osieckiemu cenić solidnego wykształcenia. Jego marzeniem były studia ukochanej córki, najlepiej na więcej niż jednym kierunku. Dlatego rozpierała go duma, gdy w 1952 roku Agnieszka rozpoczynała naukę na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Kierunek był adekwatny do jej zainteresowań, ale czasy nie sprzyjały rozwojowi indywidualności. Trwała czarna noc stalinizmu, a wydział uchodził za najbardziej upolityczniony na uczelni.

„[...] Wyniosłam stamtąd – wspominała Osiecka – zdecydowanie złe i jakieś tępe, mulące wspomnienie. Poziom studiów był marny, a stosunki tam panujące – potworne. Profesura bała się młodzieży, i vice versa. Wśród studentów kwitło donosicielstwo. Może mam »skrzywioną optykę«, ale nie znoszę wszystkich kolegów i koleżanek z mojego roku, od A do Z (oprócz Hani Żurek, oczywiście, ale ona jest na Ż)”[10].

Dziewczyna z „dobrego domu”, „żywiółowa, dowcipna i ironiczna” nie pasowała do tego środowiska. Z „ostentacją obnosiła swoją inteligencję i pozorną beztroskę”, a przecież ceniono studentki „ideowe, bojowe i pryncypialne”.

„Patrzyłem na nią z wielką przyjemnością – wspominał Jerzy Urban, który studiował o rok wyżej – tym bardziej że na dziennikarstwie, jak wszędzie, obowiązywały kryteria klasowe. Były więc dziewczyny krępe, niskie, nabite. A ona smukła i jasna, niczym panienka z polskiego dworku”[11].

W tej sytuacji musiało dojść do konfliktu, który dla Osieckiej omal nie zakończył się usunięciem z uczelni. Przyczyna była prozaiczna. Dwóch wykładowców nie powróciło na wydział przed rozpoczęciem roku akademickiego, a kilka osób nie miało potwierdzenia obecności na ich wykładach. Janusz Gazda (kolega Agnieszki z roku i jej ówczesny chłopak) podrobił w indeksach podpisy wykładowców, fałszerstwo wykryto i sprawą zajęła się komisja dyscyplinarna. Winnych ukarano upomnieniami, zdecydowanie gorzej natomiast potoczyły się sprawy na zebraniu ZMP. Gazdę poddano surowej krytyce, okazało się jednak, że prawdziwym problemem dla działaczy jest Agnieszka Osiecka.

„Czegoż jej nie zaczęto wypominać! – wspominał Gazda po latach. – I luksusowe

mieszkanie na Saskiej Kępie, choć były to zaledwie dwa pokoje z kuchnią na trzy osoby. I gosposię zatrudnioną na przychodne. I biały telefon. I nazbyt swobodny, jak uznano, sposób ubierania się. A przede wszystkim – jej inteligencność”[12].

Pojawiły się również zarzuty cięższego kalibru, podobno widziano Agnieszkę śmiejącą się po śmierci Stalina, co było wyjątkową zbrodnią. Gazda otrzymał naganę, a Osiecką usunięto z ZMP. Gorliwi działacze zażądali jednocześnie skreślenia jej z listy studentów, ale na szczęście władze uczelni ten postulat zignorowały. Osiecka odwołała się zresztą do Sądu Centralnego ZMP, który na nowo przyjął ją w szeregi organizacji.

Jaśniejszą stroną studenckiego życia okazały się natomiast praktyki zawodowe w „Głosie Wybrzeża”. Agnieszka jechała wprawdzie do Gdańska z poważnymi obawami, ale przyjęto ją tam nad wyraz ciepło. W redakcji pracowali bowiem ludzie inteligentni, z poczuciem humoru, nieobojętni na urok dziewczyny marzącej o wywiadzie z Neptunem.

„Za biurkiem siedział pucołowaty pan – wspominała Osiecka – w grubych okularach i sraczkowatym garniturku. To był Sławek Sierecki. Ten człowiek sam nie wie, ile dla mnie zrobił. I on, i Kajtek Marcinkowski, i siwiutki Święcicki, wszyscy oni wiedzieli, pod jakimi zarzutami wylewali mnie z ZMP i jak bardzo przylgnęła do mnie opinia »wroga ludu«. W tych czasach skrajnego zidiocenia i inkwizycji normalne byłoby, gdyby zachowali w stosunku do mnie co najmniej ostrożność. Tymczasem okazali mi zaufanie. Nie zadali mi ani jednego pytania”[13].

Na Wybrzeżu trafiła na właściwe dla siebie środowisko. Pisała „uczciwe, proste reportaże z hoteli robotniczych, z barek, ze stoczni”. Najważniejsze jednak okazało się polecenie dotyczące przygotowania materiału o młodej scenie teatralnej. Zainteresowała się studenckim teatrzykiem Bim-Bom kierowanym przez Zbyszka Cybulskiego i Bogumiła Kobiełę, ludzi utalentowanych, dynamicznych, ciekawych świata. Poznała też osoby, z którymi później miała się przyjaźnić i współpracować: Kalinę Jędrusik, Stanisława Dygata i Edmunda Fettinga. Nie zmienia to jednak faktu, że w przypadku Osieckiej dziennikarstwo okazało się pomyłką.

„Jedno jej w tym pisaniu do gazety przeszkadzało – twierdził Sławomir Sierecki. – Bogata wyobraźnia. Niemal każdy temat chciała »przeżyć«, w każdy się angażowała. Kiedy wracała do domu, do Warszawy, często zatrzymywała się w Malborku, żeby noc spędzić w ruinach zamku i zanurzyć się w świecie »duchów«, przeszłości, doznać dreszczyku emocji, nasycić swoją wyobraźnię”[14].

Zawód dziennikarza wymaga zupełnie innych predyspozycji psychicznych niż te, które posiadała Osiecka. Dziennikarz to typ człowieka, który musi sprawdzić każdą informację, natomiast Agnieszka była „kolorowym ptakiem” zanurzonym w poezję. Dlatego też nigdy właściwie nie udało się jej napisać dobrego artykułu. Wprawdzie po latach dużo publikowała w prasie, ale nigdy nie była to typowo dziennikarska robota.



**Witold Dąbrowski**





## STS

**N**iewiele już osób pamięta, jaką rolę w życiu kulturalnym stolicy (i nie tylko) odgrywał Studencki Teatr Satyryków. Założonej w 1954 roku scenie przyświecała dewiza Andrzeja Jareckiego („Mnie nie jest wszystko jedno”), a specjalnością teatru stały się rewie satyryczne.

„[Po śmierci Stalina] doszło do zjawiska, które wyszło daleko poza krąg kultury studenckiej – wspominał aktor Ryszard Pracz. – Były to satyryczno-kabaretowe zespoły studenckie. Pierwszym był warszawski STS, czyli Studencki Teatr Satyryków. Po nim powstał w Gdańsku Teatrzyk Bim-Bom. Już w maju 1955 roku na I Ogólnopolskim Przeglądzie Studenckich Teatrów Satyrycznych w Warszawie spotkały się (poza naszym STS-em): D.S.S. (Dziennikarska Spółdzielnia Satyryczna) przy Wydziale Dziennikarskim UW, Bim-Bom z Gdańska, Cytryna i Pstrąg z Łodzi, Satyromycyna z Akademii Medycznej w Rokitnicy na Śląsku i poznański Żółtodziób”[15].

Kabarety tworzyli ludzie młodzi, chcący zmieniać świat. Kończyła się stalinowska noc i dość powszechnie uważano, że nadchodzą lepsze czasy. Studenci pragnęli zabierać głos w najważniejszych sprawach swojego pokolenia, nie zamierzali dłużej milczeć. I cechował ich ogromny entuzjazm twórczy.

„Po każdej takiej imprezie – opowiadał Pracz – a później także po każdej premierze czy to w Bim-Bomie, czy w Pstrągu, czy u nas, spotykaliśmy się, dyskutując zawzięcie, nieraz do rana. Tworzył się front młodych, myślących ludzi. Byliśmy pionierami odwilży w Polsce. Dlatego może taką karierę zrobił tytuł naszego czwartego programu *Myślenie ma kolosalną przyszłość*”[16].

Początkowo zespół miał przekonania mocno lewicowe i pozostające w zgodzie z hasłem: „Socjalizm tak, wypaczenia nie”. Młodzi zapaleńcy akceptowali ustrój panujący w kraju i z całą powagą zwracali się do siebie per „towarzyszu”. Mieli przeciętnie po 20 lat, a każdy z nich „posiadał jeszcze niewypłowiałą zetempowską koszulę i czerwony krawat”.

„Byliśmy młodą lewicą – tłumaczyła Agnieszka Osiecka – przekonaniami bardziej zbliżoną do przedwojennego PPS niż do czerwonej komuny. Spieraliśmy się o stosunek do wyborów czy do Polski przedwojennej. Dla mnie najważniejsze było, że mądrzejsi i starsi ode mnie koledzy marzyli o Polsce, w której nie trzeba się będzie bać”[17].

W pierwszym składzie STS-u dominowali studenci Uniwersytetu Warszawskiego, z czasem jednak zaczęli pojawiać się również słuchacze i absolwenci innych uczelni. Z gdańskiego Bim-Bomu przyszli Edward Pałasz i Jacek Fedorowicz,

dołączyło kilkoro studentów warszawskiej PWST. Niektórzy pojawiali się tam zupełnie przypadkowo – Krystyna Sienkiewicz, studentka ASP, przyszła zastąpić chorą koleżankę i na całe lata pozostała w zespole.

„STS był bardziej ośrodkiem buntu niż działań artystycznych – wspominała Osiecka. – Przedstawienia były wzorowane na spektaklach zbliżonych do gazety. Nasze spotkania przypominały spotkania komórki politycznej. Piliśmy dużo mocnej herbaty, spotykaliśmy się w mieszkaniach i wymyślaliśmy tzw. formułę polityczną przedstawienia”[18].

W 1956 roku zespół dostał od władz Warszawy własną scenę w klasycystycznym budynku przy alei Świerczewskiego 76 (obecnie aleja Solidarności – siedziba Warszawskiej Opery Kameralnej). Było to miejsce z bogatą przeszłością, albowiem dotychczas mieściły się tam: loża masońska, kaplica ewangelicka, prosektorium, kostnica, szpital powstańczy oraz scena zespołu teatru liliputów.

Odtąd to właśnie tam koncentrowało się życie sceniczne i towarzyskie STS-u, co było o tyle zrozumiałe, że z czasem przy teatrze powstał też barek czynny praktycznie przez całą dobę. W stolicy nazywano go „małym SPATiF-em”.

„[...] często po zamknięciu restauracji Klubu Aktora w Alejach Ujazdowskich – wspominał Prac – zjawiała się u nas grupka kolegów-aktorów z innych teatrów, by »poszaleć« z nami w barku u niezapomnianej pani Katarzyny Wietrzykowskiej, czyli po prostu pani Kasi, która była niewątpliwie pionierką kapitalizmu w Polsce; była do naszej dyspozycji o każdej porze i aż do ostatniego gościa”[19].

W siedzibie teatru organizowano również wesela członków zespołu, obchodzono imieniny oraz ważniejsze rocznice STS-u. Kultowymi imprezami były seanse gry w makao, które wprowadził Ziemowit Fedecki.

Do legendy przeszły również zabawy sylwestrowe, a szczególnie pierwsza z nich, zorganizowana na pożegnanie 1957 roku. Powołano wówczas Wolną Republikę STS i wydano specjalną *Ustawę o sylwestrze*. Teatr zamieniono we francuskie miasteczko, a jego merem został Wojciech Solarz. Republika miała istnieć do „wypicia przez jej mieszkańców ostatniego klina z zapasów państwowych i do momentu wydania ostatniego tchu”.

Na imprezie tej pojawiło się wiele osób niezwiązanych bezpośrednio z STS-em. Byli tam filmowcy: Andrzej Wajda, Stanisław Bareja i Janusz Morgenstern, a ten ostatni planował nawet nakręcić film o zespole. Ostatecznie jednak przeniósł swoje zainteresowanie na gdański Bim-Bom.

„Pokazano mi przy barze Mieczysława Rakowskiego – relacjonował Jarosław Abramow – bardzo młodego i pełnego uroku blondyna z grzywką nad czołem. Miał wielkie powodzenie u pań, a swoją bezpośredniością i prostotą zdobywał sobie naszą sympatię. Był zastępcą redaktora naczelnego Stefana Żółkiewskiego w »Polityce« i mówiono, że na co dzień ją prowadzi. Jego żona, znakomita skrzypaczka, laureatka nagrody imienia Wieniawskiego, ze słynnej muzycznej rodziny Wiłkomirskich, niektórych z nas – jak Witka czy Markusza – od dawna znała”[20].

STS stał się modny wśród elit ówczesnej Warszawy, na jego przedstawieniach pojawiali się: Słonimski, Konwicki, Axer. Bywali tu również Jan Świdorski oraz

Kazimierz i Marian Brandysowie. Warszawa uznała zespół za wizytówkę kulturalną miasta, do dobrego tonu należało skomentowanie nowego programu STS-u. Na widowni zasiadali nawet członkowie władz, dzięki czemu aktorzy teatru w sytuacjach kryzysowych mogli liczyć na ich interwencję.

„Przykładem na zapatrywanie się władz na naszą działalność – opowiadał Abramow – może być stosunek ówczesnego ministra kultury i sztuki, Włodzimierza Sokorskiego. Gdy w naszej pracy wynikały czasem problemy, wiedzieliśmy, że zawsze możemy się dostać do jego gabinetu. Na przykład po *Konfrontacji*, którą był zachwycony, nieoczekiwanie nadeszła dla nas twarda rzeczywistość. Każdy po obronie pracy magisterskiej otrzymał nakaz udania się do pracy gdzieś w Polsce. Teatrowi groził rozpad, gdyż od takiego nakazu praktycznie nie było odwołania. Poszliśmy do Sokorskiego i powiedzieliśmy, co nas boli. Zadzwoił do Rapackiego [ministra szkolnictwa wyższego – S.K.], w którego gestii leżała nasza sprawa, i powiedział mniej więcej tak: Adam, pomóż mi, gdyż rozpadnie się mój socjalistyczny teatr. No i cofnięto nam skierowania”[21].

## MIŁOŚĆ I POEZJA

Agnieszka trafiła do STS-u towarzysko, członkowie kabaretu „podobali jej się jako grupa interesujących ludzi”. Początkowo chciała „po prostu być z nimi”, dobrze wiedząc, że nie ma zdolności aktorskich czy reżyserskich. Ktoś jednak wpadł na pomysł, aby napisała tekst piosenki. Do programu była już „prawie gotowa składanka”, ale „brakowało przerywników”. Przygotowała więc utwór, który uzyskał akceptację zespołu, a niebawem pojawiły się kolejne. Agnieszka nazywała je swoimi „małymi bzdurkami”.

Osiecka szybko stała się niezastąpiona, jej piosenki były potrzebne, chociaż czasami faktycznie tylko w formie przerywnika. Liryczne teksty łagodziły nastrój, dawały potrzebny oddech, oznaczały chwilę odpoczynku od polityki.

Niebawem w programach zaczęły pojawiać się jej „piosenki reportażowe”, których bohaterami byli zwykli ludzie ze swoimi radościami i problemami. Stanowiły ilustrację życia ówczesnej Warszawy i jej mieszkańców, zupełnie odmienną od nachalnej, oficjalnej propagandy. Uważano, że Osiecka stworzyła nowy nurt piosenki nazywany „liryką obywatelską”.

„[...] Agnieszka tworzyła lekko, łatwo i przyjemnie – mówił Jerzy Markuszewski. – Jej teksty, choć nie programowe, w kolejnych programach coraz bardziej się podobały. Pełne polotu i dowcipu, wzruszające i śmieszne, znakomicie trafiały w nastroje społeczne”[22].

W opanowaniu warsztatu pisarskiego pomogła jej bliska znajomość z Witoldem Dąbrowskim. Starszy od niej o trzy lata poeta poprawiał jej teksty, „korygował je i kontrolował”. Ona „przyjmowała te uwagi z nabożną czcią, należną mistrzowi” i rzeczywiście wiele się od niego nauczyła.

Dąbrowski był absolwentem polonistyki i filozofii, pierwsze wiersze opublikował

w wieku 17 lat. Gdy poznał Agnieszkę, imponowała mu poezja zaangażowana, mówiono, że chciał być drugim Majakowskim. Otoczenie zarzucało mu nadmierne przywiązanie do komunistycznych dogmatów, ale Agnieszki to nie zniechęcało. Nawet wtedy, gdy partner krytykował „mieszkańskie obyczaje” jej rodzinnego domu.

Zimą 1956 roku zespół STS-u w komplecie pojechał do Dusznik. Tam Agnieszka dzieliła pokój z Dąbrowskim, przeżyli wtedy swój „pierwszy krok w chmurach”. Po latach jednak uważała, że oboje nie byli jeszcze gotowi na dojrzałe uczucie.

„Nasze dusznickie noce nigdy nie były dorosłe. Leżeliśmy obok siebie przerażeni i strasznie młodzi, zdziwieni, że to może być takie wielkie i godne, byliśmy bardzo piękni. Zachwycałam się Witoldem, tak jak nie zachwycałam się niczym i nikim. To było największe ze wszystkiego, co miałam w życiu... W Dusznikach byłam Agnieszką zakochaną. Ten jeden jedyny raz zakochaną tak, że nie obchodziły mnie moje własne hasła o niezależności”[23].

Ich związek nie miał jednak przyszłości, chociaż po latach określiła go jako „jedyną w swoim życiu walkę o szczęście”. Poeta nie potrafił zdobyć się na ostateczną deklarację, bo chociaż wyznał Osieckiej miłość, to uważał, że jest zbyt wcześnie na małżeństwo i związek na całe życie.

Tymczasem dla Agnieszki liczyła się tylko perspektywa zamieszkania „na poddaszu z nim”. Dużą rolę odgrywała też nadzieja na wyrwanie się z rodzinnego domu, gdzie coraz bardziej doskwierała jej kontrola ze strony rodziców. Ale partner szybko sprowadził ją na ziemię. Chociaż miał własne niewielkie mieszkanie na Muranowie (dotychczas zajmowała je żona jednego z kolegów z STS-u), to „powiedział parę zdań”, które w istotny sposób „zaważyły na ich sprawach”.

„Powiedział mianowicie – wspominała Osiecka – że pokoik na Muranowie ze względu na wszystkie swoje mankamenty nie stanie się jeszcze naszym wspólnym domem. Że będzie to na pewno nasze dobre miejsce na ziemi, ale prawdziwy wspólny dom będzie dopiero potem. Nie wyobrażałam sobie bardziej lodowatego prysznica”[24].

Był to poważny cios dla nieprzytomnie zakochanej 20-letniej dziewczyny. Zrozumiała, że nie jest „na końcu drogi, tylko na początku”. Na domiar złego jej ukochany głęboko przeżywał słynny referat Chruszczowa z XX zjazdu KPZR i ujawnienie stalinowskich zbrodni. Dąbrowski był bowiem fanatycznym zwolennikiem marksizmu i nie mieściło mu się w głowie, że ten system mógł być bardziej zbrodniczy niż nazizm. W konsekwencji zaczął oddalać się od Agnieszki i STS-u.

Osiecka także nie traciła czasu. Flirtowała z Grzegorzem Lasotą, spotykała się również z innym członkiem STS-u, kompozytorem Stanisławem Młynarczykiem. A podczas pobytu zespołu we Francji nawiązała romans z Andrzejem Jareckim i jakoś nie przeszkadzało jej to, że był on żonaty. Najwyraźniej zamierzała ostatecznie wyleczyć się z miłości do Dąbrowskiego.

Po powrocie do kraju utrzymywała romans z Jareckim, nadal spotykając się również z Młynarczykiem. Wydaje się, że specjalnie drażniła Witolda, który nagle zaczął być o nią zazdrosny. Podczas pobytu STS-u w Trójmieście na oczach Dąbrowskiego tańczyła zmysłowe tango w ramionach Młynarczyka, wiedząc, że doprowadza tym poetę do wściekłości.

W Warszawie doszło już do zupełnego absurdu – Osiecka tak planowała dzień, aby po południu i wieczorem widywać się z Dąbrowskim, natomiast poranki spędzać z Młynarczykiem. A do tego czasami dochodził jeszcze Jarecki...

Ostatecznie Agnieszka zaczęła unikać ich wszystkich, bo opuściły ją wszelkie uczucia „poza chęcią ucieczki”. Najpierw przestała spotykać się z Młynarczykiem, a niedługo później nastąpił oficjalny koniec jej związku z Dąbrowskim. On zaś niebawem na zawsze opuścił STS, w którym od dawna nie czuł się już dobrze.

„Świetny poeta – uważał Jarosław Abramow – nie miał talentów satyryka i humorysty ani wyczucia sceny. W końcu wymagaliśmy od niego jedynie programowego wiersza i wyciągnięcie go w terminie było prawdziwą męką. Witek rodził powoli i w bólach. [...] Gdy więc [...] odszedł od nas z powodów ideowych w 1957 roku – dość łatwo to przeboleliśmy. I nie było katastrofy. Gdyby wraz z nim odeszła Agnieszka – taka katastrofa niechybnie by nastąpiła”[25].

Uczucie do Dąbrowskiego pozostawiło ślady w psychice Agnieszki. Choć w przyszłości miała kochać jeszcze wielu mężczyzn, to jednak nigdy już nie zaangażowała się w podobnie idealistyczny sposób. Była to jej pierwsza, dziewczęca miłość, która nie mogła przetrwać próby czasu. To właśnie wówczas zrozumiała, że w sprawach uczuciowych nie może od nikogo oczekiwać pomocy, że zawsze będzie musiała sama rozwiązywać swoje problemy. I niewiele pomoże szukanie zapomnienia w ramionach innych mężczyzn.

„Morze hałasowało, nie sposób było normalnie mówić, marzliśmy – wspominała po latach jeden z ostatnich spacerów z Witoldem. – Z wielkim trudem udało się nam zapalić papierosa. [...] Próbowałam opowiadać mu dobre rzeczy o tym wściekłym morzu, ale przecież sam widział, co się dzieje. Było ciemno, mogłam płakać. Witold nic nie widział, był zmarznięty i zadowolony. [...] Wtedy chyba po raz pierwszy pomyślałam o sobie »kurwa«. Woda była czarna i zła, znikąd pomocy, zostałam zupełnie sama”[26].

## MAZURY

Artyści STS-u wspólnie spędzali wolny czas i można wręcz podejrzewać, że byli uzależnieni od swojego towarzystwa. Razem wyjeżdżali na „obozy twórcze”, nie rozstawali się nawet podczas wakacji. Nigdy nie potrzebowali odpoczynku od siebie nawzajem.

„[...] byliśmy bardzo takim zżyтым klanem – wyjaśniała Krystyna Sienkiewicz. – Każdy się okropnie dziwił, że latami całymi ze sobą pracujemy, a potem przychodziły wakacje i myśmy się razem znajdowali na tych samych wakacjach”[27].

Początkowo były to wyprawy w podgrupach. Wyjeżdżali na Ziemię Odzyskaną, w rejony stanowiące białą plamę na turystycznej mapie Polski. Szczególnie pociągały ich dzikie, niemal bezludne Mazury. Oferowały one młodym ludziom to, czego najbardziej poszukiwali: przygodę i podróż w nieznaną.



„Był więc spływ kajakowy rzeczką Krutynią – wspominał Prac – na której wtedy trudno było jeszcze spotkać drugiego kajakarza – wtedy następował biwak i częstowanie wszystkimi dobrami itp. Przepłynęliśmy z Markiem Lusztigiem trasę Sorkwity-Giżycko, po czym z Andrzejem Drawiczem i Jarkiem Abramowem wiele innych tras aż do Krzyży nad Jeziorem Nidzkim. [...] A wypłynął nam naprzeciw kajakiem nasz pan Ziemek Fedecki zasiedziały już od dawna w tym miejscu”[28].

Nocowali w domach Mazurów, którzy przed wojną przyznawali się do polskości i pozostali na rodzinnej ziemi po włączeniu jej w granice PRL-u. Artyści STS-u nie mogli się nadziwić, że ci ludzie „byli niszczeni zarówno przez Niemców, jak i przez Rosjan”, a teraz prześladują ich polskie władze. Inna sprawa, że obyczaje autochtonów czasami zaskakiwały przybyszów z Warszawy.

„[...] pomieszkiwałem w środku wsi u państwa Kwiatkowskich – opowiadał Adam Sławiński. – Pani Kwiatkowska, osoba w podeszłym wieku, ale zawsze rześka i pogodna, była podobno przed wojną zaangażowana w działalność na rzecz polskości Mazurów. Agnieszka [Osiecka] opowiadała, że któregoś dnia spotkała ją niezwykle osowiałą.

– Dlaczego pani taka smutna? – zapytała.

– A... bo wnusio nam się urodził.

– To przecież radość.

– Ale bzdurki go okrzyczili: Gerhard.

– A pani jak chciała? – spytała Agnieszka, mając oczywiście na myśli katalog imion słowiańskich.

– Dyć Reinhard – odparła pani Kwiatkowska”[29].

## KRZYŻE

STS-owcy szybko uznali Krzyże nad Jeziorem Nidzkim za swoją wakacyjną siedzibę. Nie mieli większych wymagań, nie przeszkadzał im brak łazienek, bieżącej wody czy toalet – uznawali to nawet za specyficzną atrakcję tego miejsca. Prymitywizm warunków i dzika przyroda sprawiły, że Krzyże stały się dla nich miejscem magicznym – azylem, do którego tęsknili podczas pracy w Warszawie. Wieś zapewniała im izolację od świata zewnętrznego.

„Wynajmowaliśmy u chłopów izby – opowiadała Sienkiewicz – z wiadrem, miską i możliwością zagotowania wody na blasze kuchennej po to tylko, żeby wypoczywać wśród tych samych twarzy i tych samych tematów. Jezioro było nam wanną”[30].

STS-owcy po raz pierwszy pojawili się tam zwartą grupą u schyłku lat 50., osadę odkryli zresztą trochę przypadkowo.

„W 1959 roku z ZSP dostaliśmy skierowanie na wczasy w tanich domkach kempingowych w Zgonie nad jeziorem Mokrym – wspominał Jerzy Markuszewski. – Dostaliśmy szybko przeniesiemy się do Krzyży. Względy były czysto osobiste, chodziło



o konflikt, krótkotrwały zresztą, Jarka Abramowa z ojcem. Po prostu któregoś dnia popłynęliśmy kajakami na wycieczkę i kilka kilometrów dalej znaleźliśmy inną wieś – Krzyże – w której spędzaliśmy wszystkie nasze następne wakacje”[31].

Wsią zachwycili się nie tylko członkowie STS-u. Od lat jeździł do Krzyży także Jerzy Putrament, który lubił spędzać tam czas na łowieniu szczupaków. Natomiast w sierpniu 1959 roku po raz pierwszy pojawił się nad Jeziorem Nidzkim Mieczysław Rakowski i również uległ magii tego miejsca.

„Jest to osada »odkryta« chyba przez Ziemka Fedeckiego – pisał MFR. – U pp. Popowskich mieszka od lat Putrament, wielki wędkarz. My wynajmujemy pokój w domu gajowego Galińskiego. Dom stoi jakieś pięćdziesiąt metrów od Jeziora Nidzkiego. Z okna pokoju widok na jezioro, które jest cudowne. Nic na mnie tak melancholijnie nie działa jak fale obijające się o brzeg. [...] Nie tylko jezioro i fale wprowadzają mnie w ten przedziwny nastrój. Podobnie działa na mnie las, szczególnie zaś wysmukłe sosny [...]”[32].

Rakowski zamierzał systematycznie powracać nad Jezioro Nidzkie, dlatego sprowadził tu z Warszawy swoją Omegę, która dotychczas cumowała na Wiśle. Dla szefa „Polityki” Krzyże miały dwie podstawowe zalety. Zapewniały mu kontakt z przebywającymi tam artystami (o co zawsze zabiegał), nie do pogardzenia były również rozmowy z Putramentem. A poza tym MFR naprawdę lubił Mazury.

„Krzyże początku lat sześćdziesiątych, kiedy zacząłem tam jeździć, to handlowa i gastronomiczna pustynia – opowiadał Adam Sławiński. – W jedynym sklepiku były tylko zapleśniałe sporty i zbielała ze starości czekolada, ale też całkiem dobre... kapary. Na dostawę chleba oczekiwano w dwóch kolejkach: długiej babskiej, i krótszej, chłopskiej. Zgodnie z regułami patriarchy najpierw obsługiwało się mężczyzn. [...] Nie głodowaliśmy jednak. Jerzy Markuszewski z asystą warzył czasem zupę cebulową, Olga Lipińska smażyła grzyby zebrane w lasach przez »kolektyw«, a Putrament obdarowywał szczupakami”[33].

Agnieszka uwielbiała Krzyże, w których mogła wypoczywać, pracując jednocześnie. Dużo pisała, nie zwracała uwagi na upał i słońce, cieszyła się życiem, uwielbiała długie rozmowy na przystani, grę w karty, wzajemną wymianę myśli. Otoczenie zauważało, że na Mazurach odzyskiwała formę, bo Krzyże wyzwalały ją z reguł mieszczańskiego życia, zaspokajając pragnienie swobody.

Nad Jeziorem Nidzkim bywali również inni artyści. Aktorzy Ignacy Gogolewski i Władysław Kowalski, dyrygent Jerzy Semkow, kompozytor Maciej Małecki, plastycy: Aleksander Kobzdej i Franciszek Starowieyski, literaci: Adam Kreczmar i Marek Nowakowski. Nic dziwnego, że w letnie dni bywało tam „gwarno i wesoło”. Jednak życie towarzyskie toczyło się głównie wieczorami, na gankach miejscowych domów.

„Te ganki odgrywały ważną rolę w inicjowaniu życia towarzyskiego – kontynuował Sławiński – ktokolwiek drogą przechodził, mógł być zaproszony przez siedzących na ganku lub sam się do nich wprosić. Wieczorami biesiadowano w różnych grupach, rozmawiano, romansowano. Najczęściej jednak chyba grało się w makao. W letnie dni, przy ładnej pogodzie, życie towarzyskie i rozrywkowe skupiało się u pana Szczupakiewicza na przystani, która zarazem była plażą. Właściciel przystani był

człowiekiem z artystycznego *milieu*: studiował malarstwo razem z Andrzejem Wajdą, w pokoju trzymał na sztalugach wciąż ten sam nieukończony obraz”[34].

Nie koncentrowano się jednak wyłącznie na letnich rozrywkach. Osiecka pisała teksty swoich piosenek, Jarecki recytował nowe wiersze, dyskutowano o kolejnych programach teatru. Podczas wieczornych spacerów trwały „namiętne dyskusje i spory” programowe, które następnie kontynuowano przy ognisku. Nawiązywano też nowe znajomości, a niektórzy poznani w Krzyżach ludzie zasilali potem kadry STS-u.

## MIEJSCE, DO KTÓREGO SIĘ WRACA

„Wschodząca jutrzienka budzi ptaki – pisała Anna Prucnal. – Ptaki wodne nie śpiewają, one dyskutują. Jak weterani STS-u. Są z tej samej rodziny. Ukochali Mazury, migrują tam co roku. I jak ryby, które wracają tam na tarło, oni wracają tam tworzyć nowe. To tam rodzą się nowe przedstawienia, nowe wiersze i piosenki. W ich letniej rezydencji”[35].

Członkowie STS-u wrastali w mazurski krajobraz. Każdego roku pojawiali się u tych samych gospodarzy, każdy miał swój ulubiony pokój, który wynajmował na wakacje. Bywalcy letniska w Krzyżach potrafili nawet przyspieszyć przyjazd osoby, która, ich zdaniem, zbyt długo się z nim ociągała.

„Pamiętam, jak któregoś lata zostałem brutalnie porwany na Mazury – opowiadał Wojciech Solarz. – Zbyszek Cybulski zaprosił mnie na premierę *Salta* [czerwiec 1965 – S.K.] w reżyserii Tadeusza Konwickiego, gdzie zagrał główną rolę. W dniu premiery wypożyczyłem ciemne ubranie i poszedłem do kina. Po drodze zatrzymała się koło mnie škoda pana Fedeckiego. Razem z nim jechała jeszcze Olga Lipińska. Zatrzymali się i zaproponowali, że mnie podwiozą. Ruszyliśmy i... zatrzymaliśmy się dopiero w Krzyżach. Siedziałem z tyłu, nie mogąc wysiąść, bo škoda ma tylko dwoje drzwi. Pan Fedecki i Olga całą drogę zaśmiewali się, że jadę na Mazury w garniturze”[36].

Bywalcy Krzyży mogli sobie cenić prymitywizm miejscowych warunków, jednak nawet tam pewne udogodnienia były konieczne. Podstawową rolę odgrywały środki transportu wodnego, bo lokalne drogi były w fatalnym stanie, a poza tym samochody należały do rzadkich dóbr luksusowych. Toteż gdy Agnieszka Osiecka dostała wysoką nagrodę na festiwalu opolskim, kupiła motorówkę, którą nazwała *Mister Paganini* i sprowadziła ją na Mazury.

„Nie wiem, kto jej tę motorówkę montował, ale ona była genialnie idiotyczna – skarżył się Solarz – ponieważ kiedy skręcało się kierownicą w prawo, ster działał w lewo. Agnieszka pozwoliła mi się nią przepłynąć, przez co o mało nie rozbiłem kilku pomostów i jednostek pływających. Postanowiłem więc naprawić tę usterkę. Rozmontowałem, przemontowałem i silnik zaczął działać normalnie. Agnieszka zrobiła mi straszliwą awanturę, że ona się przyzwyczaiła, że jak skręca w lewo, to łódka płynie w prawo, i dla niej to rzecz naturalna”[37].

Solarz przywrócił wszystko do pierwotnego stanu, ale Osiecka nie byłaby sobą,

gdyby przywiązywała większą wagę do spraw materialnych. Wprawdzie uwielbiała swoją łódź, ale nawet w stosunku do niej okazywała właściwą sobie bez troskę.

„Pod koniec wakacji miałem popłynąć do Rucianego po bilet kolejowy – kontynuował pan Wojciech. – Przyplłynąłem, poszedłem na stację, kupiłem bilet, wróciłem, a w motorówce już nie było silnika... Ukradli.

Przeżyłem szok. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Należałem do tych, którzy nie wiedzieli, co to są duże pieniądze.

Tych siedem kilometrów do Krzyży przepłynąłem, wiosłując jakimś pagajem. A potem stanąłem przed nią, rozłożyłem ręce... I tu Agnieszka zaskoczyła mnie całkowicie: po prostu roześmiała się. Widocznie przedstawiałem sobą żalony widok.

Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu. Za to ja przez całe lata żyłem w przeświadczeniu, że jestem winien Agnieszce silnik do motorówki”[38].

W Krzyżach pojawiali się nowi partnerzy STS-owców, zdarzały się również małżeństwa wewnątrz zespołu (Andrzej Jarecki i Anna Prucnal, Krystyna Sienkiewicz i Andrzej Przyłubski). Na świat przychodziły dzieci, grupa spędzająca wakacje nad Jeziorem Nidzkim coraz bardziej się powiększała. Stałymi bywalcami Krzyży byli również dziennikarze „Polityki” odwiedzający Rakowskiego, który w pobliżu postawił dom. Potem zaczęli budować się również członkowie zespołu.

„Czas upływał na żeglowaniu – wspominał Daniel Passent – [...] oraz na placach ziemniaczanych (specjalność MFR), łowieniu i smażeniu ryb (w roli głównej Robert Sobczyński), spacerach po lesie i niekończących się dyskusjach przed domem na ganku. Mieszkaliśmy z Agnieszką [...] w domku Stacha Popowskiego albo »na górcie« w chałupie rodziny Padjasków. W obu tych domach wydawano obiady domowe, w tym niezapomniany makaron z czarnymi jagodami u pani Padjaskowej. Redaktor »Przeglądu Kulturalnego« i tłumacz *Les Misérables*, Gustaw Gottesman, przychodził do Jareckich ubrany w tweedową marynarkę, z własną, angielską herbatą, która w owych czasach, w okolicach Rucianego była nie lada rarytasem”[39].

W Krzyżach pojawiało się coraz więcej ludzi zwabionych legendą tego miejsca: grafik Robert Sobczyński, Michał Komar, Jan Pietrzak. Bywały tam również osoby niezwiązane ze sztuką, jak profesor medycyny Eugeniusz Butruk. Tego ostatniego miejscowe środowisko natychmiast zresztą zaakceptowało.

„Miał świetne poczucie humoru – tłumaczył Passent. – Dookoła niego, w tzw. Szczupaczówce [...], nad samym jeziorem, słuchaliśmy jego opowieści. [...] Zaprzyjaźniliśmy się z Gienkiem i z jego żoną Marylką. Nasze córki, Ania i Agata, wspólnie dorastały w Krzyżach”[40].

Koniec działalności STS-u oznaczał również kres wspólnych wyjazdów nad Jezioro Nidzkie. Zbiegło się to ze zmianami cywilizacyjnymi, które dla wielu weteranów teatru były nie do zaakceptowania. Także Osiecka nie mogła pogodzić się z faktem, że jej ukochane Krzyże zamieniają się w miejsce rozdeptywane przez tłumy turystów, jest tam „coraz więcej brudu i nowoczesnych technologii”. Przyznawała ze smutkiem po latach, że chociaż zwiedziła cały świat, to jednak nigdy nie znalazła dla siebie właściwego miejsca. Takiego jak ta mała wieś zagubiona gdzieś w lasach nad brzegiem Jeziora Nidzkiego.

„Kiedy się prawdziwie wielbi jakiś brzeg – pisała poetka – jakieś jezioro czy choćby wiejską chatę, to wcale nie trzeba umieć fotografować, żeby zrobić dobre zdjęcia. [...] Myśmy w latach sześćdziesiątych ukochali Mazury. My – to znaczy grupka przyjaciół z teatru STS, przyjaciele przyjaciół, a potem nasze dzieci. Mazury były odkryciem naszego pokolenia. [...] Mieliśmy marne aparaty, mało czasu, a przede wszystkim mało skupialiśmy się na robieniu zdjęć. Wszak – niczym pszczoły zaprzątnięte toczeniem miodu – zajęci byliśmy czym innym: wędrówkami do Wielkiej Sosny, pływaniami, żeglowaniem, wściekle naiwnym romansowaniem oraz polityką, bajką, snem. A także – składaniem wizyt. [...]

Od lat niewiele piszę o Mazurach, bo serce się kraje. Tylu przyjaciół nie żyje, tylu wyjechało, tylu do cna zmieszczaniało, a ja sama połamalam się”[\[41\]](#).



**Marek Hłasko**



## ŁÓDZKA FILMÓWKA

**P**o ukończeniu dziennikarstwa Osiecka rozpoczęła studia na wydziale reżyserskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. I chociaż nigdy nie zrobiła dyplomu, to nauka na tej uczelni miała odegrać w jej życiu ogromną rolę.

Była to bowiem wyjątkowo elitarna placówka z kilkusobowymi rocznikami, znakomitymi wykładowcami i bieżącym dostępem do najwybitniejszych osiągnięć sztuki filmowej. Studenci szkoły mogli oglądać praktycznie wszystkie najważniejsze filmy, jakie powstawały za żelazną kurtyną, a w kraju – ze względów finansowych czy ideologicznych – w ogóle nie pojawiały się na ekranach. Zresztą polityka ich wtedy nie interesowała, natomiast prawie każdy zastanawiał się, „jak zostać największym reżyserem na świecie”.

Panowała tam artystyczna atmosfera, a studenci filmówki zdecydowanie różnili się od kolegów Agnieszki z Wydziału Dziennikarstwa. Pochodzący z zamożnego domu Andrzej Strzyżowski „nosił amerykańskie krawaty z gołymi dziwkami, chodził w butach na grubych podeszwach”. Jego ubożsi koledzy zadowalali się wąskimi spodniami, żółtymi szalikami i obowiązkowymi beretami. Do tego dochodziły ubrania z zagranicznych paczek. Na terenie szkoły można było zobaczyć studentów w mundurach wojskowych państw zachodnich lub w swetrach rodem z marynarki handlowej. Najważniejsze były jednak berety i szaliki.

„Berety? – uśmiechał się operator Jacek Korcelli. – Nam się wydawało, że to jest coś artystycznego. I za to właśnie nas piętnowano, za postawę artystowską. Trwały prześladowania, ale ponieważ sam profesor Bohdziewicz nosił ozdobne skarpetki, zamszową marynarkę i często coś kolorowego pod szyją, więc on pierwszy uznał dokuczanie chłopcom z powodu stroju za bezsensowne”[42].

Ubiór to jednak nie wszystko. Młodość zawsze ma swoje prawa, których żaden ustrój polityczny nie potrafił stłamsić. Studenci pierwszego roku faktycznie dużo się uczyli, ale potem bywało już znacznie weselej. Młodzi filmowcy urządzali „straszliwe libacje”. Andrzej Munk „po pijaku przestawił latarnię na Wodnym Rynku”, a ambicją każdego starszego studenta było zorganizowanie sobie własnego klanu alkoholowego. W efekcie „wszyscy z młodszego roku musieli przejść kurs alkoholowy”.

„Z okazji 1 Maja – kontynuował Korcelli – ci, co uczyli się trochę lepiej i mieli dobrą średnią, dostawali pięćset złotych ekstra. Odbywały się wtedy straszne pijaństwa. Profesorowie też w nich brali udział albo przymykali oczy...”[43].

Szkoła była swoistą enklawą; uważano, że najciekawsze rzeczy w całej Łodzi dzieją się właśnie w jej murach. Niektórzy nie wychodzili z akademika całymi



tygodniami, chyba że zabrakło alkoholu i trzeba było „dopić się” na mieście. Celował w tym szczególnie Jan Łomnicki (brat Tadeusza), który uciekając kiedyś przed patrolem milicji, wpadł na komisariat (!) i zabarykadował się w areszcie. Wyrzucono go za to z ZMP, ale na uczelni pozostał...

Alkohol nie wyczerpywał jednak aktywności przyszłych filmowców. Chociaż wszyscy należeli do ZMP (poza wyrzuconymi za pijaństwo), to słuchali zakazanego jazzu i organizowali potańcówki dość odległe od socjalistycznych wzorców wychowawczych. Królował na nich jazz, uważany wówczas za muzykę amerykańskich imperialistów, co jednak nie przeszkadzało w tym, by do szkoły regularnie przyjeżdżali Melomani, czyli jeden z pierwszych zespołów jazzowych w Polsce.

„Jazz był jednak owocem zakazanym i część kolegów niechętnie go słuchała – przyznawał Korcelli. – Na zapleczu głównej sali, najczęściej pod wodzą [Bohdana] Poręby, zbierała się grupka i śpiewała marszowe pieśni w rodzaju *Antek murarz*. Wymagało to dużo samozaparcia, bo »Melomani« grali ślicznie”[44].

Jednak Osiecka chyba nie za bardzo pasowała do tego grona. Chociaż na wyższych rocznikach naukę pobierali: Roman Polański, Andrzej Kondratiuk, Janusz Majewski czy Andrzej Kostenko, to poetka była już zbyt zaangażowana w działalność STS-u, aby całkowicie poświęcić się sztuce filmowej.

„Agnieszka po pierwszym filmie powiedziała, że to jest nudne i głupie – wspominała Zofia Nasierowska. – Mimo to żadna z nas nie żałowała lat spędzonych w Łodzi. To był fantastyczny okres! Owszem, chciałybyśmy robić dobre filmy, ale skoro nam nie wychodziło, to przestałyśmy się tym zajmować”[45].

Osiecka nigdy jednak nie zapomniała wykładów Jerzego Toeplitza i Jerzego Mierzejewskiego oraz zajęć warsztatowych z Andrzejem Munkiem. Wiedziała już, że film nie jest jej przeznaczeniem, a mimo to chłonęła atmosferę i obserwowała. Nie miała zamiaru nauczyć się reżyserii, ale wysoko ceniła sobie obcowanie ze sztuką i poznawanie „metody artystycznej porządnego opowiadania historii tak, żeby było wiadomo, o co w niej chodzi”.

Porażką zakończyła się jej praca dyplomowa (etiuda o Mazurach), bo jak zwykle nie potrafiła dać sobie rady z aktorami.

„Kiedy w siódmym czy dziesiątym dublu zwróciłam aktorowi uwagę, aby z większym przejęciem tańczył ze swą ukochaną, on powiedział: »Ale ja czuję do niej wstręt fizyczny«. Elektrycy pokładali się ze śmiechu, aktorka płakała, ja zupełnie nie potrafiłam zapanować nad sytuacją. Nie miałam po prostu pomysłu na ten taniec. Liczyłam, że jak już zaczną tańczyć, to miłość sama będzie buchać”[46].

Uważała, że na planie filmowym „poza reżyserem i główną gwiazdą wszyscy się tam bardzo nudzą”, ale rozważała przeniesienie na ekran jednego ze swoich opowiadań. Janusz Morgenstern uznał, że są to teksty „nieprzekładalne na język kina”, co przyjęła ze zrozumieniem. Lat spędzonych w Łodzi nie uważała za stracone, bo poznała tam interesujących ludzi, których zawsze miała dobrze wspominać. Przydatne okazały się również pewne techniki filmowe – nauczyła się montażu, który później z powodzeniem wykorzystywała na scenie teatralnej. Ale świat filmu zdecydowanie nie był jej światem.

„Człowiek tak szalenie wolny jak Agnieszka – uważał operator i reżyser

Mieczysław Jahoda – nie potrafił poddać się rygorom, jakich wymaga realizacja filmu. W absolutnej sprzeczności stały ze sobą reżyseria i charakter Agnieszki. Nie mogła się skrepować tym, że przez trzy miesiące będzie wstawać o siódmej rano, jechać na plan, a wieczorem przygotowywać na następny dzień program, jak prowadzić aktorów, ustawić ujęcia itd.”[47].

## PIĘKNY DWUDZIESTOLETNI

Na okres studiów w Łodzi nałożyła się znajomość z Markiem Hłaską, którego poznała pod koniec 1956 roku. Pośredniczką była jej przyjaciółka, Hania Żurek, która miała oddać pisarzowi książkę, ale po kłótni z nim poprosiła o przysługę Agnieszkę. Umówili się na Starówce. Hłasko początkowo ignorował dziewczynę, toteż w końcu to ona przejęła inicjatywę.

Starszy o dwa lata Hłasko miał już na koncie znaczące sukcesy literackie, kilka miesięcy wcześniej wyszło pierwsze wydanie jego debiutanckiego tomu opowiadań (10 tysięcy egzemplarzy). *Pierwszy krok w chmurach* cieszył się tak wielkim powodzeniem, że niemal natychmiast zdecydowano się na dalsze wydania. W ciągu następnych dwóch lat pojawiły się kolejne nakłady, każdy w liczbie 20 tysięcy egzemplarzy.

Książkowy debiut Hłaski z entuzjazmem przyjęły środowiska emigracyjne. Pozytywnie wypowiedano się na jego temat na łamach paryskiej „Kultury”, natomiast Gustaw Herling-Grudziński zamieścił recenzję w londyńskich „Wiadomościach”:

„[...] i oto nareszcie narodził się w Kraju nowy, nieprzeciętny talent pisarski [...]. Zwróciłem na niego uwagę kilka miesięcy temu, po przeczytaniu w »Twórczości« noweli *Pętla*, która weszła teraz do omawianego tu zbioru i według mnie powinna była mu nadać tytuł. Nie zdarzyło mi się już dawno czytać rzeczy napisanej z takim wewnętrznym przekonaniem i napięciem [...]. Łatwo się zorientować z tych kilku przykładów, jaka jest ambicja pisarska Hłaski: zdrapywać politurę kłamstwa i mitologii propagandowej z powojennego życia polskiego [...]. Robi on to w sposób na tyle dojrzały artystycznie, że operując samymi tylko realiami, daje coś więcej niż realny opis fotograficzny. Tworzy atmosferę i to atmosferę niezapomnianą”[48].

Prasa krajowa prześcigała się w publikowaniu opowiadań (ponad 10 nowych utworów), pojawiły się również tłumaczenia na obce języki. Hłasko prowadził wprawdzie wyjątkowo rozrywkowy tryb życia, ale jednocześnie ciężko pracował. Przygotował scenariusz do *Pętli*, napisał dialogi (wspólnie ze Stanisławem Dygatem) do *Skarbu kapitana Martensa*, sprzedał również prawa do ekranizacji opowiadania *Głupcy wierzą w poranek (Następny do raj)*. Zobowiązał się także do napisania dialogów do ekranizacji kolejnego opowiadania – *Ósmego dnia tygodnia*. Za każdą z tych umów inkasował kwotę odpowiadającą półrocznej średniej krajowej, nie mógł zatem narzekać na brak gotówki.

„Do szesnastej 21 stycznia – relacjonował »Express Wieczorny« – wszystkie

bilety na film *Pętla* na cały dzień zostały wyprzedane. Dziś od wczesnego rana kasy znowu obległy tłumy, wśród których łatwo odróżnić powszechnie już znanych »koników«, czego milicja jakoś nie potrafi czy nie chce dostrzec. Ceny biletów u »koników« sięgają 36 złotych! Pokątna sprzedaż odbywa się w bezczelny sposób, a bezczynność milicji jest karygodna”[49].

Hłasko uczciwie zapracowywał na sławę niegrzecznego chłopca polskiej literatury. Zachowaniem upodabniał się do swoich bohaterów – bywał szorstki i nerwowy, co było o tyle zrozumiałe, że życie dotąd go nie rozpieszczało.

Wakacyjny wyjazd na Mazury zaowocował pobiciem w Orzyszu jakiegoś ubranego po cywilnemu milicjanta i grzywną w wysokości 150 złotych. Natomiast w Warszawie szybko stał się postrachem stołecznych lokali z wyszynkiem. Jak zwykle zaczynało się od alkoholu, a kończyło na pijackich awanturach.

„Przebywając często w towarzystwie Marka – wspominał Eryk Lipiński – bywałem nieraz wplątywany w jego osobiste, skomplikowane sprawy z dziewczynami i pamiętam, że brałem udział jako mediator w niejednym konflikcie. Marka często ktoś zaczepiał, on też zaczepiał siedzących obok niego na stołku barowym czy też przy sąsiednim stoliku. Będąc z nim, zawsze było się w sytuacji konfliktowej, na pograniczu awantury”[50].

Po latach trudno stwierdzić, ile w tym było pozy, a ile rzeczywistej agresji. Czasami jednak maska twardziela opadała, a spod niej wyłaniała się twarz zwykłego, normalnego człowieka.

„Pewnej nocy, kiedy siedziałem w Kameralnej – kontynuował Lipiński – zobaczyłem nagle, że na sali poniżej baru Marek awanturuje się z dwoma zalanymi facetami. W pewnej chwili popchnęli go, Marek wygniótł plecami szybę, która z hukiem pękła. Natychmiast zjawił się kierownik sali i zażądał od Marka pieniędzy. Siedziałem najbliżej z jego przyjaciół. Zawołał do mnie: »Ty! Pożycz trzy stówy, jutro oddam!...«. Chwilę się zawahałem, ale dałem mu te trzysta złotych i spisałem je na straty.

Następnego dnia Marek, o dziwo, zadzwonił, pytając, kiedy będę w domu, bo chce mi zwrócić dług. Kiedy przyszedł, spojrzałem mu prosto w oczy i spytałem, dlaczego na siłę udaje łobuza. Spuścił głowę, zrozumiał, że go zdemaskowałem. Chcąc utrzymać swą legendę, nie powinien tych pieniędzy oddawać”[51].

## AGNIESZKA I MAREK

Agnieszka była zauroczona Markiem, ale wiedziała, że nie jest on typem wiernego partnera. W Warszawie plotkowano bowiem nie tylko o jego alkoholowych ekscesach, ale również o licznych związkach z kobietami. Przedstawicielki płci pięknej zawsze miały do niego dużą słabość.

„Najgorsze były redaktorki po wydawnictwach – tłumaczył Jerzy Putrament. – Polska Ludowa była jeszcze młoda i one były jeszcze młode, uroda ich liczyła tyle lat, co Wydawnictwo.

Tu pomieszało się wszystko: osobiste ambicje wiązania własnego nazwiska z wybuchającą sławą, damskie nienasycenie, jak wiadomo dużo trwalsze od męskiego, a wreszcie instynkty macierzyńskie...

Co która z redaktorek dowiadywała się o niełatwym dzieciństwie delikwenta, zaraz do piekielnej mieszanki wydawniczo-damskiej dołączało się to trzecie: instynkt macierzyński”[52].

Tymczasem Marek działał praktycznie na wszystkie kobiety, a nie tylko na „redaktorki po wydawnictwach”. Twierdzono, że „kosił baby jak ułan” i faktycznie było w tym dużo prawdy. Przeżył gorący romans ze studentką PWST Teresą Iżewską, główną bohaterką *Kanału* Wajdy, miał też za sobą związek z mężatką, Hanką (Anną) Kruszewską-Kudelską. Ale najważniejsza okazała się znajomość z inną zamężną kobietą, Hanką Golde. Po latach, już na emigracji, przyznawał, że była to jego jedyna miłość w kraju i potem „nigdy już nie kochał nikogo ani przez minutę, mimo iż bezustannie starał się stworzyć sobie złudzenia”.

Hanka i Marek zrywali, a potem znów wracali do siebie, podobnie było zresztą z Teresą Iżewską. Hłasko równolegle spotykał się z obiema partnerkami, a na dodatek pojawiła się jeszcze Osiecka. Wygląda jednak na to, że w tych skomplikowanych relacjach pisarz doskonale dawał sobie radę.

Marek przypadł do gustu matce Agnieszki, natomiast jej ojciec od początku go nie znosił. Według niego Hłasko był brutalem i sprowadzał jego ukochaną córkę na złą drogę. Wiktor Osiecki, chociaż sam był człowiekiem prowadzącym podwójne życie, dla córki marzył o czymś zupełnie innym.

Tymczasem między Markiem i Agnieszką nie było chyba prawdziwego uczucia. Hłasko nie angażował się nadmiernie, a i z drugiej strony nie było jakiejś eksplozji miłości. Mimo to spotykali się w miarę regularnie, choć jemu czasami zdarzało się nie przychodzić na randki. Dwukrotnie wyjechali razem do Kazimierza.

„Zamiast świętować miłość – pisała poetka – zamiast chuchać na to, to się tak strasznie kręciłam, ponieważ myślałam, że zdążę. Że ja będę zawsze młoda, zawsze Marek będzie młody, że świat na nas poczeka. Nie poczekał”[53].

Agnieszka studiowała wprawdzie w słynnej filmówce, działała w STS-ie, ale przecież nie mogła się równać z idolem młodzieży – z człowiekiem, którego niemal każdy utwór uznawano za kultowy. Poza tym chyba nie za bardzo do siebie pasowali.

„Marek po swoich uczuciowych burzach – twierdził Henryk Bereza – chciał związać się z kimś, do kogo miałby zaufanie. Widział w niej partnerkę, jeśli chodzi o praktyczną stronę życia. [...] Agnieszka bardzo o niego zabiegała, ale też nie było tu szalu zmysłów”[54].

Osiecka uważała, że Marek ma „twarz rozgrymaszonego bachora, figurę cowboya, ręce Madonny”. Bez wątplenia imponował jej fizycznie, bo „wyższy był od jej pokolenia o pół głowy” i czasami czuła się przy nim „jak mysz polna”. Miał skomplikowaną biografię, co w połączeniu z nadwrażliwością i skłonnościami do depresji tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę.

„[...] masz w sobie to najpiękniejsze – pisała do niego z Mazur – co może mieć człowiek – prawdę. Nie chcesz być taki jak świat, w którym żyjesz. Nie zgadzasz się na

ten świat. Jesteś najodważniejszy z naszego pokolenia, bo widzisz prawdę nawet tam, gdzie to bardzo boli. Jesteś bardzo piękny i bardzo wiele wart. Dlatego bzdurą są te złe słowa, które o sobie mówisz. I bzdurą jest to, czego się boisz, że już nie będziesz pisać. Nie zrezygnujesz z prawdy, więc będziesz pisał. Także najlepiej w naszym pokoleniu, chyba że przestaniesz się buntować. Ale to Ci nie grozi, wiem o tym. Kończę ten trudny list i proszę Cię, żebyś i Ty czasem zostawił kartkę »szukałem Ciebie«”[55].

Rozłąka nie ułatwiała porozumienia. Hłasko mieszkał w Warszawie, Agnieszka studiowała w Łodzi. Wprawdzie często przyjeżdżała do stolicy, ale niewiele czasu spędzali razem. A może właściwie tego nie potrzebowali?

Na pewno Osiecka była wobec niego bardzo lojalna, a gdy jechała do Francji na winobranie, przemyciła dla paryskiej „Kultury” maszynopis jego pierwszej powieści *Cmentarze*.

„Agnieszka zjawiała się tutaj na przełomie sierpnia i września 1957 roku – wspominała Zofia Hertz. – To była sobota lub niedziela, więc dom był pusty. Byłam tylko z mężem. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Poszliśmy otworzyć. Otworzyliśmy. Weszła młoda, ładna dziewczyna z długim blond warkoczem i powiedziała, że chciałaby rozmawiać z panem Jerzym Giedroyciem”[56].

Osiecka nie miała pieniędzy, toteż drogę do Maisons-Laffitte odbyła autostopem, co nie było bezpiecznym rozwiązaniem. Niewykluczone, że w ten sposób chciała zaimponować Hłasce, który odnosił właśnie swoje największe sukcesy. W styczniu 1958 roku za swój *Pierwszy krok w chmurach* otrzymał nagrodę literacką wydawców, pozostawiając w pobitym polu: Jerzego Andrzejewskiego (*Ciemności kryją ziemię*), Romana Bratnego (*Kolumbowie, rocznik 20*), Sławomira Mrożka (*Słoń*), Jana Parandowskiego (*Petrarka*) i Teodora Parnickiego (*Koniec „Zgody Narodów”*). A był to przecież debiut literacki zaledwie 23-letniego autora!

„[...] Nie było żadnej wielkiej dyskusji i żadnej drastycznej różnicy zdań – twierdziła zasiadająca w jury Maria Dąbrowska. – Nie tylko wszyscy zgodzili się na Hłaskę, ale dwu matadorów partyjnych: Bieńkowski i Żółkiewski, wygłosiło entuzjastyczne przemówienia na cześć Hłaski”[57].

Miesiąc później Hłasko skorzystał z zaproszenia Instytutu Literackiego i odleciał do Paryża, jednak przed opuszczeniem Warszawy zdążył jeszcze oświadczyć się Agnieszce. Oświadczyny zostały przyjęte, a ich matrymonialne plany wywołały radość obu matek. Nieprzejeđnany pozostał tylko ojciec Agnieszki, który konsekwentnie był przeciwny temu pomysłowi.

Wydaje się, że pan Wiktor miał rację, uważając, że Marek nie jest właściwym kandydatem na męża. Hłasko nawiązał już w tym czasie romans z niemiecką aktorką Sonją Ziemann, którą poznał na planie *Ósmego dnia tygodnia*. Wprawdzie początkowo rozmawiali wyłącznie przez tłumacza, ale Marek znał „seksualny niemiecki”, co rozwiązywało wszelkie problemy językowe.

„Kiedy rano pukano do drzwi hotelowego pokoju – opowiadała Sonja – żeby zabrać mnie na zdjęcia, robił tak – składał ręce jak człowiek, który chce dać nurka do wody – i pytał: »Bul, bul, bul? – mam się schować w łazience czy też – tu poruszył ramionami jak skrzydłami ptak – na balkonie?«”[58].



Z Sonją również pojechał do Kazimierza, o czym Agnieszka chyba wiedziała. Mimo to nadal się z nim spotykała, być może dlatego, że w tym czasie pozbyła się już złudzeń na temat wierności w związkach męsko-damskich. A Hłasko zawsze ją fascynował, odpychając i pociągając jednocześnie.

„[...] dla mnie to był proletariacki ksiązę z bajki – wspominała po latach – syberyjski cowboy, wielki pisarz, legenda na dwóch łapach, kto był inny niż wszyscy, ktoś, kim można było się pochwalić przed dziewczynami! Ale tak naprawdę to kochałam w Marku jego wisielczy humor”[59].

## MASZYNA PANA MARKA

Los zdecydował za nich... W Polsce kończyła się odwilż – u schyłku 1957 roku zlikwidowano młodzieżowy tygodnik „Po prostu”, co symbolicznie zamknęło epokę przemian. Kilka tygodni po wyjeździe Hłaski rozpoczęła się zorganizowana kampania prasowa przeciwko pisarzowi. Oskarżano go o zdradę, publikowanie utworów za żelazną kurtyną, o szkalowanie Polski Ludowej. Z festiwalu w Cannes wycofano *Ósmy dzień tygodnia*, film zdjęto również z polskich ekranów. Obłożono także cenzurą gotową do wydania powieść *Następny do rajy*, a sytuacji nie poprawiały wywiady, których Marek udzielał na Zachodzie. W zamian w Polsce pojawiały się informacje o jego hulaszczym życiu w otoczeniu imperialistycznych burżujów.

Hłasce odmówiono prolongaty paszportu, wzywając go jednocześnie do powrotu (miał nieuregulowany stosunek do służby wojskowej). Wiedział, że w kraju czekają go represje i nic więcej już nie opublikuje. Osiadł więc w Berlinie Zachodnim, po czym wyjechał do Izraela.

Po latach Osiecka twierdziła wprawdzie, że gdyby Hłasko wrócił, zapewne wzięliby ślub, ale wydaje się to bardzo wątpliwe. Marek już w Berlinie zamieszkał z Sonją, chociaż wcale nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu intymnej korespondencji z Agnieszką.

„Gdyby mi ktoś powiedział – pisał do Osieckiej – gdybym miał choć odrobinę gwarancji, że będę mógł być z Tobą choć przez rok, choć przez pół roku, a potem – śmierć, tobym przyjechał do Ciebie. To nie melodramat; to wyznanie tego, który na pewno – z całym idiotyzmem i kabotyństwem najwięcej Cię kochał. W końcu przyjdzie taka noc, kiedy prześpisz się z innym. [...] Ale lepiej być pijanym, niż myśleć, że ta chwila w końcu przyjdzie”[60].

Marek, jako uzdolniony pisarz, potrafił być przekonujący, ale czy jego słowa miały coś wspólnego z rzeczywistością? Trudno powiedzieć, bo niedługo później opowiadał znajomym, że Agnieszkę „poznał, zaciągnął do łóżka, że to tylko polonistka, ale »może w ciebie zainwestować pół litra«”.

Hłasko wielokrotnie prosił Osiecką o pomoc w umożliwieniu mu powrotu do kraju, a ona chciała nawet w tej sprawie osobiście interweniować u Gomułki. Nie dotarła jednak do pierwszego sekretarza, a okreśną drogą (przez matkę i Zofię Gomułkową)



dowiedziała się, że towarzysz Wiesław nerwowo reaguje już na samo nazwisko Hłaski.

Marek zasypywał Agnieszkę nowymi pomysłami, a jednym z nich był ślub *per procura*. Właściwie nie wiadomo, co chciał przez to osiągnąć, bo przecież Agnieszce po jej wizycie w siedzibie paryskiej „Kultury” zatrzymano paszport, natomiast on miał zamkniętą drogę powrotu. Czyżby w ten sposób chciał jej umożliwić wyjazd na Zachód? Czy też miało to ułatwić jego starania o zgodę na powrót do kraju? Bo nie o uczucia tu chyba chodziło, zresztą do realizacji pomysłu nie doszło.

„A kiedy się zgodziłam – wspominała Osiecka – to on drugi raz wystawił mnie do wiatru i w ogóle przestał pisać. Dopiero kiedy po latach wyszłam za mąż – zrobił mi awanturę. [...] Odtąd lękam się takich »szałowo wybitnych« mężczyzn. Przecież gdybym była wtedy naprawdę bardzo zakochana, to on kompletnie by mi złamał serce. Na szczęście nie byłam bardzo zakochana. Tylko trochę. Więc zostawił mnie z poranioną ambicją, nie z sercem. Ale czy daleko jest od ambicji do serca, kiedy się ma 20 lat?”[61].

Nie wiadomo, czy Agnieszka wiedziała wtedy, że to polscy urzędnicy uniemożliwili ślub. Zażądali od pisarza świadectwa potwierdzającego brak przeszkód prawnych. Hłasko nie mógł spełnić tego warunku, ponieważ „nie był niczym obywatelem”, a jurysdykcji izraelskiej podlegał wyłącznie pod względem karnym.

Niedoszli małżonkowie wznowili jednak korespondencję, chociaż pisali coraz rzadziej. Marek przesłał Agnieszce z Izraela kożuch, w którym później chodził Wojciech Frykowski. Do Tel Awiwu przyleciała Sonja i wtedy Marek zdecydował się na małżeństwo z Niemką. Przyznawał zresztą, że w tamtym czasie „żłopał i kurwił się”, spotykał się z Luise Schaffer, Esther Steinbach i jeszcze innymi dziewczętami. Sonję poślubił dwa lata później w Londynie.

Agnieszkę spotkał dopiero u schyłku lat 60. w Los Angeles. Kilka dni później po raz ostatni rozmawiali telefonicznie, a głównym tematem rozmowy było to, kto ma za nią zapłacić. Zapewne Osiecka nie myliła się, twierdząc po latach, że właściwie „żadnej roli w życiu Marka nie odegrała”. Mimo to zachowała o nim dobrą pamięć i chyba nie bez powodu zatrzymała jego maszynę do pisania, która stała u niej na biurku do końca jej życia.

## JERZY GIEDROYC

Ubocznym efektem znajomości Agnieszki z Hłaską było zatrzymanie jej paszportu na siedem lat. Po wizycie w Maisons-Laffitte Osiecka utrzymywała bowiem korespondencję z Jerzym Giedroyciem, a jeden z listów szefa „Kultury” wpadł podobno w ręce Służby Bezpieczeństwa. Niewykluczone zresztą, że ktoś się „przysłużył” i doniósł na poetkę.

„Z posiadanych dotychczasowych informacji z inwigilacji korespondencji wynika, że Osiecka Agnieszka jest bardzo powiązana z redaktorem naczelnym paryskiej »Kultury« Giedroyciem Jerzym – pisano w notatce SB z kwietnia 1958 roku. – [...]

Dotychczas brak jest [jednak] materiałów, które świadczyłyby o formie [roli – S.K.], jaką spełnia w kraju.

Można jednak stwierdzić, że wymieniona spełnia jakąś rolę dla redakcji »Kultury«, o czym świadczy następujący zwrot w liście adresowanym do Giedroycia:

»... mnóstwo książek dostałam... Na co są te pieniądze, które też [...] dostałam? I co kupić i komu dać?«[62].

SB nie ograniczyła się do odebrania Agnieszce paszportu i założenia podsłuchu telefonicznego. Planowano „pozyskanie jej do współpracy i wykorzystania operacyjnego w rozpracowaniu »Kultury«”. Prowadzono z nią nawet rozmowy na ten temat, w związku z czym regularnie była wzywana na spotkania z oficerami SB.

„[...] formalnie i chętnie rozmawia i deklaruje szczerze wyjaśnienia swojej znajomości z Giedroyciem – twierdził we wrześniu 1958 roku kapitan Władysław Wojtasik. – Na razie trudno powiedzieć, jak wygląda to w rzeczywistości”[63].

Agnieszka szczególnie boleśnie odczuwała fakt zatrzymania paszportu. Zawsze była wolnym duchem, uwielbiała podróżować, mieszkać w hotelach i pensjonatach, poznawać nowe miejsca i ludzi. Było to dla niej równie ważne jak poezja czy mężczyźni, bez wyjazdów nie wyobrażała sobie życia. Dlatego też wielokrotnie odwoływała się od decyzji, zawsze jednak bez skutku.

Mimo to odrzuciła ofertę współpracy z SB, co spowodowało, że nadal ją inwigilowano i wzywano na „rozmowy”. Wreszcie Agnieszka miała już wszystkiego dość i napisała samokrytykę, przyznając się do „niewłaściwych” kontaktów z Giedroyciem i jego współpracownikami. Jak przystało na tego typu dokument, elaborat miał obnażać „zgniliznę moralną” polskiej emigracji.

„Początkowo poznałam tylko Zosię Hertzową i jej męża – Zygmunta. Od razu »przyłgnęliśmy« do siebie [...]. Są to mili, stosunkowo mało aktywni ideowo czy politycznie ludzie, którym dość dobrze żyje się w Paryżu i których sprawy Polski czy ich pisma interesują dość powierzchownie, w warstwie sensacyjno-towarzyskiej”[64].

Zdecydowanie gorzej potraktowała innych współpracowników „Kultury”. Wprawdzie o Konstantym Kocie-Jeleńskim pisała, że jest człowiekiem „o ogromnej inteligencji”, ale o Józefie Czapskim miała już znacznie gorsze zdanie. Uznała go za „idiociejącego, acz sympatycznego staruszka”, który „coraz mniej rozumiał” z tego, co się dzieje na świecie, i właściwie interesowało go już tylko malarstwo.

Głównym bohaterem epistoły Osieckiej był jednak Jerzy Giedroyc, przy czym poetka zastrzegła, że „ocenia go bardzo surowo jako polityka, a łagodnie jako człowieka”. Inna sprawa, że opinie Osieckiej, nawet te pisane dla SB, warte są uwagi.

„Uważam go za człowieka osamotnionego i nieszczęśliwego. Jest typem mizantropa. Nie ma przyjaciół i nie umie sobie ich pozyskać. Jest mu trudno żyć z ludźmi. Odczułam to, oceniłam i może dlatego on mnie tak polubił. Jestem chyba jednym z niewielu ludzi, z którymi jest mniej sztywny i oficjalny niż na »co dzień«”[65].

Agnieszka zauważyła, że właściwie jedynym przyjacielem pana Jerzego jest jego pies, gdyż nawet z Hertzami, „swoimi współpracownikami i współmieszkańcami, czuje się źle”. Nie odpowiadać mu miała ich „wrzaskliwość i wesołość”, której starał się

unikać. Według Osieckiej Giedroyc „nadawał się bardziej na numizmatyka niż polityka”, ale to właśnie „polityka stała się jego jedyną namiętnością” i zapewne „zwariowałyby, gdyby jej nie miał”.

Oczywiście w tego rodzaju dokumencie nie mogło zabraknąć potępienia poglądów szefa „Kultury”. Giedroyc miał „upierać się przy pozycjach, które są stracone i niepoważne”, a do tego „walczyć o nieprawdę, a ta walka stanowiła cały sens jego życia”.

„W sumie ukształtował się u mnie dość smutny pogląd: nie uważam jego działalności za szkodliwą ani za pożyteczną, uważam ją za niepotrzebną. [...] Czasem wydaje mi się, że on o tym wie – że zaczyna czuć, że jest niepotrzebny, i to pogłębia jego ciężki stan psychiczny”[66].

Samokrytyka nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, gdyż Osiecka nadal nie otrzymywała paszportu. SB wiedziała przecież, że pomimo napisania elaboratu potępiającego Giedroycia Agnieszka w dalszym ciągu z nim koresponduje. A gdy po latach znów miała możliwość odwiedzenia Maisons-Laffitte, to idąc do Instytutu Literackiego, „była cała mokra, umierała ze strachu”. Ale „z drugiej strony kochała pana Jerzego tak mocno, że nie wyobrażała sobie, aby odzyskawszy paszport, nie pójść do »Kultury«”[67].

Czy Agnieszkę i starszego od niej o 30 lat Giedroycia łączyło coś więcej niż tylko więź intelektualna? Z dokumentów IPN nic podobnego nie wynika, co raczej zaskakuje, gdyż poszukiwanie skandali obyczajowych było specjalnością SB. Od dawna bowiem wiadomo, że nic tak nie skłania do uległości jak groźba ujawnienia różnego rodzaju grzeszków.

„Sprawę Osieckiej SB zakończyła dopiero w roku 1974 – podsumowała Joanna Siedlecka – na tarczy, na niczym jej bowiem nie złapała, nie udowodniła, że była »skrzynką« Giedroycia, bo to był zresztą zły trop. W kontaktach z mężczyznami interesowały ją przecież, jak wiadomo, wyłącznie przyjaźnio-romanse i romanso-przyjaźnie, a nie kolportaż czy przeryty. Wątki męsko-damskie nie przysły jednak esbekom do głowy, szukali tępo haków obyczajowych wyłącznie na Giedroycia homoseksualistę, choć był kimś o wiele bardziej skomplikowanym”[68].

Kontakty Agnieszki z panem Jerzym rozluźniły się dopiero po tym, jak związała się z Danielem Passentem, którego Giedroyc uważał za członka komunistycznych elit.

Nie wydaje się, byśmy w najbliższym czasie mogli poznać całą prawdę o znajomości Osieckiej z szefem „Kultury”. Do tego potrzebne jest ujawnienie ich korespondencji, na co spadkobiercy obojga konsekwentnie nie wyrażają zgody...

## TEATR I POLITYKA

Agnieszka wreszcie odzyskała paszport, ale władze nadal potrafiły obrzydzać jej zagraniczne wyjazdy. Gdy w 1969 roku wracała z wycieczki po Morzu Śródziemnym, to jako jedyna ze 180 uczestników eskapady została poddana kontroli osobistej. Podobno

sprawdzano, czy nie przewozi do kraju emigracyjnych wydawnictw...

Podjejrliwość władz była nieuzasadniona, bo Osiecka dobrze zapamiętała lekcję, jaką było odebranie jej prawa wyjazdów za granicę. W swojej twórczości unikała zatem polityki, obawiając się, że gdyby objął ją zakaz druku czy rozpowszechniania jej utworów, to jako artystka byłaby skończona. Niemniej jednak nadal działała w STS-ie, który zawsze żywo reagował na bieżące wydarzenia. Już w 1958 roku cenzura zdjęła dwie premiery, co przecież nie pohamowało młodych zapaleńców.

„Zaczyna się afera wokół nowego programu STS – zanotował w kwietniu 1964 roku Mieczysław Rakowski. – Program jest bardzo ostry politycznie, przede wszystkim wymierzony przeciwko nacjonalistom, endekom i endeckim komunistom. Ferajna czerwono-czarnych rozpuscita opinie, że jest to program antyrządowy. Taki donosik spłynął na biurko Gomułki”[69].

Aby ratować przedstawienie (a było to słynne *A mnie nie jest wszystko jedno*), ktoś z zespołu zaproponował, aby do teatru zaprosić Zofię Gomułkową. Był to jednak fatalny pomysł, który ostatecznie pogрузzył inscenizację.

„Wyszła z teatru, plując na spektakl – kontynuował Rakowski. – Powiedziała, że program jest antyrządowy. Była oburzona, że w tak ciężkich czasach młodzież atakuje politykę partii. Sposób interpretowania przez tę panią poszczególnych tekstów należy zaliczyć do objawów sklerozy. [...] Dziewczyna przeprowadza rozmowę z Matejką i stawia różne pytania. Między innymi: »Co pan myśli o realizmie?«, na co malarz odpowiada: »Po prostu wychodzę na ulicę«. Pani Zofia zinterpretowała to dosłownie: »Grożą, że po prostu wyjdą na ulicę«. Trudno z czymś takim polemizować”[70].

Program został zdjęty przez cenzurę po dziewięciu przedstawieniach, a podobny los spotkał spektakl *Raz się żyje* w marcu 1969 roku. Wprawdzie wcześniej na żądanie cenzury usunięto „najbardziej rażące i prowokacyjne sformułowania”, ale w pozostałych tekstach nie dopatrzone zostały ataków na socjalizm. Dopiero po premierze uznano, że Jarecki i Osiecka potrafili jednak przemycić treści, które zupełnie nie pasowały do obrazu PRL-u jako krainy wiecznej szczęśliwości.

„[...] ogólna wymowa tekstów – pisano w notatce dla stołecznego KW PZPR – jak również inscenizacja w sposób niebudzący wątpliwości są politycznie szkodliwe. Jest to nieznacznie tylko zamaskowana zjadliwa satyra na podstawy naszej ideologii, polityki i dorobek Polski Ludowej. [...]

Totalnej negacji przechodzącej w ogólną pogardę dla obecnej rzeczywistości towarzyszy humor oparty na absurdalnych i makabrycznych skojarzeniach oraz sytuacjach. Wiele fragmentów »Raz się żyje« obraża podstawowe zasady moralne oraz ludzkie cierpienie”[71].

Partyjnych obserwatorów szczególnie zirytowała piosenka Osieckiej *Grób nieznanego inteligenta*, która sugerowała, że w PRL-u „inteligentów już nie ma”. Natomiast w innych tekstach Agnieszka miała „krytykować ludzi rządzących krajem” oraz wyśmiewać się z piosenek zaangażowanych politycznie. W efekcie program został zdjęty po ośmiu przedstawieniach.

Akcentów politycznych doszukiwano się również podczas spotkań autorskich Osieckiej. Na jednym z nich, w październiku 1968 roku, teksty Agnieszki interpretowała

Aleksandra Śląska, natomiast wieczór prowadził Jerzy Waldorff. Gdy czyta się donos, jaki przy tej okazji wpłynął do SB, trudno oprzeć się refleksji, że dla funkcjonariuszy tego resortu wszystko wydawało się niebezpieczne pod względem politycznym.

„Czytane przez Aleksandrę Śląską fragmenty prozy Agnieszki Osieckiej nie były pozbawione jednoznacznych insynuacji. Akcja tocząca się w środowisku krakowskim ośmiesza członków partii oraz nawiązuje do rzekomo marnych wyników twórczości literackiej, bowiem cóż pisać, a więc donosy lub przemówienia”[72].

Szczególny niepokój informatora wzbudził natomiast Waldorff, który, nawiązując do przedwojennej twórczości Andrzeja Własta, stwierdził, że pisywał on z reguły „zawsze to, o co go poproszono, a więc nadawałby się szczególnie do obecnej rzeczywistości”. A jeszcze bardziej irytujące dla donosiciela okazało się życzliwe przyjęcie autorki przez publiczność.

„Cały aluzyjny tekst Agnieszki Osieckiej, przeczytany ze specjalnym akcentowaniem przez Aleksandrę Śląską, został przyjęty na sali ze zrozumieniem aluzji oraz z dużym zadowoleniem. Specjalny zachwyt okazywał demonstracyjnie siedzący w prezydium Waldorff, który po skończonej prelekcji powiedział na głos, jakby do siebie: »Takich odważnych ludzi trzeba nam jak najwięcej«”[73].

Niemniej jednak Osiecka doskonale wiedziała, na co może sobie pozwolić. Aluzje polityczne w tekstach satyrycznych miały zdecydowanie mniejszy ciężar gatunkowy niż korespondencja ze znenawidzonym nad Wisłą szefem paryskiej „Kultury”. Władze pilnie obserwowały Agnieszkę, ale traktowały jej twórczość jako swoisty „wentyl bezpieczeństwa”, a więc coś niezbędnego i niegroźnego dla najlepszego z możliwych ustrojów...



**Wojciech Frykowski**





## INTERESY PANI AGNIESZKI

**S**TS był dla Osieckiej odskocznią do wielkiej kariery, to właśnie na jego scenie po raz pierwszy rozbrzmiewały teksty, które później powtarzała cała Polska. Pierwszym wielkim sukcesem Agnieszki okazała się *Piosenka o okularnikach*, która w interpretacji Kazimiery Utraty z STS-u zdobyła indywidualną nagrodę na I Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Na tej samej imprezie Osiecka dostała również wyróżnienia za kolejne teksty (*Białe małżeństwo*, *Czerwony Kapturek*, *Gdzie jest szlagier*, *Kochankowie z ulicy Kamiennej*, *Solo na kontrabasie*, *Ulice wielkich miast*), żaden inny autor nie zebrał tylu nagród. Agnieszka weszła w ten sposób do elitarnego grona najbardziej popularnych twórców. Rok wcześniej zadebiutowała zresztą w radiu, gdzie Kalina Jędrusik zaśpiewała *Mój pierwszy bal*.

Sukces w Opolu przyniósł wymierne skutki finansowe, gdyż Osiecka otrzymała duży zastrzyk gotówki (około 4 tysięcy złotych). Pozostała jednak sobą i chociaż nie miała „mieszkania, samochodu i innych potrzebnych do życia” rzeczy, to kupiła wspomnianą wcześniej motorówkę. Nawet nie kupiła, tylko wzięła na raty – nagroda nie wystarczyła bowiem na zakup.

Wprawdzie w codziennym życiu była osobą wyjątkowo niepraktyczną, to jednak potrafiła dbać o swoje interesy. Zdarzało się, że wycofywała piosenkę z przedstawienia STS-u, aby przekazać ją profesjonalnemu artyście. Zrozumiała, że życie na odpowiednim poziomie może jej zapewnić wyłącznie komercja i z czasem rozdzieliła swoją twórczość – inne teksty pisywała na potrzeby studenckiej sceny, a inne dla zawodowych wykonawców. Na brak chętnych do współpracy nigdy nie narzekała, miała zresztą do tego dość specyficzny stosunek.

„Kilka razy zdarzyło się – wspominał Seweryn Krajewski – że Agnieszka dała swoje teksty mnie i jeszcze komuś innemu. Podejrzewam, że brało się to raczej z nietoperzostwa Agnieszki. Agnieszka była jak nietoperz – bałagan w swoich tekstach miała przeraźliwy. A może za bardzo jej zależało, żeby dany tekst został przerobiony na piosenkę. Nie uważam, żeby była to zła praktyka. To ciekawy eksperyment posłuchać, jak ktoś inny zinterpretował na przykład *Nie żałuję*”[74].

Czasami zdarzało się, że muzykę do tego samego tekstu pisali równocześnie – nie wiedząc o tym – Krajewski, Satanowski i Turnau. Ten ostatni uważał, że Agnieszka urządziła czasem pewien rodzaj przetargu, zmuszając kompozytorów, aby „podchodzili do wierszy jak reżyserzy do inscenizacji klasycznych dramatów”.

„Ja myślę – uważała autorka tekstów Magda Czapińska – że ona robiła to świadomie, a nie na przykład przez roztargnienie. Była dobrym mecenasem swojej

twórczości. Ważny był efekt finalny, a nie to, co sobie obrażeni koledzy pomyślą. Kompozytorzy nie wiedzieli, że biorą udział w jakimś konkursie, a ona wybiera najlepszą muzykę. Czy miała prawo tak postępować? Ja bym tego nie zrobiła, ale ona przecież chciała jak najlepiej dla swoich wierszy. Agnieszce trzeba wszystko wybaczyć”[75].

Wprawdzie Osiecka dbała o swoje interesy i zależało jej na tym, aby do jej tekstów komponowano jak najlepszą muzykę, to zadziwiła otoczenie niefrasobliwym stosunkiem do dóbr materialnych. Przez większość życia doskonale zarabiała, ale nie myślała o oszczędzaniu i gromadzeniu majątku na czarną godzinę. Na takie sprawy Osiecka nie zwracała większej uwagi. Pieniądze miały jej zapewniać jedynie możliwość podróżowania i zaspokajać najprostsze potrzeby. Chętnie też dzieliła się swoją własnością z innymi i nie miała specjalnych pretensji, jeśli z tego powodu ponosiła szkody. Nawet wtedy, gdy straciła forda taunusa.

„Pewnego razu użyczyła tego samochodu znajomej pisarce [Marii Nurowskiej – S.K.], która miała chorego ojca – wspominał Daniel Passent – i trzeba go było przywieźć z Olsztyna do Warszawy. Kiedy Agnieszka zgodziła się pożyczyć samochód, znajoma powiedziała: »Ale ja nie mam prawa jazdy«. Agnieszka załatwiła więc kierowcę. Po kilku dniach okazało się, że w drodze z Olsztyna samochód został rozbity, zresztą nie z winy kierowcy. Znajoma z chorym ojcem i z kierowcą zostali na szosie. Jak się dostali do Warszawy – nie wiem. Wiem, że Agnieszka samochodu nie odzyskała i nigdy się o niego nie upomniała. Była honorowa, w odróżnieniu od swojej znajomej, która nigdy do sprawy nie wróciła”[76].

To właśnie Osiecka była autorką hasła „Coca-cola to jest to”, którego popularność można porównać tylko z przedwojennym „Cukier krzepi” Melchiora Wańkowicza. Ale Wańkowicz dostał za swoje hasło pięć tysięcy złotych (ponad 20 średnich krajowych pensji), podczas gdy Agnieszka zainkasowała „jakieś nikczemne honorarium”. Zapewne nie zwróciłyby na to większej uwagi, ale „zbuntował ją” Daniel Passent. Ostatecznie firma Coca-Cola Polska zapłaciła jej 10 tysięcy złotych (odpowiednik trzech ówczesnych średnich krajowych), co i tak można uznać za niespecjalnie wygórowane wynagrodzenie.

„Agnieszka się domem nie zajmowała – podsumowywał Passent. – Nadwyżki pieniędzy, ponad bieżące utrzymanie, rozdawała albo wydawała na podróże. Niektórzy znajomi ją naciągali, inni byli w autentycznej potrzebie”[77].

Honorarium z Coca-Coli oddała w całości „pewnej rodzinie z Żerania, która prowadziła rodzinny dom dziecka”. Dzięki temu wszyscy pojechali „na wakacje nad morze”.

## KRÓL ŻYCIA Z ŁODZI

„Ja nie będę nigdy taka jak Mama... – pisała w swoim dzienniku 14-letnia Osiecka. – Ani taka jak ojciec. Z chwilą, gdy poczuję wstęt i nudę w stosunku

do symbolicznego domu, odwagę się powiedzieć »dość« i pożegluję dalej w poszukiwaniu szczęścia i maksimum skoncentrowanego, pędzącego życia.

Jak najmocniej, najpełniej, najdłużej żyć pełnią życia. Czuć, że się żyje. Znaleźć nie jeden – tysiące celów w życiu. Odszukać siebie i swoją duszę. Znać i kochać świat, życie i innych ludzi. Cały czas pamiętać, że żyje się tylko raz i to bardzo krótko”[78].

Temu postanowieniu była wierna przez całe swoje życie, chociaż czasami zdarzały się wyjątki. Należało do nich małżeństwo z jedną z najbardziej barwnych postaci PRL-u, Wojciechem Frykowskim.

Był to prawdziwy człowiek legenda, który przewija się przez niemal wszystkie wspomnienia z tego okresu. Indywidualność niezwykle malownicza, męczyzna obdarzony ogromną fantazją i zawsze dysponujący dużą gotówką. A do tego mający szeroki gest i nigdy nieżałujący pieniędzy swoim przyjacielom i znajomym.

Wojtek był najstarszym synem Jana Frykowskiego, biznesmena prowadzącego większość swoich interesów w szarej strefie gospodarki PRL-u – człowieka, który żył w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

„Ojciec Wojciecha urodził się na milionera i był nim – pisał Kazimierz Kąkolewski. – Cokolwiek zobaczył, stawało się towarem. Pieniądze – mówiono – ścigają go nieustannie, prześladują. Miał talent posiadania, ale uważał się za człowieka pracy, który pracuje w pieniądzu”[79].

Tuż po wojnie założył firmy na Pomorzu, w Wielkopolsce i w Łodzi, specjalizował się w transporcie oraz produkcji wyrobów chemicznych i tekstylnych. Gdy komuniści ograniczyli działalność prywatnych przedsiębiorców, Frykowski przeniósł się do podziemia gospodarczego i dalej znakomicie prosperował.

„Stworzył [...], jak ją nazywano, organizację zaufania, w której mieli etaty i pełnili funkcje członkowie jego rodziny i przyjaciele. Była to organizacja patriarchalna, feudalna, ale podobna w strukturze do kapitalistycznego koncernu. Wszystko opierało się na autorytecie i zaufaniu do szefa, który był zarazem patriarchą, opiekunem, a wymagał tylko nieustannej gotowości na rozkazy i mobilności, na przykład jeden z członków brał wielkie pieniądze za to, że jest na posadzie państwowej: służył na wypadek, gdyby potrzebny był człowiek pracy”[80].

Jan Frykowski zorganizował system wzajemnych powiązań, sieć niejawnych znajomości i zależności, dzięki czemu zawsze wiedział, kogo i kiedy należy skorumpować. W jego chustach i krawatach „chodziła cała Polska”, eksportowano je nawet za granicę. Wprawdzie mówiono, iż „jego dramatem było, że aby choć w części być sobą, robić interesy, musiał łamać prawo”, to jednak potrafił znakomicie wykorzystywać sytuację. Były to przecież czasy socjalistycznej gospodarki niedoboru i nie istniała konkurencja.

Członkom rodziny Frykowskich znakomicie się powodziło, zawsze mieli do dyspozycji kilka zachodnich samochodów, a synowie chodzili do renomowanych szkół. Następcą Jana miał zostać Wojciech, który wprawdzie odbył studia na Politechnice Łódzkiej, ale bardziej odpowiadało mu „towarzystwo »chuliganów« i studentów szkoły filmowej”.

W całej Łodzi było głośno o imprezach przez niego organizowanych. Jedna

z nich przeciągnęła się do 10 dni, a w tym czasie przez mieszkanie Wojtka „przewinęły się dwie ekipy filmowe oraz tabuny bliższych i dalszych znajomych”. Z powodu ograniczonego metrażu balanga „wylała się” na dach, gdzie jej uczestnicy „zaliczali nowe towary, które sprowadzali z miasta”. Było to przyczyną pojawienia się „delegacji kobiet” z pobliskiej fabryki, które zaprotestowały przeciwko „gorszącym scenom na dachu, odciągającym ich mężów od pracy”. Członkowie ekipy filmowej, ponaglani telefonami z wytwórni, jeździli wprawdzie na plan filmowy, „lecz po paru godzinach wracali, solidarnie dostarczając napoje alkoholowe”. Imprezy nie był w stanie przerwać nawet Jan Frykowski, który pojawił się u syna, aby pohamować orgię. Gdy jednak zobaczył, co się dzieje, „machnął ręką i odjechał zrezygnowany”.

Pierwszą żoną Wojtka została Ewa Kwaśniewska, którą ze względu na urodę porównywano do Brigitte Bardot. Poznała go, będąc jeszcze uczennicą II klasy liceum (Wojtek studiował wówczas na politechnice). Obronił ją przed chuliganami podczas jakiegoś balu, a pobrali się, gdy zaszła w ciążę. Nie należał jednak do czułych partnerów.

„Spotkałem ich pierwszy raz razem na koncercie jazzowym w filharmonii – opowiadał Henryk Kluba. – Piękną Ewę w czasie koncertu Wojtek, delikatnie mówiąc, karcił, a dokładniej – tłukł ją”[81].

Był bardzo zazdrosny, podobno potrafił ją pobić nawet za taniec z innym partnerem czy też za uśmiech posłany obcemu mężczyźnie.

Sam nie unikał bójek, był sprawny i wysportowany. Wieczorami kroczył Piotrkowską jak udzielny władca, schodzono mu z drogi. Nie szukał zaczepki, ale chętnie przyłączał się do rozrób, czasami również stawał w obronie słabszych.

W młodości trenował pływanie i jeszcze w latach 60. rzucał wyzwanie zawodnikom Legii, pokonując ich na dystansie 50 metrów. Pod wodą przepływał długość dwóch basenów, przyznawał jednak, że nie ma już kondycji na dłuższy wyścig.

„Wojtek, z nosem boksera i lekkim grymasem ust – opowiadał Roman Polański – miał w sobie coś supermęskiego i wyglądał jak wykidajło z nocnego lokalu. Pod powierzchownością brutala kryła się natura łagodna, złote serce graniczące z sentymentalizmem i absolutna lojalność”[82].

Frykowski wyznawał filozofię „zwisu” – był przekonany, że zabawa i przyjemności stanowią jedyny cel w życiu. Miało to zastąpić pracę zawodową i wszelkie inne nudne obowiązki.

„Uważał pośpiech za znak złego smaku. Drażniło go i budziło odrazę podobieństwo ludzi do mrówek i pszczoł. Tych nie znosił. Kiedyś nad ranem wracał z libacji na dachu triumpha, krzycząc do idących dziewcząt: »Robotnice łódzkie! Dlaczego tak rano wstajecie?»”[83].

Miał niezwykle powodzenie u kobiet, decydował o tym nie tylko zasobny portfel, ale również wolny czas, którym z reguły dysponował.

„[...] mógł zawsze go ofiarować kobiecie – pisał Kąkolewski – towarzyszyć jej wszędzie, nieustannie: do krawcovej, modystki, czekać u fryzjera, opiekować się nią, choćby z nudów – był dobry, doskonaląc w miarę mijania lat swój kunszt, w czasie gdy inni tracili czas na pracę”[84].

Dysponował dużą gotówką i potrafił szokować stosunkiem do dóbr materialnych. Gdy pod Chęcunami zatarł silnik swojego forda taunusa, poprosił o pomoc przypadkowych przechodniów. Razem zepchnęli pojazd do rowu, a Wojtek „zatrzymał jakiś służbowy samochód i kazał się wieźć do Łodzi”.

## ŚLUB W ZAKOPANEM

„Któregoś dnia Agnieszka zagadnęła mnie: »Co ty tak ciągle o tym Frykowskim opowiadasz?« – wspominał Wojciech Solarz. – Zacząłem o nim mówić: jaki to jest łobuz, jak on wódkę popija, jak traktuje kobiety, że z jednej strony jest genialnym kierowcą rajdowym, a z drugiej potwornym leniem. Ona słuchała, aż powiedziała: »To ja go muszę poznać«. Dałem jej jego adres i telefon. I stała się rzecz straszna. Pięć, sześć tygodni później dostałem pocztówkę z Kazimierza: »Tu jest cudownie, całujemy serdecznie – Agnieszka i Wojtek«”[85].

Poetka zawsze miała słabość do „złych chłopców”. Przyznawała nawet, że w sytuacji intymnej z intelektualistą często czuła się „jakby miała w tym łóżku spotkać kogoś z rodziny”. W efekcie „nie było to przyjemne” dla żadnej ze stron, dlatego często wolała innego rodzaju partnerów.

„Moi znajomi śmieją się ze mnie – zwierzała się Janowi Borkowskiemu – że raz wiąże się z mądrym chłopakiem, a później z żulem – i tak na zmianę. Może powinnam mieć dwóch mężów? Jednego od ciekawych rozmów, drugiego od łóżka?”[86].

Poetka nie ograniczała się już wtedy wyłącznie do poważnych związków. Zapewne niepowodzenia w kontaktach damsko-męskich pozbawiły ją złudzeń i nie wierzyła w możliwość znalezienia szczęścia na dłużej. Nie unikała przelotnych romansów i przygód na jedną noc, tym bardziej że zawsze wysoko ceniła erotyczną stronę życia.

„Kiedy pojechałam z kolegami z STS-u do Jugosławii – wspominała – [...] dali nam tam tłumacza. Pewnie studiował w Polsce. Wyglądał jak amant z amerykańskiego filmu. Podczas pożegnalnego spotkania w hotelu przysiadł się do mnie i zaczął mnie podrywać. Nic o mnie nie wiedział. Dla niego byłam po prostu dupą. Dałam mu się poderwać, choć wcześniej między nami nic nie było. A mało nie spóźniłam się przez niego do autokaru. Nie mogłam znaleźć bielizny. Widocznie kolekcjonował majtki swoich kochanek i moje też gdzieś schował”[87].

Frykowski był właśnie jednym z takich „złych chłopców”, w jakich gustowała poetka, a przy okazji miał dużo uroku osobistego. Obracał się zresztą w sferach artystycznych i przejawiał własne ambicje w tej dziedzinie. Chciał zaistnieć w świecie filmu, marzyła mu się kariera scenarzysty. Zapewne też w jakiś sposób przypominał Agnieszce Marka Hłaskę.

„Wojtek był postacią tak malowniczą – przyznawała po latach – że w wielu ludziach, nie tylko we mnie, wzbudzał fascynacje literackie. Posiadał swoisty dar uwodzenia ludzi, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Każdy miał wrażenie, że w chwili



poznania Wojtka otwierał się przed nim baśniowy świat kolorowych przygód”[88].

Pobrali się w Zakopanem w kwietniu 1962 roku, a świadkami na ich ślubie byli Bogumił Kobiela i Krzysztof Komeda. Pan młody wystąpił w smokingu, a do ślubu pojechali białym oplem Frykowskiego. Uroczystość miała niecodzienny charakter.

„Do dziś nieraz wzdragam się na myśl o restauracyjnym charakterze tego ślubu – opowiadała Osiecka. – Ten smoking w upalną niedzielę, ten biały opel, to towarzystwo pensjonatowe... Jeszcze dziś czuję jakby zapach sałatki francuskiej. Aż dziw bierze, że kelner nie przyniósł rachunku na ołtarz. Przez cały czas miałam poczucie grzechu. To śmieszne, ale wydawało mi się, że to może sen, że się przerwie...”[89].

## RADONICE

Małżeństwo zostało powitane z radością przez rodzinę Frykowskich – jej członkowie uznali za sukces to, że Wojtka poślubiła tak znana poetka. Zadowolony był również Frykowski senior, który miał nadzieję, że syn wreszcie się ustatkuje. Przekazał Wojtkowi i Agnieszce dwór w Radonicach pod Warszawą, który kupił kiedyś w charakterze „dobrej lokaty kapitału”. Tam też Frykowscy przyjmowali swoich gości. W Radonicach bywali: Dygatonie, Morgensternowie, Cybulski, Kobiela, Skolimowski, Czyżewska, a na ich cześć urządzano huczne zabawy zwane „frykowiskami”. Pod tym względem na Wojtka zawsze można było liczyć.

„Poetka była nobilitującą go wizytówką – tłumaczyła pierwsza żona Frykowskiego. – Nawet jak narozrabiał lub wybił komuś zęby, uchodziło mu to płazem. Tak zwana Warszawka wiele mu wybaczała, chociaż niechętnie pogodzono się z myślą, że do środowiska literackiego wszedł prywaciarz. Mimo że lekko nim gardzili, nie odrzucali zaproszeń na huczne parodniowe biesiady urządzone przez niego i Poetkę, na których wszyscy żarli i pili do oporu za pieniądze jego ojca [...]. Wtedy uwierzył w siebie”[90].

Niebawem jednak Agnieszka przekonała się, czym mogą grozić związki rodzinne z prywatną inicjatywą. Jan Frykowski kilka lat wcześniej kupił transport kradzionej przędzy i teraz groziło mu aresztowanie.

„Wojtek poprosił mnie, żebym pomógł przerzucić ojca z miasta do miasta – opowiadał Andrzej Kostenko. – Raz wiozłem go do Sochaczewa, raz gdzieś koło Błonia. To było jak w komedii. Szyfrowany telefon Wojtka, gdzie mam się stawić. W tym miejscu pojawiał się stary Frykowski, w kapeluszu i w czarnych okularach słonecznych. Nie odzywał się przez całą drogę. Ja coś opowiadałem, on napominał mnie, że lepiej nie mówić za dużo. Był bardzo przystojny. Góralska uroda, orli nos, amerykańska twarz bez grama tłuszczu, dobrze ubrany, jak nie z Łodzi, ale z Londynu: marynarka w pepitę, płaszcz. Czuło się w nim siłę. Wojtek miał respekt przed ojcem”[91].

Rodzina i współpracownicy usiłowali przerzucić biznesmena na Zachód, a w tym celu użyto samochodu zarejestrowanego na Agnieszkę. Próba się nie powiodła i w kręgu podejrzanych znalazła się także Osiecka.



„Dnia 28.07.1962 roku – pisał do MSW podpułkownik Wiktor Prokopczyk z Wojsk Ochrony Pogranicza – otrzymaliśmy informację, że do naszego współpracownika zwrócono się z propozycją zorganizowania przerzutu za granicę osoby poszukiwanej przez MO. Z propozycją tą wystąpili trzej osobnicy, którzy przybyli na teren Dziwnowa samochodem marki Opel Rekord nr rejestracyjny WK 0176.

Dokonane ustalenia na terenie Warszawy wykazały, że właścicielem samochodu jest Osiecka Agnieszka znajdująca się w Waszym zainteresowaniu. [...]

W wyniku dokonanych dalszych czynności operacyjnych ustalono, że jednym z osobników proponujących dokonanie przerzutu był Frykowski Wojciech – mąż Osieckiej Agnieszki. Ojciec jego jest natomiast poszukiwany przez Oddział Służby Kryminalnej KG MO za dokonanie poważnych nadużyć gospodarczych. [...] Bezpośredniego współudziału Osieckiej Agnieszki z osobami, które chciały umożliwić ucieczkę z kraju Frykowskiemu Janowi, nie ustaliliśmy”[92].

Osiecką wzywano na przesłuchania, odmówiła jednak złożenia wyjaśnień, powołując się na związki rodzinne. Ale sam fakt, że została zamieszana w tę sprawę, zapewne musiał ją wstrząsnąć. Były to przecież czasy, gdy nie wydawano jej paszportu, podejrzewając o współpracę z paryską „Kulturą”. A teraz dodatkowo pojawiła się jeszcze sprawa typowo kryminalna...

Jan Frykowski został aresztowany kilkanaście dni później i trafił na dwa lata do więzienia. Zza krat nadzorował interesy, a wolny czas spędzał na wyplataniu wiklinowych koszyków. Po przedterminowym zwolnieniu ponownie stanął na czele swojego imperium i postanowił dać nauczkę tym podwładnym, którzy nie dochowali mu wierności. Scena przypominała filmy o włoskiej mafii:

„Niebawem wydał przyjęcie w Radonicach – relacjonował Mieczysław Jahoda – suto zastawione stoły kazał ustawić w parku przed pałacem, a na polanie otoczonej gazonami wspaniałych róż. Zaproszeni goście dość długo musieli czekać na gospodarza. Mimo objawów gościnności jednak lękali się, jak wypadnie konfrontacja z »szefem«, którego przecież tak łatwo opuścili w trudnej sytuacji. Wreszcie zjawia się ojciec Wojtka z sekatorem w ręku. Jedna po drugiej ścina róże, same główki... W grobowej ciszy słyhać tylko szczęk sekatora... W końcu zwraca się do swoich osłupiałych gości: »I z wami tak będzie, jeżeli jeszcze raz mnie opuścicie w potrzebie...«”[93].

## ROZWÓD PO RAZ PIERWSZY

Małżeństwo Agnieszki z Wojtkiem przetrwało zaledwie kilka miesięcy, gdyż Frykowski absolutnie nie nadawał się na stałego partnera. Wprawdzie miał artystyczne aspiracje i „w środku zżerała go ambicja”, to jednak niczego nie potrafił osiągnąć. W Radonicach z pomocą żony napisał kiedyś scenariusz i dostał zaproszenie na rozmowy od jednej z wytwórni, ale sprawa skończyła się tak jak inne. Wystarczyło, że tego dnia padał deszcz, a postój taksówek był pusty, aby Wojtek zrezygnował ze spotkania.

Okazał się również fatalnym gospodarzem posiadłości. Poleciał rozpędzić własne stado owiec (irytowało go ich beczenie), drażniły go również pszczoły z pobliskich uli. Na koniec zwolnił zarządcę majątku, który ciągle zanudzał go jakimiś przyziemnymi sprawami. Osiecka również nie mogła się tam odnaleźć:

„Latem w Radonicach, kiedy był Bartek [syn Frykowskiego z pierwszego małżeństwa – S.K.] i pies – zaczynałam się przyzwyczajać. Słońce. Twaróg. Sen. Ale kiedy spotykałam dawnych kolegów, ogarniało mnie przerażenie. Krępowałam się tego, w jakiej sztuce gram. Może aż nadto. Ta rodzina naprawdę się kochała [...]. Pojawiły się koło mnie jakieś czyjeś (jego) ciotki i babki, i służąca, i »mama«, i »tata«, i ich sprawy tajemnicze, w które wprowadzali mnie z naiwną prostodusznością, a ja czułam się obok, całkiem obok tego wszystkiego, i całkiem przypadkiem”[94].

Obyczajnie Frykowskich były jej obce – córka artysty, poetka z inteligenckiej rodziny nie potrafiła zrozumieć interesów teścia i nienormalnego świata gospodarki PRL-u. Pomimo to usiłowała tworzyć, dzięki czemu w Radonicach powstały teksty do spektaklu *Niech no tylko zakwitną jabłonie*. Małżeństwo z Frykowskim układało się jednak coraz gorzej, Wojtek okazywał pogardę dla jej pracy i regularnie nadużywał alkoholu. Irytował żonę swoją „pijacką mitomanią”, w efekcie „niedzielne przedpołudnie często upływało na płaczliwym kacu”. Bywał zazdrosny o swoich poprzedników, ale przywłaszczył sobie kozuch otrzymany przez żonę od Hłaski. Gdy jednak w czasie kolejnej awantury (tym razem o Andrzeja Jareckiego) Agnieszka musiała uciekać z pędzącego samochodu, zdecydowała się na rozwód. Orzeczono go w październiku 1963 roku.

„[...] nie miałam pojęcia o prowadzeniu domu – podsumowywała Osiecka swoje pierwsze małżeństwo – a poza tym kompletnie nie wiedziałam, jak ułożyć codzienne życie z drugim człowiekiem. Czułam się jak kaleka w moim własnym domu. Inaczej: czułam się w fałszywej sytuacji, czułam się nie na miejscu. Podlewając kwiaty, krojąc chleb, idąc do łóżka, czułam się, jakbym robiła coś niewłaściwego”[95].

Po jej odejściu Frykowskiemu nudziło się jeszcze bardziej. Nie nadawał się na „pana na włościach”, a narzędzia „bardziej skomplikowane od łopaty określał – »ta rzecz«, udając, że nie może spamiętać nazw”. Zapłacił za doprowadzenie do dworu specjalnej linii telefonicznej, a potem wydawał ogromne sumy na rachunki. To jednak nie pozwoliło mu zwalczyć nudy, tym bardziej że z nieukrywaną zazdrością obserwował początki kariery Romana Polańskiego na Zachodzie. Sam również postanowił opuścić Polskę i ostatecznie trafił do USA. Tam też w sierpniu 1969 roku został zamordowany przez bandę Charlesa Mansona w willi Romana Polańskiego w Kalifornii.

MFR

Na początku lat 60. Agnieszkę łączył również bliżej nieokreślony związek z Mieczysławem Rakowskim. Redaktor naczelny „Polityki” znajomość z kręgiem STS-u nawiązał oczywiście w Krzyżach, gdzie wybudował dom. W jego wspomnieniach

postać Agnieszki pojawia się regularnie, ale właściwie nie wiadomo, czy mieli romans. A nawet jeżeli tak było, to z czasem przerodził się on w przyjaźń.

„Rakowski, moim zdaniem – tłumaczył Jerzy Urban – ma trochę kobiecą konstrukcję psychiczną. Zmienne nastroje, raz w euforii, raz w depresji. Nawet jego oceny polityczne bywają dyktowane nastrojami. To zapala się do jakichś projektów, to znów rozczarowuje. Podobnie zapala się i rozczarowuje do ludzi. Najlepiej czuje się w towarzystwie kobiet, szczególnie gdy one w jakiś sposób go adorują. On otwiera się bardziej wobec kobiet niż wobec mężczyzn. Bardzo przyjaźni się z kobietami”[96].

Podobno MFR uwielbiał „duszny kontakt psychiczny”, wobec czego unikał związków typowo fizycznych. Jego partnerki musiały posiadać „wysoką pozycję na rynku damskim”, a przykładem tego miała być przygoda z Barbarą Wrzesińską. Podobno Rakowski miał również „długotrwały romans” z Jolantą Fikus (siostrą dziennikarza „Polityki” Dariusza Fikusa), „bardzo piękną dziewczyną”. Urban twierdził nawet, że „Rakowski uchodził za playboya i był nim na tle aparatu”, ale dziwnym trafem nie wspomniał nigdy o związku swojego szefa z Osiecką.

Agnieszka często gościła na stronach pierwszych tomów *Dzienników politycznych* Rakowskiego. MFR pisał o niej, że jest „hożą dziewczyną i ma piękne włosy”. Fascynowała go, wymieniali listy, ona ofiarowywała mu wiersze. Zwierzali się sobie z problemów, ale czy połączyło ich coś więcej? Zapisy w notatkach Rakowskiego można różnie interpretować, a szczególnie ten z lutego 1964 roku:

„W Zakopanem na nartach. Spotkałem sporo znajomych i przyjaciół, Bronka Bednarza, Agnieszkę O., Wiktora Woroszyńskiego i innych. Z Agnieszką odbyłem poważną rozmowę. Co z tego wyniknie, trudno powiedzieć. Bardzo lubię Agę”[97].

Agnieszka dała mu w prezencie książkę *Ludzie, fakty, refleksje* (antologię wspomnień działaczy PPR), dodając prywatną dedykację („Mietkowi, z mieszanymi uczuciami”). Ważniejszy jednak wydaje się wiersz ofiarowany mu miesiąc wcześniej:

Piękny panie,  
ukłon serdeczny z dala ślę,  
piękny panie, może już nie pamiętasz mnie?  
Pomyśl, to wszak rok temu,  
Tyś nie wiadomo czemu  
Szepnął mi – chodź na bal, ja wiem gdzie  
[...]"[98].

Czy przypominała w ten sposób datę rozpoczęcia romansu? Czy tylko przelotnej sytuacji intymnej? A może było to wspomnienie innej, ważnej dla obojga chwili?

Wydaje się, że coś mogło faktycznie ich połączyć przed 1964 rokiem. Potem Rakowski zaangażował się bowiem w romans z aktorką Elżbietą Kępińską, który zdominował jego życie prywatne i stał się przyczyną rozpadu małżeństwa z Wandą Wiłkomirską. Agnieszka natomiast zaangażowała się w związek z Jeremim Przyborą, nawet jeżeli nieco przewrotnie przypominała czasami Rakowskiemu o swoim istnieniu:

„Po powrocie z Krynicy [w lutym 1967 roku – S.K.] zastałem list od Agi, z jej

bardzo ładnym zdjęciem. Na odwrocie wiersz, który napisała prawie dwa lata temu. Dopiero teraz mi go przesłała. Nie wiem w jakim celu. Chyba tylko dla przypomnienia.

Patrz – jaka jestem ładna –  
– to przez Ciebie –  
choć kłopot nowy spadł nam...  
Jak to?  
Nie wiesz??  
[...]”[99].

Rakowski pozostał powiernikiem również podczas pierwszych lat jej związku z Danielem Passentem (jego podwładnym z „Polityki”). Jeżeli rzeczywiście mieli kiedyś romans, to rzadko intymna znajomość kończy się w tak ładny sposób.

„Pisze, że jestem fajny – zanotował Rakowski w lutym 1971 roku – że ile razy mnie o coś poprosiła, o coś większego czy duperelę, to nigdy nie nawaliłem. A poza tym, ponoć mam w sobie coś takiego, że się człowiek nie krępuje mnie prosić. Miła jest ta Agusia”[100].



**Wojciech Jesionka**



## STARSZY PAN B.

**B**ez względu na to, czy Osiecką i Rakowskiego łączyły intymne kontakty, to związek ten nie odegrał w jej życiu większej roli. O wiele ważniejszy był natomiast romans z Jeremim Przyborą – romans, o którym praktycznie nikt nie wiedział, partnerzy zachowywali bowiem wzorową dyskrecję. Szersza publiczność dowiedziała się o nim dopiero niedawno, po wydaniu korespondencji obojga (*Listy na wyczerpanym papierze*), o co zresztą wiele osób miało żal do spadkobierców artystów. Raczej niesłusznie, gdyż ich twórczość na tym nie ucierpiała, a polska literatura miłośna wzbogaciła się o cenną pozycję.

Jeremi Przybora był starszy od Agnieszki o ponad 20 lat, miał ugruntowaną pozycję jako poeta, autor tekstów i współzałożyciel Kabaretu Starszych Panów. Poznali się w pierwszych miesiącach 1964 roku na imprezie po spektaklu w STS-ie. Od razu też przypadli sobie do gustu, a do pierwszych wyznań doszło jeszcze tego samego wieczoru.

„On zakochał się od pierwszego spojrzenia – uważała Magda Umer. – Wpadł po uszy. Po jej uszy, które darzył uczuciem szczególnym. Nie ukrywał tego, niczego nie kombinował. Po prostu przytrafiło mu się szczęście i nieszczęście jednocześnie – zakochał się w skomplikowanej dziewczynie”<sup>[101]</sup>.

Agnieszka „uwiodła go z przyzwyczajenia”, ale niebawem i z jej strony pojawiło się uczucie. Oboje dotychczas nie potrafili dać sobie rady z życiem osobistym – Agnieszka była po rozstaniu z Frykowskim, a Przybora ciągnął drugie, nieudane małżeństwo. Z dwóch związków miał dwoje dzieci i poszukiwał już raczej samotności i spokoju. Zbliżał się do 50. roku życia, był mało towarzyski i nawet w SPATiF-ie starał się siadać przy oddzielnym stoliku.

Osieckiej imponowało jego uczucie, uwielbiała listy od niego, a doświadczony poeta i autor doskonale wiedział, jak należy pisać do kobiety. Nawet tak niepodobnej do innych.

„Będzie można do Ciebie zadzwonić? Jeżeli przytkniesz słuchawkę do prawego ucha, to dobrze, bo ono jest mi życzliwe. To moje ulubione Ucho. Mówię w Nie teraz: dobranoc, Agnieszko!”<sup>[102]</sup>.

Przybora zakochał się jak nastolatek, Agnieszka zaś „nie była pewna, o co jej chodzi”. Spotykali się na kawie, po czym ona szła do kina z innym mężczyzną. On pisał bezpośrednio do niej, ona adresowała korespondencję na SPATiF. Nie mogła się zdecydować, zawsze zresztą twierdziła, że „od książąt pobladłych woli mężczyzn upadłych”.

Wiele zmieniło ich pierwsze zbliżenie – Agnieszka przyznała, że Jeremi był



„pierwszym chłopcem, z którym jest jej dobrze w łóżku, przez którego robi jej się czarno w oczach i słodko w ustach”.

„[...] Tobą zamroczony... nie! – rozświetlony jestem od czterech prawie miesięcy – pisał do niej z Paryża. – Co teraz robisz? Może jesteś na Mazurach? Jak jesteś ubrana? Może piszesz »wierszyk«, trzymając ołówek w gotyckich palcach, bardzo kruchych i strasznie utalentowanych, moja Nawiedzona Panienko z Kępy [...]”[103].

Język polski użyty przez utalentowanego i doświadczonego autora bywa bronią, której kobieta nie potrafi się oprzeć:

„Całuję Cię bardzo [...], zaczynając od włosów na skroniach, a potem dłuuuugo zabawić przy uszach, najpierw prawym, a potem lewym, z uwzględnieniem całej skomplikowanej rzeźby i detalu, a potem skupić się na oczach, takich wiosennych sadzawkach wniebowstąpcach. A potem powędrować ustami przez nos bardzo kruchy, aż do ust i najpierw długo je przeproszać za zachłanność, z którą się spotkają. [...] Może wtedy otworzą mi dostęp do serca Agnieszki, które jest maleńką otchłanią poezji, w którą się leci i spada całymi latami przez jedną chwilę i nigdy do dna. [...] Tylko że tu już łatwo o przekroczenie obojczyka, tego Rubikonu kobiety, a czy ja znowu jestem Cezar Twojego Rubikonu?”[104].

Agnieszka starała się jednak zachować zdrowy rozsądek, przyznając, że „woli listy” od samego autora. Doceniała ich urodę, „cholernie jej się podobały jako utwory literackie”, a Jeremi był w nich „wzruszający i precyzyjny”. Wiedziała, że nie okazuje mu czułości, ale nie miała jej również dla siebie.

Osiecka obdarzona była duszą wędrowca, a Przybora był kolejnym mężczyzną, który musiał się zmierzyć z tym faktem. Pisała do niego z Krzyży, ze Złotych Piasków, z Budapesztu, Pragi i Jeleniej Góry. Najczęściej nie potrafiła podać precyzyjnej daty powrotu, z czego wysnuł niesłuszne podejrzenia, że po prostu od niego ucieka. Agnieszka w istocie była globtroterem i nie mogła żyć bez podróży, bez poznawania nowych ludzi, bez nowych wrażeń. Nie potrafiła długo pozostać w jednym miejscu, chyba że były to jej ukochane Krzyże czy Saska Kępa. I mając do wyboru powrót do stolicy, do Jeremiego, oraz rejs „cudzą łodzią” po Mazurach, bez wahania wybierała tę drugą opcję.

Niepowodzeniem zakończyła się próba wspólnego zamieszkania w lokalu przyjaciół przy ulicy Dąbrowszczaków na warszawskiej Pradze. Nagle okazało się, że Jeremi rano godzinę spędzał w łazience, a śniadanie celebrował przez następne dwie. Oczywiście musiał sam je sobie przygotować, Agnieszka bowiem w ogóle nie jadała śniadań. Nie miała również nawyku sprzątanía, a gdy już zamiatała, to z reguły śmieci lądowały pod szafą. Tego on w ogóle nie mógł zrozumieć, podobnie jak jej upodobania do życia towarzyskiego zakrapianego alkoholem.

Osiecka wyjechała do Londynu i między nimi znowu zaczęły krążyć listy. Nerwy, stres, zmiana klimatu, a może również tęsknota spowodowały opóźnienie cyklu i Agnieszka podejrzewała już, że jest w ciąży. Napisała o tym do Przybory, myślała o aborcji, on natomiast pragnął dziecka i wysłał jej nawet (w czasach PRL-u!) kwiaty pocztą lotniczą.

„[...] chciał mieć z nią dziecko – tłumaczył Jan Borkowski – bo sądził – jak

wielu zazdrosnych mężczyzn – że w ten sposób przywiąże Agnieszkę do siebie. Ona przede wszystkim ceniła jednak wolność tworzenia i życie w wolności. Poza tym знаła dwoje dorastających dzieci Przybory z dwóch jego małżeństw i nie miała ochoty powiększać tej liczby [...]”[105].

Alarm okazał się fałszywy, a Osiecka nie spieszyła się z powrotem do Jeremiego. Pojawiła się natomiast w Paryżu, snując wizję wyprawy do Szwecji. Przybora uznał to za nielojalność, ale poetka słusznie zauważyła, że pomiędzy planami a ich realizacją jest przecież znaczna różnica. Wróciła do Londynu, po czym jednak wyruszyła do Skandynawii, opóźniając swój powrót do kraju. Przybora uznał to za odsunięcie mety zmęczonemu zawodnikowi na ostatnich metrach biegu.

Agnieszka przyznawała samokrytycznie, że „jedyne, co ją upodabnia do człowieka, to wyrzuty sumienia”, ale nie zamierzała niczego zmieniać. Wciąż wolała czytać listy od Jeremiego, niż utrzymywać z nim bezpośredni kontakt. Przybora skorzystał wtedy z innego środka wyrazu – w kolejnym odcinku Kabaretu Starszych Panów Wiesław Gołas zaśpiewał piosenkę z jego tekstem:

Podła

Na pasku kłamstw mnie wiodła,

By nagle zepchnąć w otchłań,

W bezsennej noc bez dna.

Ooo... zgubna...

Niewierna, choć nieślubna,

Fałszywa, samolubna,

Podstępna, pusta, zła.

Przybora na krótko znalazł jednak sposób na kłopotliwą partnerkę. Wyjechał, nie odbierał telefonów, nie odpisywał na listy. Osiecka przekonała się, że jednak coś do niego czuje, ale swojego postępowania nie zmieniła.

Chociaż powtarzała, że „płacze i żałuje, że nie ma” go w pobliżu, wiedziała, że ich związek przypomina kontakty psa na łańcuchu (Przybora) z wędrownym kotem. I oczywiście niebawem ponownie zniknęła, wyruszając w rejs na Bornholm... z Mieczysławem Rakowskim i jego „kolegami dygnitarzami”.

Agnieszka i Jeremi pochodzili z zupełnie odmiennych bajek. Różnica wieku i doświadczeń życiowych była zbyt duża, by ten związek miał jakieś szanse na powodzenie. Osiecka musiałaby całkowicie podporządkować się partnerowi, na co zupełnie nie miała ochoty. Dlatego czasami dochodziło do kłopotliwych sytuacji towarzyskich, takich jak ta podczas imprezy, którą zorganizowała dla przyjaciół z STS-u.

„Zabawa nie mogła się rozkręcić – relacjonował Borkowski – bowiem gości Agnieszki nadmiernie krępowała obecność słynnego poety. [...] Nagle z okrzykiem »Cześć, Starenia!« wpadł do pokoju zaprzyjaźniony od lat z Agnieszką Zbyszek Cybulski. Aktor wracał z jakiegoś planu filmowego, był już porządnie podpity i nie bacząc wcale na obecność Starszego Pana, żartował na prawo i lewo. A żarty te były

więcej niż sprośne. Jeremi Przybora zerwał się w pewnym momencie z kanapy z okrzykiem:

– Jak pan śmie zwracać się tak do kobiet? Proszę je natychmiast przeprosić albo dam panu w mordę.

Nawalony Cybulski nie zwrócił na zajście uwagi albo też sądził, że to taki żart ze strony Starszego Pana – sprawa skończyła się na tym, że dostał w twarz. Lecz nawet wtedy myślał, że to jakaś nowa zabawa... Agnieszka była jednak innego zdania:

– Nikt nie będzie bił moich gości w moim domu! – tymi słowami ponoć zakończyła imprezę”[106].

Koniec nastąpił kilka miesięcy później, a Przybora żalił się, że „przez dwa i pół roku był wpuszczany w maliny”. To był dla niego wyjątkowo zły okres – musical *Jedźcie stokrotki* zrobił klapę, z anteny zniknął Kabaret Starszych Panów. Wreszcie rozwiódł się z żoną, na co wcześniej nie mógł się zdobyć, ale Agnieszce chyba nigdy na tym nie zależało.

Latem 1966 roku Osiecka święciła triumfy w Opolu z utworem *Na całych jeziorach – Ty*. Piosenka napisana dla Jeremiego w interpretacji Teresy Tutinas wygrała festiwal.

Na całych jeziorach – Ty,  
o wszystkich dnia porach – Ty,  
w marchewce i naci – Ty,  
od Mazur do Francji – Ty...

W rzeczywistości nie zawsze było tak słodko, bo emocje brały górę i kochankowie wypominali sobie różnego rodzaju grzechy. Szczególnie celowała w tym Agnieszka.

„Odkąd doszedłeś do wniosku – pisała do niego w liście – że Ty mnie nienawidzisz, a ja Ciebie chromolę, mam w sobie jakiś zygzak. Wydaje mi się, że będzie albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Najzabawniejsze, że oboje zarzucamy sobie to samo: egoizm (o, bo ja też Ciebie uważam za najpaskudniejszego egoistę ze wszystkich, jakich znam)”[107].

Podobno Przybora „leczył się z Osieckiej” równie długo, jak trwał ich romans. Potem w jego życiu pojawiła się plastyczka Alicja Wirth. Lubiła stać w cieniu, doskonale gotowała i była całkowitym przeciwieństwem Agnieszki. Pobrali się, a Osiecka zwierzyła się kiedyś Magdzie Umer:

„Chwilami zazdroszczę im takiego codziennego, nudnego szczęścia, tylko z tego powodu, że są razem i patrzą na rośliny. Ja nigdy nikomu nie umiałam dać spokoju. Sobie też”[108].

Do Jeremiego zachowała jednak duży sentyment (jak do każdego mężczyzny w swoim życiu). W marcu 1989 roku Magda Umer obserwowała ich spotkanie podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu:

„[...] Widzę, że Jeremi rumieni się jak licealista, przeprasza na chwilę nas, swoją żonę Alicję i podchodzi do Agnieszki. Są daleko, nie słyszę słów, ale coś tak

niezwykłego dzieje się między tym dwojgiem, że nie mogą oderwać od nich oczu. On się uśmiecha, ona płacze, wręcza mu żółtą różę. Całują się nieśmiało. Scena jak z filmu”[109].

## ZAZIĘBIONY STUDENT

„Agnieszka była piękną, interesującą kobietą – wspominała Ewa Lejman. – Mało było mężczyzn, którzy daliby radę jej się oprzeć. Gdyby rzeczywiście chciała być Don Juanem w spódnicy, mogłaby ich mieć na pęczki”[110].

W pewnym okresie życia artystka „skłaniała się raczej do przeziębionych studentów”. Jak na rasową kobietę przystało, była jednak zmienna w poglądach i uczuciach, gorzej, że miała skłonność do idealizowania mężczyzn. Funkcjonowali „dla niej w formie idealnych portretów, bardzo indywidualnych, bardzo subiektywnych”. Zderzenie z rzeczywistością bywało bolesne, tym bardziej że Osiecka miała zwyczaj podejmować ważne decyzje pod wpływem impulsu.

„Jak się zakocham – przyznawała – to mężczyzna mnie zachwyca od czubka głowy do palców u nóg, podoba mi się każdy jego gest [...]. Myślę: jakie to inteligentne i subtelne. A po paru miesiącach jak widzę ten gest, [...] myślę: co on wyprawia, a to kretyn”[111].

Tak naprawdę to było jeszcze gorzej – idealni partnerzy nagle zmieniali się w mało intrygujących osobników w przydeptanych kapciach. Opuszczali piedestał i żądali, aby Agnieszka robiła im śniadania i obiady, a nawet prała ich bieliznę. A to były sprawy zupełnie dla poetki egzotyczne.

„[...] Potem przychodziła codzienność – zauważał słusznie Wojciech Solarz. – Już nie tylko spacer, ale wspólne śniadania, wspólne mycie zębów – proza codziennego życia. I nagle okazywało się, że ten człowiek jest nudny, chociaż prawdziwy, że ukochany mężczyzna musi się golić, że trzeba mu prać skarpetki, że chrząka, że ma katar”.

Jej drugim mężem został związany z STS-em krakowski reżyser Wojciech Jesionka. Był „szalenie lubiany”, a „wspólne działanie ich zbliżyło”. Otoczenie nie uważało go jednak za mężczyznę na miarę Osieckiej, co znakomicie oddaje relacja Zofii Hertz:

„Agnieszka zadzwoniła kiedyś do mnie i powiedziała:

– Wiesz, wyszłam za męża.

– Słyszałam – odpowiedziałam. – Za jakieś paletko.

– Wcale nie za paletko, tylko za jesionkę.

– Czyli paletko. A w ogóle czyś ty zwariowała?

– Nie... Bo on taki biedny był... Taki trochę smutny, trochę chory... przeziębiony...”[112].

Rzeczywistość była jednak nieco bardziej skomplikowana. Wojciech Jesionka był z wykształcenia archeologiem, studiował w Krakowie, tam też zaczął przygodę

z teatrem. Razem ze swoją ówczesną towarzyszką życiową Janiną Paradowską działał w klubie Pod Jaszczurami, po czym przeniósł się do stolicy i na scenie STS-u wyreżyserował dwa programy. Uchodził za „niesłuchanie atrakcyjnego mężczyznę” i nie narzekał na brak powodzenia u kobiet.

„Najpierw wdał się w romans z Ireną Z. [Zachorczyńską? – S.K.] – wspominała reżyser Barbara Katarzyna Radecka – i w tym romansie wytrwał rok albo więcej. Nawiasem mówiąc, Agnieszki akurat nie było, stąd pewnie to trwało aż tak długo. Już wtedy przejawiał skłonność do alkoholu, ale naprawdę był bardzo zdolnym reżyserem teatralnym”[113].

Gdy pojawiła się Osiecka, szybko znalazł się pod jej urokiem. Zamieszkali razem w mieszkaniu po Czyżewskiej i Skolimowskim, przy czym lokal ten – podobnie jak za czasów poprzednich gospodarzy – wyglądał tak, jakby żadne z jego mieszkańców nie zamierzało w nim zbyt długo pozostać.

„Ich mieszkanie sprawiało wrażenie miejsca tymczasowego – opowiadała Alina Janowska – gołe okna, tylko parę niezbędnych mebli, żadnych bibelotów. On był reżyserem teatralnym, a później spektakli cyrkowych. W domu bywał niezwykle rzadko. Ten ich związek trwał tak bardzo krótko i był taki zwyczajny, że popadł w całkowite zapomnienie. Nawet nie mogę sobie przypomnieć twarzy Jesionki”[114].

Podejrzewano, że Osiecka wyszła za Jesionkę wyłącznie dlatego, że chciała zrobić na złość Andrzejowi Jareckiemu, z którym ponownie nawiązała romans i na którym bardzo jej zależało. Tymczasem Jarecki wciąż nie mógł się zdecydować, toteż poetka pod wpływem impulsu podjęła tę decyzję. I popełniła błąd.

„[Agnieszka] opowiadała mi taką sytuację – wspominała plastyczka Katarzyna Ważyk – że Wajda miał po coś do niej wpaść, a ona mieszkała wówczas z Jesionką. Kiedy mąż się dowiedział, kto ma przyjść, oznajmił, że nie będzie z nim rozmawiał. Wajda wchodzi, Jesionka nagle zaczyna się płaszczyć, ciągnie go gdzieś do kuchni, chce karmić zupą grzybową, zabiera się do jej odgrzewania, Wajda zaczyna mu pomagać. Robi się zamieszanie, zupa się wylewa, Wajda stoi cały w zupie grzybowej, a Agnieszka nie wie, co z tym zrobić”[115].

Osiecka mogła jeszcze zrozumieć upodobanie Jesionki do alkoholu, ale nie zamierzała przemykać oka na jego zdrady. Chociaż sama miała dość tolerancyjny stosunek do wierności w związkach, to uważała, że należy zachować pewne pozory. Natomiast pan Wojciech nie miał pod tym względem żadnych zahamowań. Otoczenie uznawało go za seksoholika, za człowieka opętanego natręctwem uwodzenia wszystkich dostępnych kobiet. A to, w połączeniu z alkoholizmem, okazało się nie do zaaprobowania dla Osieckiej.

„Agnieszka wówczas bardzo często wyjeżdżała – kontynuowała Radecka. – [...] Pewnego razu wróciła i zastała napranego Wojtusia w łóżku z jakąś bliżej niezidentyfikowaną panią i bardzo się wówczas zdenerwowała. Zalety Wojtka zbladły w jednej chwili, a i chyba jej namiętność ku niemu nie była zbyt gwałtowna, by mogła trwać dłużej. On generalnie nie umiał się zachować: wykorzystywał jej mieszkanie, jej kontakty, jej koleżanki. Wojtuś był idiotą, nie umiał się opanować. Był książkowym typem alkoholika – brał dziewczyny z dworca”[116].

Związek rozpadł się po kilku miesiącach, jednak rozwód orzeczono dopiero w styczniu 1970 roku. Jesionka nie kontynuował kariery w Warszawie. Wprawdzie wyreżyserował jeszcze dwa spektakle telewizyjne, ale jego dalsza działalność była związana ze scenami prowincjonalnymi (Gniezno, Nowa Huta, Opole, Cieszyn, Bielsko-Biała). Zmarł w 1992 roku.





**Daniel Passent**



## W KRĘGU „POLITYKI”

**W** 1970 roku w życiu Agnieszki pojawił się dziennikarz tygodnika „Polityka”, Daniel Passent. Był młodszy od Osieckiej o dwa lata, uchodził za jednego z najzdolniejszych publicystów swojego pokolenia. Poza tym wyróżniał się na tle większości polskich dziennikarzy tego okresu, bo znał biegle trzy języki obce i przez rok przebywał na stypendium w USA.

„Pod koniec studiów – czytamy w jego charakterystyce dla SB – zaczął pisać artykuły do »Sztandaru Młodych« i po pewnym czasie stał się stałym korespondentem tego pisma.

Po ukończeniu studiów rozpoczął pracę jako etatowy pracownik redakcji »Polityka«, gdzie po krótkim czasie awansował na kierownika działu krajowego. Jednakże z uwagi na nawał pracy administracyjnej na początku 1962 r. zrezygnował ze stanowiska kierownika działu, poświęcając się wyłącznie pracy dziennikarskiej.

Jak wynika z naszych informacji, cieszył się on w redakcji opinią zdolnego i dobrze zapowiadającego się dziennikarza”[117].

Passent był jednak człowiekiem żonatym. Z Jadwigą, „pracownikiem naukowym Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN”, byli małżeństwem od siedmiu lat, nie mieli dzieci. Gdy żona wyjechała na roczne stypendium do USA, dziennikarz wyjątkowo „źle znosił samotność” i „dużo przesiadywał w STS”.

„Moją pierwszą żoną była bardzo atrakcyjna doktorantka – wspominał po latach – która pracowała w Polskiej Akademii Nauk, później została profesorem. Zakochałem się. Była bardzo dobra, lojalna, wykształcona, odcytana, miała same zalety. To ja się okazałem niewiernym mężem, podatnym na urok Agnieszki Osieckiej. I to był powód rozwodu. Do dzisiaj jest mi smutno, kiedy myślę, że ją zdradziłem”[118].

W STS-ie poznał Agnieszkę i niebawem nawiązali romans. Początkowo oboje dbali o pozory i starali się zachować dyskrecję. Nie do końca się to udało, bo już wkrótce ich związek stał się publiczną tajemnicą.

„Byłem przy narodzinach tego związku – opowiadał Jerzy Urban. – Spotkałem ją u niego na jakimś przyjęciu. Wychodziliśmy razem, Passent ją odprowadził do domu. On nie ma zwyczaju odprowadzać gości, więc dało to mnie i reszcie towarzystwa do myślenia. Potem już wszyscy wiedzieli, że są parą, tylko Passent uważał, że nikt nie wie. Pewnego dnia zaprosił mnie na obiad w najelegantszym wówczas miejscu, czyli do restauracji w wieżowcu Intraco, i tam uroczyście oznajmił, że rozchodzi się z żoną i schodzi z Osiecką. Bardzo się stropił, jak mu powiedziałem, że o jego romansie z Osiecką wie całe miasto”[119].

Passent mógł być zaskoczony, ale nie przejmował się opiniami „życzliwych”, którzy odradzali mu angażowanie się w ten związek. Otoczenie zresztą pilnie obserwowało przebieg wydarzeń, uważając, że Agnieszka i Daniel zbyt się różnią, aby ich znajomość przetrwała dłużej. Zresztą sama Osiecka również miała poważne obiekcje.

„Teraz ma nowy problem – notował Mieczysław Rakowski w lutym 1971 roku – któremu na imię Danek P. Zakochała się w nim i zwierza mi się ze swoich sercowych kłopotów. Pisze w liście: »Pioseneczkę taką napisałam w związku z nową sytuacją, którą zatytułowałam *Wyśpiewały się pieśni szturmowe*, a kończy się tak:

Przerzedziły się mroki zimowe  
brudne słowa wsiąkają z krwią w piach,  
a myślałam – nie zmrużę już powiek:  
umrzeć straszno.  
A żyć – jakoś strach«”[120].

Agnieszka otwierała Danielowi „oczy na świat”, albowiem „patrzyła na to samo”, ale „widziała więcej”. Zawsze „skupiała się na miłości”, na „obdarowywaniu ukochanej osoby”, dawała odczuć, że Passent jest dla niej ważny. Jednak nie byłaby sobą, gdyby do całej sytuacji nie dodała nutki specyficznego humoru.

„List od Agnieszki, z Krakowa – kontynuował Rakowski. – Pisze, że ogląda zabytki, trochę pracuje, trochę podgląda Wajdę, »jak katuje *Biesy*«, no i myśli o sobie. Ale nie tylko. »Naturalnie o Danku myślę (zawsze serdecznie, żonatym czy nieżonatym), o Gierku myślę i o Tobie myślę«”[121].

Passent nie oparł się urokowi Agnieszki, ale chyba nie mogło być inaczej. Znajomość z nią stanowiła dla niego zupełnie nowe doświadczenie, bo poetka była niepodobna do żadnej z kobiet, jakie wcześniej miał okazję poznać.

„Była niezwykle atrakcyjna – wspominał – a jednocześnie skromna i bezpośrednia. To był niespokojny duch, dużo podróżowała, miała znajomych za granicą [...]. Była altruistyczna, owszem, ale nie zawsze. Dla niej liczyła się twórczość, miłość, rozmowa. Bardzo dobrze czuła się wśród ludzi”[122].

Znajomość z panem Danielem także dla Agnieszki była zupełnie nowym doznaniem, odróżniał się on bowiem od jej dotychczasowych partnerów. Był silną indywidualnością, mężczyzną o własnych, jasno określonych poglądach na świat, zupełnie odmiennym od ludzi, z którymi dotychczas przystawała. Nic więc dziwnego, że obawiała się tego związku.

„Lubię Daniela – pisała. – Nie jest nudny i ma granatowe włosy, i wszystko co trzeba, żeby podobać się dziewczynom. Ale strasznie się boję dać nura w jego świat... No nic. Może z bliska niebezpieczeństwo nie jest tak groźne. Byliśmy wiosną zeszłego roku z Danielem w Zakopanem i fajnie było. Widziałam też kiedyś lodową górę na oceanie, była piękna”[123].

Wprawdzie podobno bieguny różnoimienne się przyciągają, ale Osiecka i Passent pochodzili z zupełnie różnych bajek. Ona romantyczna i rozchwiana, a on logiczny,

konkretny i czasami zbyt drobiazgowy. Irytował się, gdy „koszulę nocną prała w morzu, a w ogródku czyściła nóż czy łyżkę gałązką modrzewia”. Miał uporządkowany tryb dnia, był człowiekiem świetnie zorganizowanym i gdy razem zamieszkali, załatwiał wszystkie wspólne sprawy. Agnieszka to doceniała, chociaż czasami jego doskonałość była dla niej trudna do zaakceptowania. Przyznawała jednak, że dotychczas „sprawy sercowe zajmowały jej nie więcej niż ćwierć serca”, natomiast w przypadku Daniela sytuacja była zupełnie inna.

„Zrozum, Mietek – pisała do Rakowskiego w marcu 1971 roku. – Ja do tej pory rzucałam chłopaków po roku (dwóch...) albo oni mnie rzucali, i był święty spokój. Traktowałam te sprawy jako część życia towarzyskiego. Z Danielem jest inaczej: on jest potwornie wrażliwy i drażliwy – jako mężczyzna i jako Żyd. Jeżeli sobie wezmę kogoś takiego na głowę, to już trzeba z nim siedzieć na serio i być w porządku. Ale czy ja się do tego nadaję? Czy nie bardziej jest w moim stylu niezobowiązujący związek z Andrzejem Wajdą, gdzie każdy robi, co chce, a zawsze jest do kogo gębę otworzyć? I nic od siebie nie chcemy, i można hulać, i zachowywać styl i niezależność?”[124].

Wspólne mieszkanie z Frykowskim, Przyborą czy Jesionką błyskawicznie pozbawiało Agnieszkę złudzeń co do partnerów, ale związek z Passentem miał trwać najdłużej z dotychczasowych. Co więcej, pan Daniel okazał się jedynym mężczyzną, z którym Agnieszka zdecydowała się na dziecko.

Poetka miała już wówczas własny dom. Pod wpływem Jana Borkowskiego zdecydowała się zakupić niewielki segment w Falenicy. Tam też zamieszkała razem z Passentem, ale chyba nie czuła się do końca szczęśliwa.

„Odwiedziłam ich – wspominała Zofia Góralczyk, ilustratorka książek Osieckiej. – Był dom, był stół, tylko ona czuła się tam sublokatorką. Potrzebowała ciągle dokądś wyjechać, czegoś poszukać. Z podróży przysyłała dziesiątki karteczek, przywoziła prezenciki. To był jej sposób na utrzymywanie przyjaźni, ale tak naprawdę nic z tego nie wynikało”[125].

Passent wnosił jednak w życie Osieckiej konieczne elementy ładu i porządku. Orientował się wprawdzie, że specjalnie nie ceniła takich wartości „jak dom, ognisko domowe, rodzina, jak majteczki przeprane, drugie śniadanie do szkoły zawinięte”, ale sprawdzał się w codziennym życiu. Nieoceniony okazywał się również w kłopotliwych sytuacjach towarzyskich. Bezceremonialnie wkraczał do jej pokoju, gdzie do rana przesiadywali przyjaciele Agnieszki, stwierdzając, „że gospodyni już nacieszyła się” ich obecnością, i machał w kierunku drzwi. Osiecka przyznawała, że jego zachowanie bardzo ułatwiało jej życie.

„Jest człowiekiem akuratnym o mieszczańskich upodobaniach – uważał Jerzy Urban. – Osiecka stanowiła w jego życiu huragan. Mężnie bronił siebie i statecznej egzystencji. Jeżeli rano zastawał w mieszkaniu pijanego Olbrychskiego, brał odkurzacza i odkurzał artystę. Jeśli Maryla Rodowicz chciała się przespacerować z żywą świnia, jechał po świnie”[126].

Agnieszka i Daniel nigdy się nie pobrali, a po latach Passent uznał ich związek za „pożar we krwi”, a nie za stateczną egzystencję. Podobno żadne z nich nie dążyło do sformalizowania związku, co raczej może dziwić w przypadku pana Daniela. Tym

bardziej że po pewnym czasie zdecydowali się na dziecko.

„Małżeństwo jako pieczęta – tłumaczył wiele lat później – jako forma zabezpieczenia, w ogóle nas nie interesowało. Wtedy nie sądziłem, że to szczęście przeminie, a potem było już za późno, żeby je ratować. Nie wyrwałem się do urzędu stanu cywilnego. Po pierwsze, nie sprawdziłem się w pierwszym małżeństwie. Po drugie, czułem, że związek z Agnieszką nie jest dożywotni. Czasy były już takie, że małżeństwo nie było konieczne”[127].

Pierwsze problemy pojawiły się, gdy w lutym 1974 roku na świat przyszła ich córka Agata. Po jej narodzinach Osiecka „wyglądała jak kupka nieszczęścia”, „a płacz dziecka wprawiał ją w panikę”. Daniel zaś sprawdzał się w nowej roli, „kwitł, zajmował się marchewką i mleczkiem”. To właśnie on dbał o dom i o córkę, doskonale wiedząc, że w tych sprawach nie może polegać na partnerce.

„Ja gotowałem – wspominał po latach – sprzątałem, prałem, prasowałem, robiłem wszystko co niańka, bo Agnieszka nie miała żadnych zdolności manualno-kulinarnych”[128].

Faktycznie, eksperymenty kuchenne Osieckiej z reguły kończyły się fatalnie. Kiedyś pan Daniel polecił jej kupić kurczaka na obiad, ale w Falenicy pojawiła się Maryla Rodowicz, aby razem z poetką popracować nad tekstami. Obie panie zdecydowały, że później udadzą się razem do mieszkającego niedaleko Seweryna Krajewskiego, aby tam kontynuować proces twórczy. Ale Agnieszka nie zapomniała o zaleceniach Passenta.

„W końcu wyszło tak – opisywała Katarzyna Ważyk – że dwie artystki biegały z kurczakiem przez las do trzeciego artysty, a potem cała trójka pracowała, a obok walało się ścierwo kurczaka z targu. Mniej więcej tak jej wówczas wychodziło godzenie codziennych obowiązków z pracą, a im dłużej ta sytuacja trwała, tym większy budziła w niej sprzeciw”[129].

Mieczysław Rakowski, świetny obserwator, który kilka miesięcy po narodzinach dziecka pojawił się w Falenicy, odnotował, że „Agnieszka wydaje się szczęśliwa”, ale jednak „niezupełnie”. Doskonale wiedział, że „Aga nie jest kobietą, która kiedykolwiek pozwoli na ograniczenie swojej samodzielności”, i że z tego powodu „miała i mieć będzie kłopoty z każdym mężczyzną”.

Inna sprawa, że do zwyczajnych kłopotów związanych z wychowaniem niemowlęcia dochodziła jeszcze drobiazgowość Passenta. Agnieszka skarżyła się, że „kiedy zostawi ogryzek na wannie, on trzy dni nie może jej tego zapomnieć”. Uważała, że „z takim człowiekiem łatwo się żyje, ale czasem jest nie do wytrzymania”.

„Lubiłam zawsze – wspominała Osiecka – i do dziś lubię [...] jego solidność w życiu rodzinnym. Był niesłuchanie oddany mnie i Agacie. A ja z natury jestem cyganeryjna – nigdy nic poza sztuką nie chciałam robić. Jestem artystką od stóp do głów! Nie udawałam, że uwielbiam tłuc kotlety w żółtym fartuszk w niebieską kratę. Nigdy nie powiesiłam sobie sama firanek. Umiem tylko robić kisiel i przetwory na zimę”[130].

Ludzie utalentowani, „dotknięci palcem Boga” tworzą z reguły związki dysfunkcyjne, dalekie od normalności. Domowe piekło przeżywała rodzina Adama

Mickiewicza, tragedią zakończyło się pierwsze małżeństwo Stanisława Przybyszewskiego, szczęścia nie zaznały Nałkowska i Dąbrowska. Agnieszka chciała mieć rodzinę i „jednocześnie żyć jak Piotr Skrzynecki”. Być partnerką i matką, ale pozostać „wolnym ptakiem” i zachowywać się w sposób zupełnie nieprzewidywalny.

„Pewien znajomy prawnik amerykański – opowiadał Passent – udostępnił nam swoje mieszkanie w kurorcie szwajcarskim Crans. Okazało się, że miejscowość jest piękna, położona wysoko w Alpach, ale w środku miasta stoją wstrętne bloki z mieszkaniami kupionymi przez cudzoziemców. Na widok mieszkania w takim bloku Agnieszka się rozpląkała, wymarzyła sobie coś innego, nie chciała tam zostać nawet na jeden dzień i wróciliśmy do Polski”[131].

Na wszystko nakładały się jeszcze jej specyficzne uwarunkowania psychiczne. Artystka nigdy nie potrafiła zadowolić się osiągnięciem celu, dla niej najważniejsze było samo dążenie do szczęścia. A gdy je osiągała, natychmiast przychodziły znużenie i uczucie pustki.

Ale nie płaczmy, bo  
ale nie płaczmy, bo  
nie o to chodzi, by złowić króliczka,  
ale by gonić go,  
ale by gonić go,  
ale by gonić go!

Tekst piosenki Skaldów autorstwa Agnieszki jest chyba najlepszym podsumowaniem jej filozofii życiowej. Osiecka szukała szczęścia, dążyła do niego, ale rozumiała je inaczej niż przeciętni ludzie.

„[...] Muszę powiedzieć – tłumaczył Passent – że Agnieszka, która jest osobą bardzo delikatną i wrażliwą, dzięki czemu są możliwe te piosenki, wiersze i książki, jest jednocześnie osobą bardzo zdecydowaną i kategoryczną, kiedy zmierza do jakiegoś celu. Zarówno kiedy celem jest opublikowanie wiersza, wystawienie musicalu czy też miłość, czy też podróż – wówczas ona nagle zmienia się w czołg, który miażdży wszystko po drodze”[132].

Krach nastąpił wkrótce po wyjeździe rodziny do USA. W życiu Agnieszki był już Zbigniew Mentzel, toteż postanowiła porzucić Daniela i dziecko i wrócić do Polski. Odwiedziła wówczas Alinę Janowską, z którą była zaprzyjaźniona.

„Kiedy siadaliśmy do obiadu, ona się rozpląkała. Po raz pierwszy zobaczyłam zupełnie inną Agnieszkę, jakiej dotąd nie znałam. Zamiast zawsze opanowanej, dążącej do dowcipnej pointy, miałam przed sobą kobietę załamana, rozedrgana, wyznającą przez łzy, że nie może żyć bez nowej miłości jej życia – bez Zbyszka. Nie udawała, że to nie on, ale ona zwariowała z miłości. Była w moim domu zbudowanym na solidnych fundamentach rodzinnych. Rozpaczała, że jej dom się rozlatuje. Nie widziała już żadnych możliwości ratunku. A już najbardziej dramatycznie zabrzmiało jej wyznanie, że Agatkę zostawi Passentowi”[133].



Porzucenie dziecka nie mogło się spotkać ze zrozumieniem otoczenia, choć było wiadomo, że Passent zapewni Agacie znakomitą opiekę. Nie miało również większego znaczenia to, że artystka nigdy nie odnajdywała się w domowych obowiązkach, liczył się tylko fakt, iż Agata została z ojcem. Chociaż na swój własny oryginalny sposób Osiecka czuła się związana z córką.

„Agnieszka kochała Agatę nieprzytomnie – uważała Magda Umer. – Mogła godzinami o niej opowiadać, jaka Agata jest genialna, co teraz robi, co studiuje, jakiego wspaniałego ma narzeczonego, jaka jest piękna. Pokazywała tysiące jej zdjęć. Ona o tym opowiadała, a Agata nawet nie wiedziała, że tak jest. Agnieszka bardzo cierpiała nad tym, że nie jest najlepszą matką, i wiedziała o tym. Ale ciągle próbowała, chciała być lepsza. To był jej wielki problem”[134].

Rozpad związku z Passentem nie spowodował natomiast żadnych problemów finansowych. Niepotrzebne stało się pośrednictwo prawnika, bo Agnieszka okazała się niezwykle hojną matką. Pozostawiła również Passentowi wspólny segment na Żoliborzu (wybudowany w 1976 roku), stwierdzając, że jest to dom Agaty.

Stosunki pomiędzy całą trójką ułożyły się bardziej niż poprawnie, „Agnieszka często odbierała Agatę ze szkoły”, co było ważne ze względu na liczne zajęcia pozalekcyjne dziewczynki.

„Agnieszka [...] dbała o rozwój Agaty – uważał Passent. – Nawet po naszym rozstaniu regularnie, na zmianę z moją żoną Martą [drugą żoną – S.K.] woziła ją na treningi tenisowe. Zabierała ją do różnych ludzi, podsuwała jej książeczki, dosyć wcześnie zaczęła ją zabierać w podróże zagraniczne: do Rzymu, do Wenecji. Chciała jej wynagrodzić to, że na co dzień z nią nie jest, że się nią nie zajmuje”[135].

W pewnym sensie powtarzały się relacje panujące między Osiecką a jej matką, chociaż w ostrzejszej formie. Agata po latach miała do matki pretensje „o nieodrabianie z nią lekcji i niekładzenie jej do łóżka”. Nigdy nie usłyszała od niej, że „ugotuje jej zupę”, a jak będzie chciała, „to sobie pogadają”. Córka „dowiadywała się od znajomych” o „nieskończonej miłości” matki, uważała jednak, że tak naprawdę to „najbardziej kręciło ją pisanie i faceci”.

Agatę drażniła jeszcze jedna sprawa. Wielokrotnie umawiała się z matką, mając nadzieję na rozmowę w cztery oczy, ale Agnieszka zawsze zjawiała się w czyimś towarzystwie. Po latach doceniła, że w ten sposób poznała Seweryna Krajewskiego czy Jerzego Pilcha, ale wówczas potrzebowała czegoś innego. Agnieszka jednak tego nie rozumiała.

Osiecka odeszła od rodziny, gdy Agata miała sześć lat. Córka rzeczywiście niewiele wiedziała o wcześniejszym życiu matki, a o tym, że Agnieszka była już kiedyś mężatką, dowiedziała się dopiero podczas studiów. Od ojca zawsze słyszała mocno złagodzoną wersję jej biografii, Passent tłumaczył, że po prostu nie był dla niej właściwą osobą.

„[...] Tata przyjął inną taktykę: stawiał mamę na piedestał – mówiła Agata. – Uważał, że skoro widuję ją w złym stanie, to od niego dla równowagi powinnam słyszeć

o niej same dobre rzeczy. A mi to nie pomagało, bo nadal nic nie rozumiałam. »Skoro taka wspaniała, to dlaczego woli alkohol niż wyjazd ze mną na Mazury«. I znowu: »Pewnie to moja wina, ona wspaniała, a ja beznadziejna«”[136].

Osiecka właściwie nigdy nie potrafiła rozmawiać z córką i nawet jej korespondencja z Agatą sprawiała dość dziwne wrażenie. „Opisywała Londyn, ale nie jak się czuje w Londynie”, opowiadała o balangach, unikając informacji o sobie. Przebywając w USA, przysłała Agacie grubą kopertę, ale niestety było w niej tylko jedno zdanie napisane na serwetce, a resztę stanowiły zdjęcia i wycinki prasowe.

Do Agaty dotarło wreszcie, że jej matka właściwie „nie do końca była zainteresowana macierzyństwem”. Owszem, kochała córkę, ale „miała swoje priorytety. Uwielbiała życie w kawiarni, picie wódeczki, snucie opowieści”.

„[...] Pamiętam, że następowało odwrócenie ról rodzic-dziecko. Sądziłam, że jako nastolatka to raczej ja będę szaleć do nocy. A tu wieczór, ja jestem pierwsza w pokoju w pensjonacie, a mama baluje, wraca podpita. Czułam się potwornie samotna. Widziałam jej chorobę, widziałam problem, który stał się też moim problemem, bo nie potrafiłam wyzbyć się oczekiwań wobec mamy. Nie umiałam patrzeć na nią jak na osobę chorą”[137].

Agnieszka nie chciała się leczyć, zawsze zresztą unikała poważnych rozmów. Zamiast osobistego listu z „kolejnej podróży wysyłała wycinek z gazety, że jakiś Chińczyk na parasolu w czasie wichury przeleciał dwa kilometry”. I taka już pozostała, nigdy nie „potrafiła się zdobyć na szczerłość”. Wprawdzie Passent zawsze lojalnie jej bronił, twierdząc, że „może pije, ale ma inne zalety”, ale Agaty to nie zadowalało.



**Zbigniew Mentzel**



## PRZYJACIÓŁKI

**A**gnieszka często zmieniała nie tylko partnerów życiowych, ale również przyjaciółki. Nie należała do osób stałych w damskich przyjaźniach, złośliwi twierdzili nawet, że każda z jej powierniczek „miała swoje pięć minut”, a następnie była spychana na dalsze miejsce. Osobowość Osieckiej nie tolerowała bowiem żadnych konwencji, a więc i kontakty z ludźmi utrzymywała na własnych warunkach. Pomimo tego potrafiła być wierną przyjaciółką przez wiele lat, ale dotyczyło to tylko kilku wybranych osób. Innymi szybko się nudziła i traciła zainteresowanie dalszą znajomością.

„Dziewczynki to ona wybierała bezbłędnie – przyznawała Barbara Katarzyna Radecka. – Miała naprawdę dwie przyjaciółki. Pierwszą była Krysia Sienkiewicz, drugą – Elżbieta Czyżewska. Ja się z nią nie rozstawałam przez cztery lata, ale czy to znaczy, że byłam taką przyjaciółką jak Krysia? W życiu. To zupełnie inny poziom”[138].

Sienkiewicz wiele jej zawdzięczała, bo dzięki Osieckiej nie tylko zrobiła karierę, ale kupiła również swój pierwszy dom. Agnieszka po prostu przekonała ją, że „nigdy nie będzie bogata, jak nie zacznie pożyczać”, i zaraz po tym wsparła ją poważną kwotą, za którą przyjaciółka nabyła „ziemię i wielki dom z młynem nad Świdrem”.

Osiecka potrafiła znakomicie odnajdywać się w bardzo różnych układach towarzyskich. Regularnie spotykała się z dużą liczbą osób i dla każdego potrafiła znaleźć miejsce. Od otaczających ludzi brała to, co było jej potrzebne, wiedziała też doskonale, czego może oczekiwać.

„Fascynowała się wieloma osobami – wyjaśniała Ewa Błaszczyk – stąd tak dużo ludzi opowiada o podobnym doświadczeniu. Z perspektywy lat widzę, że nasz kontakt był bardzo ciekawy – ja również miałam w życiu Agnieszki swoje osobne miejsce. Nie należałam do żadnej z jej grup, Agnieszka nie zapraszała mnie na spotkania z Krysią Jandą i Magdą Umer, tylko spotykałyśmy się same. [...] Miała ze mną taki osobny nurt”[139].

Chociaż często nie potrafiła dać sobie rady z własnym życiem, była znakomitym psychologiem. Sprawiała, że ludzie, z którymi utrzymywała bliższe relacje, traktowali ją jak powiernika i spokojnie zwierzały się jej ze swoich problemów.

„Miała niezwykłą cechę – potwierdzał Jerzy Urban – mianowicie każdego wysłuchiwała z życzliwością i każdy nie wiadomo kiedy zwierzał się jej z najbardziej intymnych swoich spraw. Nawet ja, nieskłonny do zwierzeń, po chwili rozmowy z nią czułem, jak cała nastawiona jest na wysłuchanie opowieści o moich problemach, skupiona na mnie, nie na sobie”[140].

Innych przyjaciółek potrzebowała do zabawy, innych do babskich pogawędek czy imprez przy alkoholu. Okazji nigdy nie brakowało, a Agnieszka zadziwiała swoją kondycją fizyczną. Bywało, że przez kilka dni mieszkała w jednym pokoju hotelowym z przyjaciółką, ale współlokatorka w ogóle jej nie widywała. Osiecka miała bowiem swój własny rytm życia.

„Agnieszkę zaproszono kiedyś na Festiwal Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu – wspominała Katarzyna Ważyk – namówiła więc mnie, bym pojechała z nią do Wrocławia. Cały ten pobyt był – jak pamiętam – kompletnie obłąkany. W naszym hotelu zjawiała się w pewnym momencie Maryla, potem przyszedł Daniel Olbrychski i mnóstwo innych ludzi. Nie można było się z tego hotelu wydostać, bo w zasadzie wszystko tam właśnie się odbywało. Nawet basen mieliśmy. Cały dzień kłębiliśmy się w barze i restauracji. Mieszkałam z Agnieszką w jednym pokoju, ale wcale jej nie spotykałam. Ciągle gdzieś chodziła, z kimś się umawiała – była w fantastycznej formie. Prześmieszny był ten Wrocław – Agnieszka uwielbiała taki kocioł”[141].

Przez wiele lat skutecznie jednak oddzielała rozrywkę od pracy. Gdy „piła, to piła”, ale „też solidnie pracowała”. Jeśli wchodziła w jakąś rolę, to chciała ją jak najlepiej wypełniać. A pisanie było dla niej zawsze najważniejsze i nigdy się nim nie znudziła.

Nie potrafiła jednak opanować zniecierpliwienia, gdy podczas damskich spotkań pojawiały się tematy, które nie wzbudzały jej zainteresowania. Nigdy nie umiała zrozumieć egzaltacji przyjaciółek sprawami ciąży i wychowania dzieci, a zdarzało się nawet, że dyskretnie opuszczała wówczas towarzystwo. Woląa „wędrowki bez celu”, spacerować przed siebie, „szuranie liści pod stopami”. Magda Czapińska nigdy nie zapomniała pewnego spotkania w Milanówku u Krystyny Jandy, która była wtedy w trzeciej, zagrożonej ciąży.

„[...] gospodyni leżała z wielkim brzuchem na materacu, a my zgromadziłyśmy się wokół niej i rozmawiałyśmy o macierzyństwie, dzieciach, co musiało być dla Agnieszki straszne. I w pewnym momencie zorientowałyśmy się, że Agnieszka gdzieś zniknęła. Przerażone biegałyśmy po tym ogromnym domu i coraz bardziej zdenerwowane szukałyśmy jej – bez skutku. I dopiero potem doszłyśmy do wniosku, że ona po angielsku urwała się z naszego kameralnego przyjęcia [...]”[142].

Regularnie spotykała się z Magdą Czapińską, Krystyną Jandą, Zuzanną Łapicką-Olbrychską i Magdą Umer na tzw. egzekutywach, aby uprawiać wspólne „lamenty”. Wbrew swojej nazwie spotkania te miały z reguły bardzo wesoły przebieg, a Osiecka zawsze pamiętała, aby kupić kawior, szampana czy bezy, które uwielbiała Magda Umer. Ale gdy chciała się przed kimś otworzyć, to wybierała Annę Szałapak. To z nią wyjeżdżała w chwilach depresji, to jej zwierzała się ze swoich najtajniejszych lęków.

Jednak żadna z przyjaciółek nie potrafiła zmusić Agnieszki do zmiany sposobu ubierania się i używania szerszej palety kosmetyków. Poetka praktycznie nie robiła sobie makijażu, nie zwracała uwagi na trendy panujące w modzie. Niemal zawsze „ostentacyjnie ubierała się jak pani w średnim wieku, a mimo to biegała za nią imponująca liczba mężczyzn”. Najwyraźniej nie tylko szata zdobi kobietę...

Czasami zdarzało się jej zażartować ze swoich przyjaciółek, ale z reguły były to

udane żarty. Gdy po rozstaniu Osieckiej z Passentem do kraju powróciła Hanna Bakuła i ostentacyjnie szczyliła się swoim nowym mężem (stomatologiem, amerykańskim Żydem), Agnieszka przypominała, że Żydzi „jako mężowie przestali być modni już dwa lata temu”...

Innym rodzajem damskich spotkań były „chińskie wódki” w warszawskiej restauracji Szanghaj. Uczestniczące w nich panie miały prawo zapraszać po jednej osobie spoza towarzystwa i kiedyś zdarzyło się, że Katarzyna Ważyk przyprowadziła pewnego przedstawiciela prywatnej inicjatywy. Osobnik ten odnosił sukcesy w swojej branży, ale marzył o karierze artysty. Z Osiecką natomiast przyszedł Franciszek Starowieyski, który, widząc nową twarz w towarzystwie, „natychmiast zaczął się popisować”.

„[...] zapytał mojego znajomego – opowiadała pani Katarzyna – czy jadł kiedykolwiek ludzkie mięso. Potem rozvodził się na różne tematy, aż wreszcie powiedział: »Wiesz co, Agnieszko, w zasadzie może byś zdjęła bluzkę i pokazała piersi«. Na co Agnieszka zdjęła bluzkę i pokazała piersi. Wtedy mój znajomy już prawie kompletnie oszalał, bo – owszem – wiedział, że artyści robią dziwne rzeczy, ale żeby aż takie? Jeszcze bardziej zapragnął być artystą”[143].

Celu jednak nie osiągnął, gdyż od „ogłądania piersi Osieckiej nie zostaje się od razu artystą”...

## ZBYSZEK

Rozpad związku z Passentem nikogo specjalnie nie zaskoczył, bo układ ten i tak trwał dłużej, niż się spodziewano. Osiecka z reguły szybko nużyła się osobą partnera, a pan Daniel miał zdecydowanie odmienną od niej konstrukcję psychiczną.

„Wystarczy spojrzeć na te jej zakochania – twierdziła Zofia Hertz. – Nieraz mówiliśmy o niej »Nasza Messalina«. Agnieszka potrafiła zakochać się w takim mężczyźnie, w którym żadna inna by się nie zakochała. Ale taka już była. Bardzo często śmieliśmy się z jej tempa zmieniania »ukochanych«. Do Maisons-Laffitte przychodziła polska prasa. Otwierałam »Przekrój«, jeśli był tam nowy wiersz Agnieszki – czytałam go, a potem bardzo często szłam do Zygmunta i mówiłam:

– Słuchaj, Agnieszka już z tym a tym zerwała.

– Skąd wiesz?

– Przeczytaj ten wiersz. Pożegnalny.

Ona każdego mężczyznę żegnała wierszem”[144].

Zbigniewa Mentzla poznała w redakcji „Polityki”, gdzie na swoje nieszczęście ściągnął go Daniel Passent. Był młodszy od Osieckiej o 15 lat, uważano go „za fantastycznego, młodego człowieka”. Agnieszka zupełnie straciła głowę i zdecydowała się na zerwanie z całym dotychczasowym życiem. Pozostawiła Passentowi dom na Żoliborzu, w którym do dzisiaj mieszka on razem z drugą żoną. Mieści się tam również siedziba Fundacji Okularnicy.



Już pierwsze tygodnie nowego związku zapowiadały, że nie będzie on należał do najłatwiejszych. Agnieszka wróciła z USA i w Warszawie spotkało ją rozczarowanie.

„Wielokrotnie mówiła mi – wspominała Katarzyna Ważyk – że strasznie się czuła po tym, jak porzuciła w Stanach Passenta i Agatkę. A zrobiła to specjalnie dla Zbyszka – tak bardzo chciała z nim być. On na jej przyjazd zareagował słowami: »A jesteś, to świetnie. Ale gdzieś właśnie wychodzę...«. Poszedł gdzieś z kolegami czy znajomymi. Strasznie ją to wtedy przygnębiło. Żaliła się: »Kasia, przylatuję z innego kontynentu, pędzę do faceta, a on mi mówi: jesteś, to jesteś«”[145].

Agnieszka zamieszkała u matki, bo jej nowy partner też nie posiadał mieszkania, ale to nie przeszkadzało zakochanej poetce. Zresztą dla niej słowo „miłość” zawsze miało specyficzne znaczenie.

„Kiedy mówię »kocham« – mawiała Osiecka – nie mam na myśli tego, co potocznie rozumie się pod tym określeniem. Ja kocham po swojemu”[146].

Związek z Mentzlem był jednak dla niej wyjątkowo nietypowy. Po raz pierwszy Osiecka znalazła się w sytuacji, w której to ona zabiegała o względy partnera. I może dlatego romans ten trwał aż kilkanaście lat, najdłużej ze wszystkich związków Agnieszki.

„[...] liczył się dla niej tylko Zbyszek – potwierdzała Radecka. – Nie neguję, że to inteligentny chłopak. Poznałam go i widziałam, że nie jest tak zaangażowany jak Agnieszka. A przecież to ją uwielbiałam za niezmienny talent, nieprawdopodobne możliwości, inteligencję, niezwykły sposób traktowania świata i w ogóle. W niej wszystko było zupełnie niecodzienne, jedyne w swoim rodzaju”[147].

Poetka, która dotychczas „zakochiwała się i odkochiwała” oraz „łamała innym serca”, znalazła się w sytuacji kobiety w średnim wieku, która chciała utrzymać przy sobie znacznie młodszego mężczyznę. Nie była to zwykła fascynacja – Osiecka sprawiała wrażenie, że obecność partnera jest jej konieczna do życia. Gdy latem w nadmorskich Dębkach Zbyszek stawał w kolejce do sklepu i rozmawiał ze znajomymi, poetka asystowała mu w milczeniu. Tak jakby czerpała siłę z jego bliskości.

Inna sprawa, że czasami przybierało to karykaturalną i niepokojącą formę – potrafiła całymi godzinami siedzieć na plaży i wpatrywać się w plecy czytającego partnera. Znajomi nie poznawali Osieckiej, to nie była ta sama Agnieszka, którą znali od lat.

„Gdy przyjeżdżaliśmy do niej w odwiedzinach – opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska – kazała chodzić na palcach, bo Zbyszek spał. W Dębkach zaprowadziła absolutny kult Zbyszka. Ale to był dla niej smutny związek. Uświadomiła sobie bowiem swoją klęskę jako kobiety zwycięskiej. Nie można zwyciężyć z o kilkanaście lat młodszym mężczyzną, w którym, co gorsza, jest się zakochanym”[148].

Poetka nie ukrywała uczucia, a na spotkaniach autorskich mówiła, że pisze swoje teksty dla tego „pana, co siedzi w drugim rzędzie”. Natomiast on nigdy nie był zadowolony z roli, jaka mu przypadła w udziale. To ona była gwiazdą, a on tylko jej asystował. Na dłuższą metę było to trudne do zaakceptowania dla młodego, ambitnego mężczyzny.

„Gdziekolwiek pojawiał się towarzysko – wspominała Magda Czapińska – był

tylko »jakimś facetem, który przyszedł z Osiecką«. Zwykle stał z boku i patrzył na zamieszanie wokół niej. Raz zdarzyło mi się stać dosyć długo obok niego i wtedy zrozumiałam, jak kiepsko musiał czuć się w tej roli. A to przecież trwało chyba kilkanaście lat”[149].

Sytuacji nie zmieniło nawet to, że Osiecka kupiła mu mieszkanie. Chętnie tam się przeniósł (dotychczas nocował u matki), ale nie chciał, aby wspólnie zamieszkali. W efekcie Agnieszka nie miała nawet klucza do tego lokalu.

„Jak potępieniec kochałam przez czternaście lat jednego Zbyszka – przyznawała poetka. – Byłam już dorosła, miałam za sobą dorobek, jakąś popularność, jakąś osobowość, która się ludziom podoba. Ja dla Zbyszka zrobiłabym wszystko. I wszystko bym zostawiła. Niestety, nie miałam szansy się poświęcić”[150].

Cztery lata po zerwaniu powiedziała, że gdyby Mentzel poprosił ją o „podwiezienie do Uzbekistanu, natychmiast by pojechała”. To zastanawiające wyznanie sugeruje, że był on jedynym mężczyzną od czasów Hłaski, który nie dał się jej zdominować. Czy dlatego tak bardzo się do niego przywiązała? Tego zapewne nigdy się już nie dowiemy. Tymczasem on dawał niekiedy do zrozumienia, że jego przywiązanie do niej było znacznie mniejsze. Podobno już po rozstaniu opowiadał, że właściwie nigdy go nic z Osiecką nie łączyło. Trudno to raczej nazwać postępowaniem godnym dżentelmena...

Jedną z najbardziej popularnych książek Agnieszki, *Szpetni czterdziestoletni*, dedykowana jest właśnie Mentzłowi. Nie jest to jednak klasyczna dedykacja. W pierwszym wydaniu książki z 1985 roku autorka umieściła jego zdjęcie pod numerem jeden w pierwszej wkładce zdjęciowej i dodała znamienne tekst:

„Zaczęłam pisać *Szpetnych* jako opowieść dla jednego człowieka, dla chłopca, który w czasach odwilży miał sześć lat. Jego pokolenie przyglądało się nam krytycznie, ale było nas ciekawe”.

Zerwał z nią przez telefon, a zbiegło się to ze śmiercią Marii Osieckiej. Agnieszka już nigdy nie podniosła się po tych przeżyciach.



**André Ochodlo**



## BIAŁA BLUZKA

Szczególną pozycję w dorobku artystycznym Agnieszki zajmuje *Biała bluzka*, która w interpretacji Krystyny Jandy i w reżyserii Magdy Umer odniosła niebywały sukces. Na widowni przeważały dziewczęta, niektóre z nich oglądały spektakl wielokrotnie, a najbardziej zagorzałe fanki jeździły za nim po całej Polsce.

„Trafiłyśmy chyba – Agnieszka, Magda i ja – w stan ducha młodego pokolenia, pewnej formacji, która nie widziała przed sobą żadnych perspektyw – mówiła Krystyna Janda. – Dziewczyny identyfikowały się z tamtą z *Białej bluzki*. Ich depresja nie miała tła alkoholowego, lecz stan niezgody i wyobcowania znały doskonale”[151].

Andrzej Wajda uważał ten monodram za tekst wyjątkowo kobiecy, napisany bez większej logiki. Uznał jednak, że gdyby zastosować twarde reguły reżyserii, to *Biała bluzka* wiele by straciła, ponieważ wszystkie teksty Osieckiej były „urocze przez to”, że „tak straszliwie niekonwencjonalne”. Pomimo to odradzał Jandzie udział w całym przedsięwzięciu, na szczęście aktorka (po raz pierwszy w życiu) nie posłuchała Wajdy.

„Moją małą powieść pod tytułem *Biała bluzka* zaczęłam pisać w 1983 roku – wspominała Agnieszka. – Jej bohaterką była dziewczyna, która za dużo chce, można powiedzieć: dzika dziewczyna. Jest w stanie żyć tylko w ogniu. Jeżeli zabawa, to szalona, jeżeli miłość, to olbrzymia, jeżeli przyszłość, to fantastyczna”[152].

To zapewne najbardziej osobisty z utworów Osieckiej. Nie tylko ukazała w nim szczegóły (często intymne) z życia znajomych, ale również napisała wiele o sobie. To wnikliwy obraz walki z uzależnieniem, które znała z autopsji.

W czasach PRL-u alkohol lał się strumieniami, a nasze elity artystyczne bynajmniej nie sływały z abstynencji. Agnieszka nigdy nie unikała trunków, uchodziła zresztą za doskonałego kompana.

„Osiecka jest najciekawszym towarzystwem, jakie można mieć w Warszawie – pisał Jerzy Urban. – Kiedy mówi, wszystko w jej opowieściach ma stosowne proporcje, kulminację, pointę i starannie rozmieszczone olśniewające spostrzeżenia. Osiecka jakby pisze sobie w myślach rozmowy, obmyśla status i zakres kontaktów z ludźmi, reżyseruje klimat spotkań. To nie znaczy, że bywa mniej szczerą niż przeciętnie. Jest intensywna w obcowaniu z ludźmi. Życie towarzyskie też wymaga zdolności, obmyślenia i fachowej inscenizacji”[153].

Kłopoty pojawiały się wtedy, gdy poetka nadużyła alkoholu. Wówczas „cały ten kunszt rozmowy i obcowania walił się”, bo jej „opowieść, relacja, tok myśli wyrwały się z literackiej konstrukcji”, prowadząc ostatecznie donikąd.

Przez wiele lat Agnieszka kontrolowała jednak sytuację. Nie unikała trunków,

lecz picie nie komplikowało jej dnia codziennego. Właściwie dopiero w *Białej bluzce* przyznała się do tego, jaką rolę w jej życiu odgrywał alkohol. Tragikomiczny opis delirium na długo pozostawał w pamięci czytelników i widzów:

„Jeden mój kolega miał taką historię, że mu owad wyszedł z bursztynu, rozprostował skrzydełka i wychłptał całą wódkę ze szklanki. Następnie usiadł wygodnie w fotelu, zapalił i opowiedział historię swego życia, trzy tysiące dwieście lat! Pili obaj do godziny policyjnej i dłużej”[154].

O problemach matki bez specjalnych zahamowań opowiadała Agata Passent. Jej relacja jest wyjątkowo przejmująca, bo to wypowiedź córki, którą matka właściwie porzuciła i która mimo to nie przestała matki kochać:

„Jej choroba alkoholowa postępowała powoli. Zaczęło się od tego, że była osobą towarzyską. Nie lubiła samotności. Ciągłe się bawiła, wychodziła do znajomych. I często – alkohol. Bo w Polsce nie można się przecież bawić przy soku czy herbacie. Potem przez całe lata była na okrągło w stanie podchmielenia. Długo potrafiła to kontrolować, w końcu kontrolę straciła”[155].

Dla Agaty szczególnie bolesne były dni, gdy matka spotykała się z nią, będąc pod wpływem alkoholu. Wiedziała, że Osiecka bardzo pragnęła tych spotkań, ale choroba zwyciężała:

„Mama się mnie bała, bo miała poczucie winy – mówiła Agata. – Ja ją w tym poczuciu utwierdzałam. Bo ją ganiłam, kiedy się upiła. Opierdalałam ją, wrzeszczałam. Próbowałam szantażu. Byłyśmy umówione, spóźniała się, poszłam tam, gdzie piła, i powiedziałam: »Pijana masz się do mnie nie odzywać«. Trzeźwa czy nie, dzwoniła, błagała”[156].

## BAR SAX

Alkohol pozostał w życiu artystki niemal do końca, a szczególnie dużo było go w czasie śmiertelnej choroby Marii Osieckiej. Agnieszka potrafiła pisać na rauszu znakomite teksty, można zresztą odnieść wrażenie, że procenty stymulowały jej natchnienie. Stałą siedzibą poetki w ostatnich latach jej życia był bar Sax przy ulicy Francuskiej.

„Agnieszeczka zrobiła z Saksy instytucję – wspominał towarzysz jej alkoholowych seansów. – Miała tu swoje krzesło, na dole, tyłem do drzwi. Przychodziła o ósmej rano. Jeśli chodzi o alkohol, była bezpruderyjna. Rano zamawiała »dzień dobry« – czyli gin z tonikiem, »szarlotkę« – żubrówkę z sokiem jabłkowym lub »haczyka« – to cola z winiakiem na sam początek, żeby się zahaczyć. Ale nie używała pijackiego slangu, to była prawdziwa dama. Piła, lecz myślała »chłujnie«. Szybko trzeźwiała. Pisanie piosenek nie sprawiało jej najmniejszych trudności: brała pięćdziesiątkę, wyjmowała serwetkę. Zanim kieliszek był pusty, miała już piosenkę – szlagier. W Saksie na serwetkach nikt nic nie zapisywał, przez szacunek dla Agusi. Piła, bo miała za dużo czasu. Bo szukała normalności, domu. Domem był Sax, a normalnością ludzie

pijący tak samo. Wielu z nas stworzyła, dowartościowała; przyjaźń z nią stanowiła najważniejszy element biografii. Dzięki Agnieszce stawaliśmy się lepsi”[157].

Agata miała na ten temat własne, zupełnie inne zdanie – nienawidziła Saksa i znajomych matki. Uważała, że rodzicielka stacza się w szybkim tempie, a co gorsza sytuacja ta bardzo jej odpowiada.

„Przychodziłam ją stamtąd wyciągać. W końcu przestałam, bo nie miało to sensu. Nie chciała być wyciągnięta. Wystarczyła wymiana spojrzeń i wiedziałam, że sytuacja jest zaawansowana. Ktoś tam ją potem doprowadzał, bo wśród alkoholików jest cała siatka wzajemnej pomocy i solidarności”[158].

Agnieszka miała tam swoich znajomych, wśród których czuła się bardzo dobrze. Potrafiła wyjść „po zapałki” ze spotkania „ścisłej egzekutywy” i już nie wrócić, bo w tym momencie wolała towarzystwo słynnej Marzenki z baru Sax niż swoich przyjaciółek ze świata artystycznego. Czasami usiłowała łączyć te grupy, były to jednak próby skazane na niepowodzenie.

„Owszem, z Marzenką głównie piła, lecz również ją rozumiała – mówiła Zuzanna Łapicka-Olbrychska. – Pamiętam, że Agnieszka przyprowadziła ją kiedyś do Klubu Księgarza na własne spotkanie autorskie. Marzenka była pijana i przerywała wszystkim, więc w końcu ją wyprowadziliśmy, na co Agnieszka powiedziała: »No żal, smutno bez Marzenki«. Chciała nam w ten sposób pokazać, że to my jesteśmy smutne baby, a nie Marzenka, która wszystkich przedrzeźniała, wtrącała się, przerywała. Agnieszka w każdym środowisku była inna”[159].

Lubiła też kontakty z Markiem Nowakowskim, bo mieli podobne upodobania do alkoholu i spelunek, a do tego zawsze mogli porozmawiać o literaturze. A miejsce libacji nie miało większego znaczenia, gdyż oboje znakomicie potrafili się przystosować.

„Kiedyś wylądowaliśmy z Markiem na jakiejś wódce na jakimś dworcu – opowiadała Osiecka – on tam znał jakieś dziwne typy. Nie wiadomo było, czy nasz rozmówca to złodziej, czy złoczyńca, czy kłoszard, czy jakiś zapoznany poeta. Po tych wódkach siedzieliśmy gdzieś nad Wisłą – tam też piliśmy i rozmawialiśmy. A w pewnym momencie Marek tak na mnie spojrzał i powiedział: »Agnieszka, zdejmij ze mnie to gestapowskie oko”[160].

Agnieszka Osiecka wpisała się w długi korowód luminarzy polskiej kultury, którzy mieli problemy z alkoholem. Trunków nadużywali: Przybyszewski, Boy, Tuwim, Wierzyński, Lechoń, Miłosz... Agnieszka była kobietą i matką, inaczej zatem ją odbierano. Ale przecież już przed wiekami Jan Kochanowski pytał retorycznie: „Czy widział kto kiedy poetę trzeźwego?”. I sam sobie odpowiadał, że pewnie „nie napisze taki nic dobrego”. Czyżby miał rację?

## TEATR ATELIER

Przez ostatnie lata życia poetka mieszkała razem z matką, co nie było najlepszym



rozwiązaniem dla obu stron. Pani Maria zawsze niepokoiła się o los córki, a z wiekiem nabrała jeszcze niezdrowej ciekawości. Potrafiła wzbudzać w Agnieszce nieustanne poczucie winy, córka czuła się od niej zależna. Często się kłóciły, ale tak naprawdę nie potrafiły bez siebie żyć.

Ważny dla Osieckiej okazał się również powrót na Saską Kępę. To zawsze było „jej miejsce na ziemi”, z tą dzielnicą czuła się najbardziej związana, tutaj miała swoje ulubione miejsca, i nie był to tylko Sax przy Francuskiej; dziennikarzom najczęściej wyznaczała spotkania w barze Espresso przy rondzie Waszyngtona. Nie „przeszkadzało jej mało kameralne wnętrza kawiarni i hałas dochodzący z dość ruchliwej ulicy”[161].

Pomimo rozstania i trudnych relacji z córką oparciem dla Osieckiej wciąż był Daniel Passent. Z zadowoleniem mawiała, że „do Daniela i jego obecnej żony zawsze może iść na kolację”. Miała doskonałe kontakty z Łukaszem, pasierbem Passenta i przyszywanym bratem Agaty. Uwzględniła go nawet w swoim testamencie.

Maria Osiecka zmarła na chorobę nowotworową w 1994 roku. W tym samym czasie rozpadł się związek Agnieszki z Mentzlem, rok wcześniej w wypadku samochodowym zginął Andrzej Jarecki, zmarła też jej przyjaciółka Amy Navarro. Została sama w pustym mieszkaniu matki, które nazywała norą. Ale do końca pozostała wierna sobie – nadal była lojalną przyjaciółką, chociaż pewne klimaty na zawsze pozostały jej obce. Gdy Ewa Lejman złamała nogę, natychmiast pojawiła się u niej z pomocą i na swój, trochę nieudolny sposób, zaopiekowała się przyjaciółką. Przy okazji rekonwalescentka zapamiętała taką oto scenę:

„Wiesz, ostatnio zbieram się w sobie – mówiła Osiecka. – Jak zauważyłaś, zaczęłam nawet myć naczynia – tu chciałam zaprotestować, a Agnieszka dokończyła – ale przy trzeciej filiżance okazało się, że nie mam tyle cierpliwości”[162].

Podczas pobytu u Ewy Lejman w Orłowie poznała ostatniego mężczyznę swojego życia. Był nim niemiecki reżyser, aktor i pieśniarz André Hübner-Ochodlo. Zasłynął jako popularyzator kultury jidysz, a w 1989 roku założył w Sopocie teatr Atelier. Fascynowały go problemy przenikania się kultur, bliskie (ze względu na pochodzenie ojca) również Osieckiej. Ponadto okazało się, że oboje wysoko cenią twórczość Isaaca Singera.

„Spotkała oddanego sobie człowieka – kontynuowała Lejman. – Narodziła się pomiędzy nimi wzruszająca zażyłość. Była wprost rozczulona młodzieńczymi żartami Andrzejka, jak go nazywała. Pochwalała jego twórcze wybory, podziwiała niezwykle zorganizowanie”[163].

Osiecka promowała sopocką scenę, świadomie używała swojego nazwiska, godzinami przesiadywała w teatrze, czuła się szczęśliwa w gronie ludzi młodszych od niej o całe pokolenie. Pomagała w garderobie, przewoziła swoim samochodem rzeczy dla teatru, z USA przyleciała z „dwoma walizami pełnymi rekwizytów”. Kupiła również sprzęt nagłaśniający, bez jej wsparcia scena zapewne by nie przetrwała.

„Torowała nam drogę do sponsorów – wspominał Ochodlo – często sama nas sponsorowała, po prostu dofinansowywała teatr, który dzięki niej mógł pokonywać trudności. Była współtwórczynią naszego teatru. Rozdawała nam całą siebie”[164].

André Hübner-Ochodlo był młodszy od Agnieszki o 27 lat, co nie przeszkadzało

im w gorącej przyjaźni i możliwe, że w czymś więcej. Nie mogli żyć bez siebie, rozmawiali bez końca, a gdy byli oddaleni, co wieczór rozmawiali telefonicznie aż do zaśnięcia któregoś z nich.

„No i jeszcze ten André – zauważyła Magda Czapińska. – Chyba prezent od Boga na jesień życia. Jeden z niewielu mężczyzn, który darzył ją bezinteresowną przyjaźnią. Ona przy nim znowu rozkwitła. To chyba nie był ktoś, kto przyczepił się do »słynnej Osieckiej«. Zapytałam kiedyś Magdę Umer:

– Czy on jest dla niej dobry?

– Tak, on JEST dla niej dobry – powiedziała”[165].

Osiecka przygotowała dla Atelier adaptację powieści *Wrogowie* Isaaca Singera (pod tytułem *Wilki*), muzykę napisał Zygmunt Konieczny. Dzięki współpracy z Ochodlo wydawało się jej chwilami, że powróciły czasy STS-u. Niewielka scena wprost na plaży (teatr mieścił się w dawnej stolarni sopockiego Grand Hotelu), widzowie przesiadujący w Atelier dłużej, niż trwało przedstawienie, oraz niekończące się dyskusje. I grupa młodych zapaleńców uważających, że współtworzą coś ważnego, coś jedyne w swoim rodzaju.

„Nigdy nie zapomnę pierwszego czytania sztuki *Wilki* – opowiadała Ewa Lejman. – André zaprosił do siebie wszystkich aktorów, którzy mieli w tym zagrać. Moja noga się jeszcze nie zrosła. Nie chciałam iść, ale Agnieszka uparła się, że mnie zabierze. W mieszkaniu było mnóstwo dymu papierosowego, alkohol. André, ze swoim charakterystycznym niemieckim akcentem, czytał wszystkie role, również kobiece, co szczególnie w scenach miłosnych dawało niesamowity efekt. Potem lekko pijany Marek Richter uparł się, że zanieś mnie do samochodu. Panował totalny rozgardiasz. A Agnieszka siedziała zachwycona”[166].

Tryb życia, jaki przez wiele lat prowadziła Osiecka, musiał w końcu odbić się na jej zdrowiu, a ona niestety zbyt późno zgłosiła się do specjalisty. Miała świadomość, że zapadła na chorobę nowotworową i że nie zostało jej już zbyt wiele czasu. Ale do końca pozostała sobą, nie zamierzała się oszczędzać, chociaż wiedziała, że to mogłoby przedłużyć jej życie.

„Niektóre swoje słabości odkrywała jedynie przed moim tatą – wspominała Agata Passent. – Nie wstydziła się przed nim ani swojej starości, ani swojej choroby. Przed nim nie musiała nikogo udawać. W ciężkich chwilach nie dzwoniła do nikogo z cyganerii, tylko do mojego ojca”[167].

Rzeczywiście, przed większością znajomych udawało jej się ukrywać symptomy choroby, a nawet efekty chemioterapii. Ostatni rok „przeżyła brawurowo”, tak jakby chciała oszukać śmierć. Dopóki było to możliwe, współpracowała z teatrem Atelier, który stał się treścią jej życia.

„Gdy co czwartek – wspominała Ewa Lejman – musiała zgłaszać się w tej, jak mówiła, koszarnej klinice, gdzie dostawała ten piekielny zastrzyk, przyjeżdżała do nas w środę rano, żeby wieczorem znów wsiąść w pociąg. Nigdy nikogo nie obarczyła swoim nieszczęściem, choć mogła tak zwyczajnie powiedzieć: »Słuchaj, już nie wytrzymuję« albo się rozplakać. Ale ona najwyżej mówiła tylko: »Źle się czuję« i szła na górę do swojego pokoju”[168].

Osiecka była współtwórczynią ostatniego programu, który pojawił się na scenie za jej życia (*Apetyt na śmierć*). Napisała do niego tekst kołysanki „na wieczne zaśnięcie”. Była również autorką songów i przekładu *Do dna* Ludmiły Pietruszewskiej, dała także Ochodle swoją ostatnią sztukę *Darcie pierza*. Premiera z udziałem Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej i Marka Richtera odbyła się już po jej śmierci. Reżyserował oczywiście André.

„Spotkanie z Agnieszką Osiecką wyostrzyło moje spojrzenie na sprawy istotne – mówił Ochodlo wkrótce po jej odejściu. – Inaczej mówiąc: miałem swój przyspieszony kurs życia. Dzięki Agnieszce chociaż dotknąłem takich pojęć jak dobroć, tolerancja, strach, nieśmiałość, samotność. Co to jest miłość do wszystkiego, co żyje? Nie wiem. Ale wiem, że Agnieszka tak kochała. I przez to jednak coś wiem. Ten ładunek może dać siły, aby przejść przez to życie przyzwoicie”[169].

Osiecka do końca życia starała się pracować, nie poddawała się chorobie. Znajomi bywali zaskoczeni, widując ją w niezłej formie, ale były to już tylko pozory.

„Zaprosiłem ją do siebie – wspominał Seweryn Krajewski – bo miałem trzy melodie, do których chciałem, żeby Agnieszka napisała teksty. Dochodziły mnie słuchy, że Agnieszka jest ciężko chora, ale kiedy przyjechała, wydawało mi się, że jest w fantastycznej formie. Podczas naszego spotkania była wesoła, śmiała się, żartowała. Powiedziała, że moje propozycje podobają się jej, wzięła kasetę i poszła. Tydzień później umarła”[170].

Śmierć przysłała po Agnieszkę Osiecką 7 marca 1997 roku. Pięć dni wcześniej, w niedzielę, trafiła do szpitala, do którego zawiozła ją Agata wraz ze swoim przyszywanym bratem, Łukaszem. Poetka walczyła do końca, nie chciała nawet usiąść na szpitalnym wózku.

„Kiedy traciła przytomność – opowiadała Agata Passent – powiedziała do mnie ostatnie słowa: »Do dupy«. A do mojego przyrodniego brata: »Nie podobałoby ci się to«. Ale przygotowała sobie grób na Powązkach. W domu zostawiła kartkę: »Wszystkie dokumenty są w tym pudełku«. Nagrała na sekretarkę wiadomość dla Andrzeja”[171].

Ochodlo odsłuchał nagranie i niezwłocznie pojawił się w szpitalu. Pozostał u boku Osieckiej przez ostatnie trzy dni, do samego końca. Nie wiadomo, czy zdawała sobie sprawę z jego obecności.

Trudno wyobrazić sobie polską kulturę XX stulecia bez tekstów Agnieszki Osieckiej. Była autorką ponad dwóch tysięcy (!) piosenek, ponad 30 utworów scenicznych i widowisk, a jej teksty na co dzień funkcjonują w świadomości przeciętnego Polaka. Jej wkład w nasze codzienne życie jest nie do przecenienia. Dostrzegł to Jerzy Urban, dotąd bardziej znany ze swojej złośliwości niż ze skłonności do poetyckich wzruszeń. I chyba to właśnie on najlepiej podsumował rolę, jaką w kulturze polskiej odegrała Agnieszka Osiecka.

„[...] lekceważąco mówi się o niej jako o »tekściarce«, a moim zdaniem to jest wielka poetka i przyjdą czasy, kiedy zostanie zapomniany Staff, Tuwim, których nikt nie będzie czytać, a zostanie Osiecka. Bo ona naprawdę wzrusza, nie Miłosz czy Herbert”[172].



## Przypisy do cz. III

- 1 Za: B. Michalak, *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001, s. 15–16.
- 2 Za: *ibidem*, s. 18.
- 3 Za: K. Felberg-Sendecka, *Koleżanka. Wspomnienia o Agnieszce Osieckiej*, Warszawa, s. 16.
- 4 A. Osiecka, *Rozmowy w tańcu*, Warszawa 1992, s. 24.
- 5 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 22.
- 6 A. Osiecka, *Dzienniki 1951*, e-book, Warszawa 2014.
- 7 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 23.
- 8 J. Gruza, *40 lat minęło jak jeden dzień*, Warszawa 1998, s. 6.
- 9 *Ibidem*, s. 6–7.
- 10 A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985, s. 109.
- 11 J. Urban, *Jerzy Urban o swoim życiu rozmawia z Martą Stremeczką*, Warszawa 2013, s. 143.
- 12 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 31–32.
- 13 Za: Z. Turowska, *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2000, s. 34.
- 14 Za: *ibidem*, s. 37.
- 15 R. Pracz, *Teatr Satyryków STS*, Warszawa 1994, s. 19.
- 16 *Ibidem*, s. 19.
- 17 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 46.
- 18 Za: *ibidem*, s. 46.
- 19 R. Pracz, *op. cit.*, s. 43.
- 20 J. Abramow-Newerly, *Lwy STS-u*, Warszawa 2005, s. 372.
- 21 Za: P. Szlachetko, J.R. Kowalczyk, *STS. Tu wszystko się zaczęło*, Warszawa 2014, s. 71.
- 22 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 53.
- 23 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 59.
- 24 Za: P. Derlatka, *Zdradziecka Osiecka*, Warszawa 2015, s. 139–140.
- 25 Za: *ibidem*, s. 49.
- 26 Za: P. Derlatka, *op. cit.*, s. 146.
- 27 Za: *Studencki Teatr Satyryków – zbuntowani zetempowcy*, [polskieradio.pl/39/156/Artykul/1072027,Studencki-Teatr-Satyrykow-%E2%80%93-zbuntowani-zetempowcy](http://polskieradio.pl/39/156/Artykul/1072027,Studencki-Teatr-Satyrykow-%E2%80%93-zbuntowani-zetempowcy).
- 28 R. Pracz, *op. cit.*, s. 40.
- 29 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 121.

- 30 Za: *ibidem*, s. 119.
- 31 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 61.
- 32 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958–1962*, Warszawa 1998, s. 123.
- 33 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 121.
- 34 *Ibidem*, s. 119.
- 35 A. Prucnal, *Ja, urodzona w Warszawie*, Kraków 2005, s. 184.
- 36 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 62–63.
- 37 Za: *ibidem*, s. 63.
- 38 Za: *ibidem*.
- 39 D. Passent, *Passa*, e-book, Warszawa 2012.
- 40 *Ibidem*, s. 361.
- 41 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 64–67.
- 42 Za: K. Krubski, M. Miller, Z. Turowska, W. Wiśniewski, *Filmówka. Powieść o Łódzkiej Szkole Filmowej*, Warszawa 1998, s. 68.
- 43 Za: *ibidem*, s. 57.
- 44 Za: *ibidem*, s. 67.
- 45 B. Michalak, *op. cit.*, s. 35.
- 46 *Ibidem*, s. 40.
- 47 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 93.
- 48 Za: A. Czyżewski, *Piękny dwudziestoletni. Biografia Marka Hłaski*, Warszawa 2012, s. 129.
- 49 „Express Wieczorny” 22.01.1958.
- 50 E. Lipiński, *Marek*, „Życie Literackie” 3/1980.
- 51 *Ibidem*.
- 52 J. Putrament, *Pół wieku, t. 5. Poślizg*, Warszawa 1987, s. 202.
- 53 Za: B. Stanisławczyk, *Miłosne gry Marka Hłaski*, Poznań 2010, s. 110.
- 54 Za: *ibidem*, s. 111.
- 55 Za: *ibidem*, s. 114.
- 56 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 185.
- 57 M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965, t. 11*, Warszawa 2009, s. 29.
- 58 Za: H. Rozpędowski, *Sonja i Marek*, Warszawa 1999, s. 83.
- 59 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 69.
- 60 Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 114.
- 61 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 78.
- 62 Za: IPN BU 0204/411.
- 63 Za: *ibidem*.



- 64 Za: *ibidem*.
- 65 Za: *ibidem*.
- 66 Za: *ibidem*.
- 67 Za: J. Siedlecka, *Kryptonim „Liryka”*. *Bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2008, s. 130.
- 68 *Ibidem*, s. 151.
- 69 M. Rakowski. *Dzienniki polityczne 1963–1966*, Warszawa 1999, s. 146–147.
- 70 *Ibidem*, s. 147.
- 71 Za: IPN BU 0204/411.
- 72 Za: *ibidem*.
- 73 Za: *ibidem*.
- 74 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 152–153.
- 75 Za: *ibidem*, s. 152.
- 76 D. Passent, *op. cit.*
- 77 *Ibidem*.
- 78 A. Osiecka, *Dzienniki 1945–1950*, e-book, Warszawa 2013.
- 79 K. Kąkolewski, *Jak umierają nieśmiertelni*, b.m. 1996, s. 11.
- 80 *Ibidem*.
- 81 Za: A. Bikont, *Scenariusz życia*, „Gazeta Wyborcza” 31.07.1999, [niniwa22.cba.pl/bikont\\_frykowski.htm](http://niniwa22.cba.pl/bikont_frykowski.htm).
- 82 Za: K. Kąkolewski, *op. cit.*, s. 111.
- 83 *Saga rodu Frykowskich*, [kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html](http://kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html).
- 84 K. Kąkolewski, *op. cit.*, s. 14–15.
- 85 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 174.
- 86 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 195.
- 87 Za: *ibidem*, s. 195.
- 88 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 101.
- 89 Za: *ibidem*, s. 103.
- 90 E. Morelle, *Słodkie życie*, Kraków 2007, s. 198.
- 91 A. Bikont, *op. cit.*
- 92 Za: IPN BU 0204/411.
- 93 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 106.
- 94 Za: *ibidem*, s. 105.
- 95 A. Osiecka, *Rozmowy w tańcu*, Warszawa 1993, s. 27.
- 96 J. Urban, *Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana*, Warszawa 1992, s. 87.
- 97 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963–1966*, Warszawa 1999, s. 127.
- 98 *Ibidem*, s. 115–116.

- 99 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1967–1968*, Warszawa 1999, s. 25.
- 100 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001, s. 363.
- 101 Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze, Warszawa 2010, s. 10.
- 102 *Ibidem*, s. 21.
- 103 *Ibidem*, s. 48.
- 104 *Ibidem*, s. 48–49.
- 105 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 154.
- 106 Za: *ibidem*, s. 153–154.
- 107 Agnieszki Osieckiej i Jeremiego..., s. 159.
- 108 *Ibidem*, s. 7.
- 109 *Ibidem*.
- 110 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 175.
- 111 Za: G. Sroczyński, *Z widokiem na twoje ucho*, „Wysokie Obcasy” 18.10.2010, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z\\_widokiem\\_na\\_twoje\\_ucho.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z_widokiem_na_twoje_ucho.html).
- 112 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 176.
- 113 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 291.
- 114 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 107.
- 115 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 430.
- 116 Za: *ibidem*, s. 292.
- 117 IPN BU 002086/385.
- 118 D. Passent, *op. cit.*
- 119 J. Urban, *Jerzy Urban...*, Warszawa 2013, s. 147.
- 120 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001, s. 363.
- 121 *Ibidem*, s. 363.
- 122 D. Passent, *op. cit.*
- 123 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 168.
- 124 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, s. 370.
- 125 Za: G. Sroczyński, *op. cit.*
- 126 J. Urban, *Alfabet Urbana. Od UA do Z*, Warszawa 1990, s. 146.
- 127 D. Passent, *op. cit.*
- 128 *Ibidem*.
- 129 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 414.
- 130 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 180.
- 131 D. Passent, *op. cit.*
- 132 *Ibidem*.

- 133 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 169.
- 134 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 165.
- 135 Za: *ibidem*, s. 164.
- 136 G. Sroczyński, *Córeczko, nie ma sprawy*,  
[wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)
- 137 *Ibidem*.
- 138 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 294.
- 139 Za: *ibidem*, s. 510–511.
- 140 J. Urban, *Jerzy Urban...*, s. 148.
- 141 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 424.
- 142 Za: *ibidem*, s. 495.
- 143 Za: *ibidem*, s. 416.
- 144 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 193.
- 145 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 421.
- 146 Za: *ibidem*, s. 152.
- 147 Za: *ibidem*, s. 316.
- 148 Za: *ibidem*.
- 149 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 181.
- 150 Za: L. Ostałowska, P. Smoleński, *To nie mój pies, ale moje łóżko*, [niniwa22.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html](http://niniwa22.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html).
- 151 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 115.
- 152 Za: *ibidem*, s. 116.
- 153 J. Urban, *Alfabet...*, s. 143.
- 154 A. Osiecka, *Biała bluzka. Najpiękniejsze opowiadania*, e-book, Warszawa 2011.
- 155 Za: G. Sroczyński, *Córeczko...*
- 156 *Ibidem*.
- 157 Za: L. Ostałowska, P. Smoleński, *op. cit.*
- 158 Za: G. Sroczyński, *Córeczko...*
- 159 Za: K. Felberg-Sendecka, *op. cit.*, s. 470.
- 160 Za: *ibidem*, s. 424.
- 161 *Po prostu Agnieszka. W 75. rocznicę urodzin Agnieszki Osieckiej. Studia i materiały*, red. I. Borkowski, Wrocław 2011, s. 29.
- 162 *Ibidem*, s. 126.
- 163 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 251–252.
- 164 Za: *ibidem*, s. 258.
- 165 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 182.

166 Za: *ibidem*, s. 132.

167 Za: Z. Turowska, *op. cit.*, s. 262.

168 Za: *ibidem*, s. 258.

169 Za: B. Michalak, *op. cit.*, s. 134.

170 Za: *ibidem*, s. 134.

171 Za: *ibidem*, s. 94.

172 J. Urban, *Jerzy Urban...*, s. 149.

# **Część IV**

## **Małgosia**





**„Małgorzata Braunek**

**to jest motylek.** *Co ja mówię, motylek... To jest właściwie niteczka babiego lata ta Margaret Braunek. Należy ją otoczyć ciepłym zefirkiem. Patrząc, na rękach nosić, dmuchać i chuchać delikatnie, żeby ona mogła kołysać się w zachodzącym jesiennym słończku. I z tego wynikną najpiękniejsze rzeczy, wierz mi... A nie jest źle przed ujęciem dać jej setę!”.*

*Kazimierz Kutz*



# Trudne początki



**B**yla jedną z najbardziej popularnych aktorek swojego pokolenia – po roli w *Polowaniu na muchy* stała się wzorem dla tysięcy dziewcząt, zaś kreacje w *Potopie* i *Lalce* wyniosły ją na szczyt popularności. Wówczas ona... na ponad 20 lat zrezygnowała z uprawiania zawodu. A gdy wreszcie wróciła, nieuleczalna choroba nie pozwoliła jej zająć odpowiedniego dla niej miejsca...

## SKOMPLIKOWANA EDUKACJA

Przez większość życia Małgorzata Braunek była praktykującą buddystką, pełniła również funkcję zwierzchnika polskiego Kanzeon – oddziału związku religijnego mającego swoją siedzibę w amerykańskim Salt Lake City. Wyznawczynią buddyzmu stała się już jako osoba dorosła, jednak zawirowania religijne towarzyszyły jej od najmłodszych lat. Pochodziła bowiem z mieszanej pod względem wyznaniowym rodziny – ojciec był katolikiem, natomiast matka należała do Kościoła luterańskiego. Rodzice ustalili, że dzieci płci męskiej będą wychowywane w religii ojca, natomiast córki miały wyznawać luteranizm.

Małgorzata była dzieckiem późnej miłości, Władysław Braunek poznał jej matkę po powrocie z obozu jenieckiego po zakończeniu II wojny światowej. Miał już za sobą jedno małżeństwo, z którego doczekał się córki Ewy. Pomimo późnego ponownego ojcostwa raczej nie rozpieszczał Małgorzaty, ale to właśnie on zainteresował ją aktorstwem.

„[...] kibicował mi, kiedy stawiałam pierwsze kroki w konkursach recytatorskich – wspominała Braunek po latach. – Jestem pewna, że chciał być jeszcze bardziej dumny ze mnie, widzieć mnie na scenie. Na pewno cieszyłby się moimi sukcesami, które po części widziałyby jako swoje”<sup>[1]</sup>.

Natomiast matka była fanatyczną wielbicielką opery i w ramach abonamentu teatralnego zabierała córkę na wszystkie przedstawienia. Ale Małgorzaty nigdy nie pociągała sztuka wokalna, zresztą do aktorstwa też dojrzewała z oporami. Zapewne wpływ na to miał jej wrodzony brak pewności siebie.

„Jako nastolatka marzyłam o psychologii – opowiadała. – Chciałam rozpoznać mechanizmy zachowań człowieka, a w gruncie rzeczy rozpoznać własne emocje. Byłam osobą przeraźliwie nieśmiałą. Już w klasie maturalnej, kiedy zaczynały się zabawy,

spotkania w klubach, nie potrafiłam się przemóc, żeby przejść środkiem sali. Bałam się spojrzeń. A zatem wybór aktorstwa był również próbą ucieczki od zawstydzania sobą. Trudno o bardziej szokową terapię”[2].

Panna Braunek miała dość skomplikowaną biografię szkolną. Często zmieniała miejsce zamieszkania, co wiązało się ze zmianą placówek edukacyjnych. Po aresztowaniu ojca przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa (był przedwojennym oficerem, kawalerzystą) przeniosła się wraz z matką z Szamotuł do Bytomia, a po kilku latach cała rodzina trafiła na warszawską Pragę i zamieszkała w niewielkim służbowym mieszkaniu przy ulicy Brzeskiej. Kontakt Małgorzaty z innymi uczniami w miejscowej szkole nie należał do najłatwiejszych. Jednak największym problemem dziewczyny było to, że od czasów przedszkola zawsze się w kimś kochała. Obiekt uczuć się zmieniał, ale miłość była jej niezbędna do życia.

Matka interweniowała dopiero wtedy, gdy z powodu zawiedzionego uczucia usiłowała podciąć sobie żyły. Wówczas na rok wróciła do Bytomia pod opiekę babci i ciotek. Ponownie pojawiła się w stolicy, by podjąć naukę w elitarnym liceum im. Jana Zamoyskiego, nie została jednak dopuszczona do egzaminu dojrzałości. Podobno zadecydowała o tym jej odmowa zapoznania się z jedną ze szkolnych lektur, książką Wandy Wasilewskiej. W efekcie zdawała egzaminy do PWST bez świadectwa maturalnego, a dokumenty uzupełniła dopiero po przyjęciu na studia.

Trzeba przyznać, że panna Braunek nigdy nie przepadała za sformalizowaną edukacją. Regularnie wagarowała, a naukę w szkole traktowała jako nieznośny przymus. Zawsze miała na głowie inne, ważniejsze sprawy, a na pierwszym miejscu stawiała kwestie uczuciowe.

„Biedna mama przestawała dawać sobie ze mną radę – przyznawała Małgorzata. – Zaczęła mnie szpiegować. I tak ja, już umówiona z Andrzejem, pędziłam z Pragi na Śródmieście, on gnał do mnie z Nowolipek, randkę mieliśmy umówioną w kawiarni – oczywiście w godzinach zajęć szkolnych – aż tu nagle zjawiała się mama z parasolką i wymachując nią, wybijała nam z głowy wagary i miłość. Ale na upór dzieci rady nie ma. Znowu miałam kłopoty w szkole i groziła mi repeta. Tak też się stało”[3].

## SKOK

W szkole aktorskiej szybko dostrzegli ją filmowcy. Była atrakcyjną dziewczyną i zdecydowanie odróżniała się od ówczesnych gwiazd polskiego ekranu. A to stanowiło poważny atut.

„Braunek nie wygrałaby konkursu »piękne dziewczęta na ekrany« – twierdził krytyk Konrad Eberhardt – nie przypomina popularnego na ekranie typu »kociaka«. Długa, wysmukła, o figurze chłopięcej, wąskiej buzi, nieregularnych rysach, z luźno puszczonej blond włosami i olśniewającymi zębami uosabia młodość, niedojrzałość, ciekawość życia”[4].

Zadebiutowała w legendarnym *Żywocie Mateusza Witolda Leszczyńskiego*.

Trudno jednak powiedzieć, że dostała tam jakąś znaczącą rolę, bo tylko na chwilę pojawiła się przed kamerą.

„[...] zaledwie mignęłam na ekranie – przyznawała aktorka. – Przepraszam, ale to nie była żadna rola. Jeżeli ktoś pisze o kreacji, czuję się zażenowana. Przespacerowałam się, ktoś mnie sfotografował. To wszystko”[5].

Jeszcze skromniej było w przypadku *Wycieczki w nieznane* Jerzego Ziarnika. Zagrała tam epizod, dziewczynę jednego z głównych bohaterów kreowanego przez Janusza Guttnera. Rola była tak drobna, że Małgorzaty nie wymieniono nawet w czołówce filmu. Natomiast znajomość z Guttnerem miała się okazać bardzo istotna w jej życiu.

Zdecydowaną odmianę w karierze zawodowej Braunek przyniósł dopiero *Skok* Kazimierza Kutza. Zagrała tam dużą rolę, a ponadto wystąpiła u boku Daniela Olbrychskiego i Mariana Opani. Inna sprawa, że obyczaje kolegów z planu niespecjalnie przypadły jej do gustu. Wprawdzie była wówczas młodą, pełną radości życia dziewczyną, ale partnerujący jej aktorzy zdecydowanie przesadzali z rozrywkami. Podziwiała jednak ich nadzwyczajną kondycję fizyczną.

„Daniel jest człowiekiem bardzo towarzyskim – opowiadała. – Do picia potrzebuje kompana. A jak znajdzie kogoś, kto mu dorównuje! Kiedy kręciliśmy *Skok*, razem z Opanią mieli tak zwane trzydniówki. Po prostu nie mogli skończyć. Przychodzili na plan w strasznym stanie; te czerwone oczka... No, trudno się dziwić, bo pili do czwartej czy szóstej nad ranem, a za godzinę rozpoczynaliśmy pracę. Mieli żelazne zdrowie!!!”[6].

Pozytywny stosunek do alkoholu przejawiał również reżyser filmu, nic zatem dziwnego, że na planie panowała bardzo wesoła atmosfera. Atrakcje towarzyskie nie ograniczały się zresztą do spożywania napojów wyskokowych. Olbrychski w tym czasie bardzo kłócił się ze swoją pierwszą żoną, Moniką Dzienisiewicz, której wizyta na planie zakończyła się awanturą. Nikogo to zresztą specjalnie nie zaskoczyło, bo już od dawna było wiadomo, że małżonkowie publicznie załatwiają swoje prywatne sprawy.

„Kręciliśmy właśnie w PGR Manieczki, gdy na planie zjawiła się moja żona – opowiadał Olbrychski. – Prawie natychmiast kłótnia! Postanowiłem więc nie spędzać reszty wieczoru w sypialni na wypominaniu sobie wzajemnych, prawdziwych bądź urojonych win, lecz pójść do apartamentu Kazia. Kutz i Opania w towarzystwie jakichś statystek popijali wódeczkę, opowiadając sobie nadzwyczaj ciekawe historyjki. Żwawo do nich dołączyłem. Nie minęło pół godziny, gdy weszła moja żona, podeszła do mnie i publicznie dała mi w pysk. Znając mnie, czym prędzej odwróciła się na pięcie. Starła się iść demonstracyjnie, z godnością, ale jednocześnie na tyle szybko, żeby umknąć przed rowerem, którym w nią rzuciłem.

Kazio zdążył tylko krzyknąć:

– Jezus!

Rower (bo był to jego rower) już frunął, ale trafił w zamykające się za Moniką drzwi. Rozleciał się w drobny mak”[7].

Małgorzata miała wówczas 20 lat i była „dziewuchą na schwał, blondyną, przy kości, cycatą, dupiastą, silną pływaczką”. W opinii wielu osób stworzyła wtedy jedną ze

swoich najlepszych filmowych kreacji.

„[...] kapitalna postać wiejskiej dziewczyny zagrana przez Małgorzatę Braunek (to chyba najlepsza, bo komediowa rola w jej karierze). Dziewczyny, która czuje i myśli, choć cała gama odruchów serca skrywana musi być pod maską dziarskiej robotnicy, usiłującej dorównać w pracy chłopakom. Tylko bardzo młodzi ludzie potrafią swe pierwsze uczucia traktować tak jak ona, tak śmiertelnie serio, co u dorosłego musi wzbudzić śmiech i ciepłe wzruszenie”[8].

Chociaż aktorka przyznawała później, że wtedy jeszcze „rzemiosła i techniki filmowej nie posiadała wcale”, to jednak wrodzony talent zdecydował, że była to bardzo udana kreacja. Zagrała osobę „otwartą i niekryjącą emocji”, która przeżywając „pierwszą miłość, pierwsze zbliżenie seksualne, okazywała to całą sobą”. I zapewne właśnie ta świeżość oraz naturalność zdecydowały o tym, że Braunek na dobre zagościła w świecie filmu.

Znaczące było również honorarium, jakie dostała za *Skok*. Co prawda Małgorzata jako studentka nie mogła otrzymać takiej gaży jak zawodowi aktorzy, ale dla młodej dziewczyny była to jednak fortuna, tym bardziej że po śmierci ojca w domu nigdy nie było zbyt dużo pieniędzy.

„Na pierwszym roku studiów też biedę klepałam – przyznawała Małgorzata – bo zaczęłam regularnie palić, wino popijać jak wszyscy – bez pieniędzy ciężko było bawić się w Warszawie. Kieszonkowe i pieniądze na obiady zostawiałam w kawiarniach i wydawałam na fajki. Szybko schudłam. Często bułka z serkiem topionym była moim całodniowym posiłkiem. Z tą nędzną stawką za *Skok* czułam się jak milionerka”[9].



# *Polowanie na muchy*





## NA SZEROKIE WODY

**P**o *Skoku* Małgorzata nie narzekała na brak ofert od filmowców. W ciągu kilkunastu miesięcy zagrała w czterech produkcjach, co jak na studentkę pierwszego roku było znakomitym wynikiem. Podobnymi osiągnięciami nie mogła się pochwalić nawet Elżbieta Czyżewska.

Częsty udział w filmach miał jednak również swoje złe strony, bo Braunek nie mogła normalnie studiować i ostatecznie nigdy nie ukończyła szkoły aktorskiej. Miało to niekorzystny wpływ na wysokość jej honorariów, bo były to przecież czasy PRL-u i sztywnych kategorii zaszeregowania. W efekcie nie mogła otrzymywać takiego wynagrodzenia jak jej koledzy z dyplomami.

Kolejny jej film, *Wniebowstąpienie*, zrealizowany według prozy Adolfa Rudnickiego, z powodów politycznych nigdy nie zdobył uznania, na jakie zasługiwał. Premiera miała się odbyć w połowie 1969 roku, w samym środku antysemickiej nagonki po wydarzeniach marcowych. W tej sytuacji film nakręcony na podstawie opowiadania pisarza pochodzenia żydowskiego i opowiadający o losach lwowianki ukrywającej swojego męża Żyda, nie mógł przypaść do gustu partyjnym decydentom.

„[...] to bardzo piękne, poetyckie kino – opowiadała Braunek. – Niestety, film nie trafił w swój czas. Premiera *Wniebowstąpienia* opowiadającego o stosunkach polsko-żydowskich nałożyła się na Marzec 1968 roku. Film pokazano wtedy ukradkiem, wstydliwie, po czym dosłownie po kilku dniach zdjęto z ekranów. *Wniebowstąpienie* zostało zamknięte w szafie, skazane na zapomnienie.

Dopiero wiele lat później, już po transformacji ustrojowej, chyba w 1990 roku, zaproszono mnie na kolejną premierę. Byłam nawet zaskoczona, że powstał taki mocny, przejmujący obraz. Uważam, że mieliśmy po prostu pecha. W innych warunkach film Rybkowskiego byłby wydarzeniem”[10].

Podobnych problemów nie było natomiast z kolejną produkcją, tym razem Małgorzata wystąpiła w *Ruchomych piaskach* Władysława Ślesickiego. Po raz pierwszy grała symbol seksu – studentkę, która uwodzi mężczyznę skonfliktowanego z dojrzewającym synem. Akcja filmu toczyła się w większości na dzikiej, nadmorskiej plaży, co stworzyło okazję do zaprezentowania kobiecych walorów aktorki. Uznaniem zdobyła również rola Marka Walczewskiego jako jej adoratora.

„Była w tym filmie seksualnym fetyszem niemal dosłownie wynurzającym się z tytułowych piasków – pisał Łukasz Maciejewski. – Kamera będąca przedłużeniem wzroku mężczyzny (oraz widza) eksponowała fizyczność Braunek. Podczas sekwencji erotycznej kontemplacji na plaży niemal centymetr po centymetrze oglądaliśmy ciało,

włosy, skórę aktorki, która stanowi jak gdyby część krajobrazu. Jest wodą, piaskiem, seksem”[11].

O Małgorzacie było coraz głośniejsze, toteż gdy Andrzej Wajda poszukiwał kandydatki do roli nowoczesnej, przebojowej dziewczyny w *Polowaniu na muchy*, zaangażowanie Braunek było sprawą naturalną. Reżyser podjął trafną decyzję, albowiem Małgorzata stworzyła niezapomnianą kreację.

„Długie jasne włosy nietknięte ręką fryzjera – tłumaczyła krytyk Barbara Mruklik. – Jasne oczy, wysoko zarysowane, cienkie brwi. Twarz nieco ściągnięta, jakby spierzchnięte usta. Szczupła sylwetka – wcielenie nowoczesności. Symbol dziewczyn-studentek końca ostatniego dziesięciolecia. W swoich rolach utrafiła bezbłędnie w ten styl swobody, nonszalancji. Przejmowała cechy mody i tę modę zarazem tworzyła: po premierze *Polowania na muchy* zaroilo się od dziewczyn ubranych we włosy i okulary »modliszki«”[12].

## MODLISZKA

Realizacja filmu napotykała jednak pewne przeszkody, bo Wajda nigdy wcześniej nie współpracował z Braunek i początkowo nie mógł z nią dojść do porozumienia. W tej sytuacji poprosił o radę Kazimierza Kutza, a młodszy kolega wyjaśnił mu, jak należy prowadzić aktorkę na planie.

„Kazio zamyślił się na chwilę i mówi:

– Andrzejku kochany, to jest motylek. Co ja mówię, motylek... To jest właściwie niteczka babiego lata ta Margaret Braunek. Należy ją otoczyć ciepłym zefirkiem. Patrzyć, na rękach nosić, dmuchać i chuchać delikatnie, żeby ona mogła kołysać się w zachodzącym jesiennym słończku. I z tego wynikną najpiękniejsze rzeczy, wierz mi...

I po tym poemacie Kutz dodaje:

– A nie jest źle przed ujęciem dać jej setę!”[13].

Film zrealizowali dwaj mężczyźni po przejściach, bo Wajda był właśnie po rozstaniu z Beatą Tyszkiewicz, natomiast Głowacki zakończył związek z plastyczką Bożeną Wahl. Obu panom wyszło to na dobre, jednak podczas realizacji *Polowania na muchy* przejawiali wyjątkowo negatywny stosunek do płci pięknej. Szczególnie Głowacki uważał, że powinien nienawidzić kobiet, gdyż Wahl zniszczyła go psychicznie.

„Kiedy ją poznałem – wspominał – byłem rozkoszniaczkiem uszczęśliwianym przez modelki i stewardessy. Zamieszkaliśmy razem i po paru miesiącach zacząłem łykać po pięć relanium dziennie i wpychać kilka do pyska Cisi. Był to owczarek nizinny, który się trząsał i płakał. Pierwszy pies, jakiego Bożena przygarnęła.

– My to wszystko wytrzymamy – mówiła – ale to jest naprawdę bardzo mały piesek”[14].

Powstał jednak znakomity film, nowatorski pod wieloma względami w dziejach

polskiego kina. Opowieść o „słabiutkim i bezradnym mężczyźnie, którym manipulują silne kobiety modliszki”. Obsadzony w roli głównej Zygmunt Malanowicz wykreował nowy typ bohatera – jego problemy nie wynikały z wojennej traumy, nie prześladowały go po nocach „ani wojna, ani obóz, ani chociaż Niemiec z psem owczarkiem”. Natomiast bohaterki *Polowania na muchy* ukazano w taki sposób, że „na kolaudacji filmu przedstawicielka Ligi Kobiet oświadczyła, że ten film obraża polskie kobiety, które bohatersko zdały egzamin w czasie okupacji”.

Nie brakowało także śmiałych scen erotycznych. W jednej z nich Braunek leży nago na łóżku przykryta jedynie rozłożoną książką na biuście oraz małym słownikiem na biodrach, a Malanowicz próbuje w takich warunkach tłumaczyć tekst. Do historii polskiego kina przeszła również kultowa scena imprezy w Domu Pracy Twórczej w Nieporęcie. Widzimy tam między innymi Marka Grechutę jako zblazowanego playboya oferującego intymne spotkania w stylu psychodelicznym i Jacka Fedorowicza w roli reżysera telewizyjnego szukającego łatwych podbojów. Do tańca przygrywiają zaś Trubadurzy, w filmie noszący nazwę *Bliscy Płaczu*, którzy wykonując utwór *Mamo, co ja robię*, rzeczywiście szlochają na scenie...

„Jest jak powój oplatający, obezwładniający mężczyznę, a zarazem nie może istnieć bez tego oparcia – pisała Barbara Mruklik o kreacji Małgorzaty. – Braunek uchroniła wszystkie atrybuty swojej płci: jest piękna, mądra, pełna wdzięku, uwodzicielska na swój spontaniczny sposób, tak typowy dla współczesnych dziewczyn. Spoza tych urokliwych spojrzeń, miękkich ruchów, kocich gestów, nieustannie wyziera groźne spojrzenie modliszki”[15].

Film uznano za groźną zapowiedź nadchodzącej ery matriarchatu, gdzie słabi mężczyźni „pozbawieni woli działania” oraz „chęci awansu” będą musieli się poddać dyktatowi silnych i agresywnych kobiet. Obraz miał być swoistym *requiem* dla rodu męskiego, skazanego na zagładę w konfrontacji z triumfującą kobiecością...

Dziewczęta w całej Polsce naśladowały Braunek, a do legendy przeszły jej okulary, w których paradowała na planie. Z dnia na dzień Małgorzata stała się idolką damskiej części młodego pokolenia, symbolem dążenia za wszelką cenę do celu.

Nie wszyscy jednak byli równie zachwyceni. Część męskiej widowni wzięła sobie do serca wizję Wajdy i uznała Małgorzatę za rzeczywiste zagrożenie. Wrażliwych panów prześladował wizerunek aktorki w ekstrawaganckich okularach i z triumfującym uśmiechem na twarzy. Doszło nawet do tego, że tygodnik „Ekran” na żądanie czytelników ogłosił konkurs pod tytułem: „Przyślijcie nam zdjęcia Małgorzaty Braunek z zamkniętymi ustami”. Jak widać, nasi poprzednicy sprzed pół wieku specjalnie nie różnili się od dzisiejszych użytkowników Facebooka...

## JANUSZ GUTTNER

Pierwszym mężem Małgorzaty został Janusz Guttner, z którym grała w *Wycieczce w nieznane*. Znali się od lat, albowiem przyszły mąż był szkolnym

kolegą jej przyrodniej siostry, Ewy Braunek[16]. Pobrali się w sierpniu 1967 roku, Braunek miała wówczas 20 lat, Guttner był o dziewięć lat starszy.

Pan Janusz w dość skomplikowany sposób dochodził do zawodu aktora. Przez trzy lata studiował na Akademii Sztuk Pięknych, po czym zaczął rozważać przenosiny na medycynę. Zdawał jednak do łódzkiej filmówki, by ostatecznie ukończyć warszawską PWST. Wszedł w skład zespołu Teatru Klasycznego, regularnie też pojawiał się w filmach. Jego najważniejszą rolą była postać Kamila Bergera w *Niekochanej*, gdzie zagrał u boku Elżbiety Czyżewskiej.

Zupełnie nietypowa okazała się ich podróż poślubna. Do włoskiej Modeny, gdzie mieszkała siostra Janusza, pojechała sama Małgorzata, gdyż Guttnera zatrzymały w kraju obowiązki zawodowe. Ponieważ wyjazdy za żelazną kurtynę były czymś rzadkim i wysoko cenionym, małżonkowie doszli do wniosku, że lepiej, aby Braunek pojechała sama i „w ten sposób miała chociaż połowę przyjemności”[17].

„Mam opory, by o tym mówić – komentowała po latach ten związek Małgorzata – nie dlatego, że stało się coś, czego musielibyśmy się z moim byłym mężem oboje wstydzić. Jednak kiedy się patrzy na dwuletni związek z perspektywy kolejnych dekad i dalszej historii swojego życia, wszystko widać w zupełnie innych barwach. A ja chciałam już zacząć samodzielne życie, mieszkanie z mamą coraz bardziej mi doskwierało”[18].

Przy lekturze zwierzeń pani Małgorzaty trudno nie odnieść wrażenia, że wyszła za Guttnera głównie dlatego, by wyprowadzić się z domu. Inna możliwość nie wchodziła w rachubę, ponieważ matka Małgorzaty nie dopuszczała możliwości, aby córka zamieszkała z partnerem bez ślubu. Braunek przyznawała jednak, że stojąc na ślubnym kobiercu, czuła miłość do swojego wybranka.

„Niestety wyrwanie się od mamusi okazało się niemożliwe – kontynuowała aktorka. – Potrafiła niespodziewanie zjawić się około ósmej nad ranem, by sprawdzić, czy aby na pewno przed wyjściem wypić ciepłe mleko i zjadłam śniadanie. A jeśli nie, to dostawało się zięciowi za nas dwoje”[19].

Rozwód został orzeczony w 1969 roku, gdy Braunek była już związana z Andrzejem Żuławskim. Wydaje się jednak, że Guttner do końca walczył o żonę, a wskazuje na to pewien dokument z archiwum IPN-u.

Jest nim oświadczenie Zofii Guttner-Pischeddy, siostry Janusza. W lipcu 1969 roku zobowiązała się ona pokryć koszty przejazdu i miesięcznego pobytu bratowej w Anglii i Irlandii. W kwestionariuszu paszportowym Braunek napisała, że „mąż, Janusz Guttner, ubiega się o wyjazd razem z nią”. Eskapada doszła do skutku po miesiącu, co potwierdzają kolejne dokumenty. W następnym wniosku złożonym dwa lata później pani Małgorzata figuruje już jako rozwiedziona. Była wówczas partnerką życiową Andrzeja Żuławskiego.

Janusz Guttner w 1970 roku wyjechał na stałe do Anglii, rok później ożenił się z Angielką, Catherine Nally. Przez długie lata pozostawał związany z Teatrem Polskim ZASP w Londynie, nie zapominał jednak o kraju. Pojawił się w epizodycznych rolach w serialach *Blisko*, *coraz bliżej* oraz *M jak miłość*. Zagrał również w krótkometrażowej koprodukcji brytyjsko-polskiej *My friend Ivor*, opowiadającej o perypetiach Polaków

wyjeżdżających na Wyspy do pracy.

Miałem okazję poznać pana Janusza osobiście, jednak gdy poprosiłem go o wspomnienia z czasów małżeństwa z Małgorzatą Braunek, to on, jak przystało na prawdziwego dżentelmena, odmówił. Stwierdził, że „ostatni raz widział Małgosię w 1985 roku” i nie jest upoważniony „do wygłaszania takich czy innych wypowiedzi na Jej temat”. Wprawdzie było to już „bardzo dawno, ale jakaś tam intymność pozostała i niech już taką zostanie”[\[20\]](#).



**Diabel**





## MAKUMBA

**R***uchome piaski* zostały zakwalifikowane na festiwal filmowy w Rio de Janeiro, więc Małgorzata miała okazję na dwa tygodnie polecieć do Brazylii. Wyprawa za ocean była ogromnym wyzwaniem dla aktorki, a także jej krewnych i znajomych.

„Cała rodzina, z mamą na czele, była zmobilizowana – wspominała Braunek. – Krawcowa szyła sukienkę. Szybko też pojawił się problem pieniędzy na wyjazd. Otrzymywaliśmy od Filmu Polskiego diety w wysokości pięciu dolarów na dzień! Mama poprosiła więc swoich przyjaciół sprzed wojny, którzy mieszkali w Kanadzie, żeby wysłali mi trochę dolarów na *poste restante* w Rio. Byłam wszystkim bardzo podekscytowana i dosłownie czułam, że frunę jeszcze na długo przed wylotem”[21].

Pięć dolarów dziennie było i tak przyzwoitą sumą, jeśli weźmie się pod uwagę zasady obowiązujące w poprzedniej dekadzie. W latach 50. wyjeżdżający mogli oficjalnie zakupić identyczną kwotę, jednak musiała im ona wystarczyć na cały pobyt za granicą. Zdarzyło się wtedy, że Zbigniew Herbert po powrocie do kraju wpłacił do banku trzy dolary, co sugerowało, że przez kilka miesięcy utrzymywał się za kwotę dwóch dolarów (w rzeczywistości żył ze stypendium, którego nie chciał ujawniać polskim władzom). Poproszony przez urzędników o wyjaśnienia z całym spokojem odparł, że prowadził bardzo oszczędny tryb życia...

Polska delegacja na festiwal w Brazylii (oprócz Małgorzaty Braunek byli tam jeszcze Beata Tyszkiewicz, Andrzej Wajda i Daniel Olbrychski) miała przesiadkę w Paryżu i na tamtejszym lotnisku Małgorzata spotkała mieszkającego we Francji Andrzeja Żuławskiego. Uznała, że jest dość przystojny, ale podobno zbyt była skupiona na wyprawie, aby zwracać na niego uwagę.

„Na festiwalu, tuż obok mnie, zobaczyłam wielkie gwiazdy kina na żywo. Czułam się trochę jak wolny ptak, kolorowy – hipisowsko zrobiło mi się w głowie... Patrzyłam na wschód słońca i nie znajdowałam słów, aby to opisać [...]. Spędzaliśmy czas w kinie, na przyjęciach w ambasadach, a noce w klubach samby. Potem poranki, sałatki owocowe przynoszone przez kelnerów na taras i pływanie jachtem z tequilą w rękę [...]”[22].

W Rio pojawił się również Roman Polański, który przywiózł na festiwal swoje *Dziecko Rosemary*. Wspólnie z Braunek i Olbrychskim wybrali się na pokaz *2001: Odyseja kosmiczna* Kubricka, Polański stwierdził jednak, że ten film należy oglądać po zażyciu marihuany. Braunek i Olbrychski posłusznie wypalili skręta, a podczas projekcji aktorka uznała, że pan Roman miał znakomity pomysł. Obraz „pochłonął ją całkowicie”,

była „oszołomiona rozmachem i głębią” filmu, wyczuwając w nim „próbę dotknięcia tajemnicy wszechświata”. Natomiast zupełnie inaczej zapamiętał ten seans Olbrychski, który preferował konwencjonalne środki odurzające. Po marihuanie zrobił się senny i przekaz z ekranu kompletnie do niego nie dotarł. Wobec tego uznał, że narkotyki nigdy nie dadzą mu zadowolenia, „natomiast wódeczka wręcz przeciwnie...”.

Szczególne znaczenie dla Braunek miał jednak inny brazylijski wieczór. Razem z Wajdą i Olbrychskim pojechali obejrzeć pokaz makumby – praktyk magicznych rodem z Afryki. Obrzędy te były oficjalnie zakazane przez Kościół, dlatego też Polacy pojechali do odległej dzielnicy, gdzie weszli na ostatnie piętro jednego z domów.

„Muzyka nieustannie płynęła z bębnow – relacjonowała Braunek. – Szamani grali w jednostajnym rytmie, by po jakimś czasie raptownie go zmienić. W pewnym momencie poczułam, jak rytm mego serca jednoczy się z rytmem bębnow. Miałam też uczucie, jakby bębny uderzały w moim brzuchu. Należałam już do tej muzyki, byłam nią cała. Zatraciłam granice pomiędzy sobą a tym, co mnie otaczało. Wszystko zlało się w jedno. [...] Czułam pulsowanie krwi w całym ciele. Nic już dla mnie nie istniało wewnątrz. Muzyka sprawiała, że byłam wszystkim. Coraz bardziej czułam, że jestem ziemią, że oddycham jej rytmem. Daniel w końcu potrząsnął mną. Wtedy oprzytomniałam”[23].

## ANDRZEJ ŻUŁAWSKI

Gdy Braunek ekscytowała się makumbą, w Paryżu Żuławski dochodził właśnie do wniosku, że jego związek z ówczesną partnerką życiową nie rokuje szans na przyszłość. Byli razem już od kilku lat, ale dopiero teraz reżyser uznał, że za bardzo różnią się od siebie.

„Nagle zacząłem widzieć – tłumaczył pan Andrzej – że żyję z kimś, kto jest ode mnie o wiele bardziej ułożony: tu lodówka, tu stół, mieszczański porządek. Basia nie chciała mieć dzieci, nie lubiła ich. Ja z kolei je uwielbiam. [...] Basia była bardzo zdolną malarką, która nie chciała malować, zilustrowała kilkanaście książek dla dzieci, wiele plakatów namalowała. Tylko jej się nigdy nie chciało, nie czuła tej potrzeby. Miała natomiast potrzebę łagodnie uregulowanego życia i tak zwanych kominków, czyli żeby pójść do psiapsiółki i przy kominku omówić wszystko”[24].

Gdy polska delegacja wracała z Rio de Janeiro, ponownie zatrzymała się w Paryżu i wówczas Żuławski zwrócił uwagę na Braunek, która po seansie makumby podobno nie wyglądała najlepiej.

„W czasie pokazu [...] wpadła w trans, dostała sinicy, język czarny jak kołek jej sterczał z ust i lekarz, do którego ją zawieziono, powiedział: »Niech pani natychmiast stąd wyjeżdża, bo pani jest podatna na to, co się dzieje«. Więc ona potulnie przyjechała do Paryża, od Andrzeja [Wajdy] miała nasz adres i telefon, zadzwoniła z lotniska, żeby się nią zaopiekować, przenocowała u nas w mieszkaniu. Rano, kiedy wychodziła na samolot, odprowadziłem ją do drzwi i nagle coś się stało. Do niczego nie doszło, ale

stało się coś między nami. I ona o tym wiedziała, i ja”[25].

Po pewnym czasie Żuławski uznał, że nadszedł czas na zmianę, wsiadł do swojego porsche i ruszył do Warszawy. Chciał znowu zobaczyć Małgorzatę, chociaż wiedział, że jest mężatką, a i on sam miał zobowiązania wobec swojej partnerki. Postanowił jednak poddać się biegowi wydarzeń, a długo nie musiał czekać, bo spotkał Braunek na Nowym Świecie.

„Było lato, cudowne słońce, ona taka rozświetlona, blond włosy do pasa, jasna twarz, jasne oczy. [...] Potem były jakieś niedopowiedziane spojrzenia, coś niedobrego, trudnego, no bo ona jest z tym młodym mężem [Janusz Guttner jest o dwa lata starszy od Żuławskiego – S.K.], ale widać, że nie są prawdziwą parą. Takie rzeczy się czuje. Pewnego dnia zdobywam się na odwagę i mówię: »To chodźmy na spacer«. Poszliśmy na Wał Miedzeszyński, siedliśmy w trawie. Powiedziałem: »Jesteśmy oboje okropnymi ludźmi, bo ty masz męża, który jest dobrym człowiekiem, kocha cię, a ja jestem w parze z kimś, kto mnie kocha. A my właśnie ich zostawiamy i będziemy parą złoczyńców«. I tak się stało”[26].

Obiektywnie trzeba przyznać, że Guttner był na straconej pozycji. Braunek go nie kochała, a Żuławski górował nad nim pod względem finansowym i artystycznym. Przyjeżdżał po Małgorzatę „najnowszym modelem porsche” i odjeżdżał razem z nią „z piskiem opon”. Uważano go za wybitnie utalentowanego reżysera, przed którym otwiera się wielka międzynarodowa kariera. A jaka aktorka nie chciałaby mieć zdolnego reżysera za męża? W efekcie niebawem stało się to, co musiało się stać. Małgorzata wyprowadziła się od Janusza i zamieszkała z Żuławskim. Nie pomogła nawet interwencja jej matki, która w swoim stylu, bo za pomocą parasolki, usiłowała wymusić na córce powrót do męża.

„[...] faktem jest – kontynuował Żuławski – że mój dialog z Małgosią, czy też Małgosi ze mną, był o wiele ciekawszy niż dialog z Basią, który nie był ani filmowy, ani literacki, ani historyczny. A Małgosia była młodą, obiecującą aktorką, co dla reżysera jest bardzo pociągające”[27].

Oboje mieli nadzieję, że ich związek przyniesie znaczące efekty artystyczne. I początkowo faktycznie na to się zanosilo, bo Żuławski rozpoczął przygotowania do realizacji *Trzeciej części nocy*. I oczywiście przeznaczył dla partnerki odpowiednie miejsce w tej produkcji.

„Byłam szczęśliwa, że mogę brać udział w całym procesie twórczym – wspominała Braunek. – Miałam zagrać rolę dwóch kobiet jednocześnie, pokazać, czym jest istota kobiecości, co było dla mnie wielkim wyzwaniem. Dodatkowo nie chciałam zawieść ukochanego”[28].

W miłości nie przeszkadzało im nawet to, że przez dwa lata nie mieli gdzie mieszkać. Żuławski zdążył już rozbić swoje efektowne porsche i nie stać go było na zakup mieszkania. Błąkali się po różnych znajomych, aż wreszcie osiedli w lokalu przy ulicy Kinowej, który udostępnił im ojciec reżysera. A wkrótce po zakończeniu pracy nad filmem okazało się, że Małgorzata jest w ciąży.

Braunek i Żuławskiego uważano powszechnie za małżeństwo, w rzeczywistości jednak nigdy nie sformalizowali swojego związku. Lektura wniosków paszportowych Małgorzaty z akt IPN-u nie pozostawia żadnych wątpliwości – aktorka aż do czasu małżeństwa z Andrzejem Krajewskim podawała się za „rozwiedzioną”, wskazując Guttnera jako byłego męża[29].

Pod koniec grudnia 1971 roku na świat przyszedł syn Braunek i Żuławskiego, Xawery. Cięża aktorki zbiegła się w czasie z realizacją kolejnego obrazu reżysera, filmu *Diabeł*. Scenariusz napisał sam reżyser i trzeba przyznać, że był to projekt, który mógł wzbudzić poważne kontrowersje. Podobnej dawki erotyzmu, kazirodztwa i zbrodni nie powstydziliby się nawet Pier Paolo Pasolini.

Akcja filmu toczy się w 1793 roku, a jego główny bohater, Jakub (Leszek Teleszyński) pod wpływem Diabła (Wojciech Pszoniak) uprawia seks z własną matką, po czym zabija ją, a następnie morduje ciężarną narzeczoną (Braunek), a także siostrę i brata. Ogląda gnijące szczątki swojego ojca samobójcy, a przy okazji uśmierca prześladowającego go homoseksualistę i przygodną prostytutkę. Do tego mamy jeszcze orgie seksualne, rzeź klasztoru, gwałcenie zakonnic, ataki epilepsji i wreszcie triumfującego diabła na koniec...

Żuławski w specjalny sposób przygotowywał się do realizacji tego filmu. Regularnie odwiedzał szpital psychiatryczny w Tworkach, gdzie „obserwował zachowanie psychopatów, schizofreników i epileptyków”. Na miejscu „ubierano go w kitel i był niby-lekarzem”, twierdził, że gdy wreszcie „stamtąd wychodził i szedł na stację kolejki, to miał taki potworny ból mięśni, jakby tłukł kamienie na drodze”. Ale jak na fanatyka zawodu przystało, nie zawahał się przed realizacją filmu.

Małgorzata wcieliła się w rolę nieszczęsnej narzeczonej, choć początkowo planowano, że zagra ją Barbara Brylska. Żuławski nawet podpisał z nią kontrakt, ale już po jednym dniu zdjęciowym zawiesił pracę nad filmem. Po pewnym czasie podziękował pani Barbarze za współpracę i obsadził Małgorzatę. Sprawa trafiła do sądu, a jego orzeczenie należy uznać za kontrowersyjne. Honorarium za rolę Braunek przyznano bowiem Brylskiej, stwierdzając, że Małgorzata nie miała prawa wystąpić w tym filmie...

Praca nad *Diabełem* fatalnie odbiła się na związku Braunek i Żuławskiego. Dla reżysera „wszystko, co było związane z pracą filmową, stanowiło istotę jego życia”, więc nie zwracał uwagi na problemy swojej partnerki. W tym czasie matka Małgorzaty trafiła do szpitala, a na domiar złego Xawery przyszedł na świat jako wcześniak i pierwsze tygodnie życia spędził w inkubatorze. Wprawdzie reżyser zaraz po narodzinach syna pojawił się w szpitalu, ale niemal natychmiast odjechał na plan filmu do Wałbrzycha.

„Ponieważ podjęłam zobowiązanie, że mimo wszystko zagram w tym filmie – opowiadała Braunek – wkrótce po porodzie zaczęłam jeździć do Wałbrzycha, by stawić się na planie. Wydawało mi się, że tak trzeba. W Warszawie biegałam od szpitala do szpitala. W jednym miałam dziecko w inkubatorze, w drugim mamę po operacji

z niepewnym rokowaniem. Wtedy chyba po raz pierwszy zaczęłam wątpić w sens tego zawodu. Wymagał, aby położyć na szali dosłownie wszystko”[30].

*Diabeł* okazał się klęską Żuławskiego – film trafił na półkę, a reżyser zrozumiał, że w Polsce nic już nie będzie mógł nakręcić. Zdecydował się na wyjazd do Paryża, natomiast Braunek z dzieckiem pozostała w kraju, otrzymała bowiem propozycję zagrania w ekranizacji *Potopu*, gdzie miała wcielić się w rolę Oleńki Billewiczówny.

Po raz kolejny doszło wtedy do konfliktu z Brylską, która cieszyła się poparciem widzów. Wielbiciele jej talentu uważali, że doskonale sprawdza się w rolach kostiumowych, podczas gdy Braunek kojarzono wyłącznie z postaciami współczesnych bohaterek. Ale Jerzy Hoffman zdecydował inaczej, tym bardziej że Małgorzatę od początku popierał również Daniel Olbrychski, który miał wcielić się w rolę Kmicica.

Po wielu latach, bo w 1993 roku, drogi obu aktorek skrzyżowały się ponownie, tym razem w tragicznych okolicznościach. Córka Brylskiej, Basia, i Xawery Żuławski darzyli się wzajemną sympatią i wspólnie spędzali dużo czasu, co przyniosło fatalne skutki.

„Razem podróżowali samochodem – opisywał Tomasz Raczek. – Doszło do wypadku. Xawery prowadził. Basia była pasażerką. Jemu udało się przeżyć, ona zginęła. Dla Brylskiej to był niemal koniec świata. Z trudem zbierała siły do życia, ale nie mogła już występować przed kamerą. Teraz to ona zrezygnowała z zawodu. Z oddali obserwowała, jak Izabella Scorupco dostała przeznaczoną wstępnie dla Basi rolę Heleny w *Ogniem i mieczem...*”[31].



**Na szczycie**





## OLEŃKA

**S**ocjalistyczna kinematografia rządziła się swoimi prawami, toteż praca nad ekranizacją *Potopu* trwała aż dwa lata. Nikt specjalnie nie przejmował się czasem ani kosztami. Sceny historyczne konsultowano z naukowcami (historyk Adam Kersten był nawet współautorem scenariusza), a film kręcono w Polsce i na terenie ówczesnego Związku Radzieckiego. Wykorzystano 23 tysiące kostiumów, do zdjęć zaangażowano oddział sowieckiej kawalerii, a kolubrynę wykonano w elbląskim Zamechu specjalizującym się w produkcji turbin okrętowych.

„*Potop* to przedsięwzięcie wprost niewiarygodne – przyznawał Daniel Olbrychski. –[...] Film by nie powstał, gdyby nie entuzjazm wszystkich związanych i niezwiązanych z kinematografią. Tak zwane zakłady pracy spełniały nasze prośby za półdarmo. Niby spod ziemi pojawiali się szaleńcy, bez których nic by nie mogło się udać. [...] Na Zachodzie podobny film pewnie wówczas by nie powstał z tyloma scenami batalistycznymi, z różnorodnością plenerów, dekoracji, kostiumów. Takich pieniędzy nie miałyby i Costner na *Tańczącego z wilkami*... Gdyby nie Sienkiewicz i nie *Potop*, pewnie i w Polsce nikt by nie wyłożył tak ogromnej sumy”[32].

Dwuletnia praca nad filmem spowodowała, że ekipa stanowiła zgrany zespół. Wprawdzie tak jak wszędzie „bywały nieporozumienia i spięcia, lecz wszyscy się rozumieli”. Chwilami zresztą zacierała się granica pomiędzy filmem a rzeczywistością, cała ekipa przez długie miesiące żyła w świecie Sienkiewicza.

„Było to w stepie, w rozległych rozlewiskach Dniepru – wspominał operator Jerzy Wójcik. – Czyste powietrze, jeszcze sporo zachodzącego słońca, ciepło, kurz spod kopyt końskich wisi w powietrzu bardzo długo. I w tym zachwycającym pejzażu zobaczyłem nagle Daniela jadącego na koniu. Koń szedł stępą przez rozlewiska. Danek znakomicie nosi kostium; a ten nosił już kilka miesięcy i niejako skroił go swoim ciałem jeszcze raz... Kmicic na koniu. Tak, jakby nagle otworzyła się szczelina w czasie i byłem świadkiem sceny sprzed kilkuset lat”[33].

Braunek znalazła wspólny język z resztą ekipy, a szczególne więzy sympatii połączyły ją z Olbrychskim. Zapewne wpływ na to miał fakt, że pan Daniel nie nadużywał wówczas trunków, gdyż praca nad filmem wymagała żelaznej kondycji, a Hoffman nie był człowiekiem pozwalającym na ekscesy na planie. Małgorzata towarzyszyła Olbrychskiemu w różnego rodzaju eskapadach, a gdy realizowali film na terenie ZSRR, aktorzy posiadali specjalne przepustki umożliwiające im swobodne przemieszczanie się. Była to okazja, której pan Daniel nie mógł nie wykorzystać.

„Kręciliśmy zdjęcia koło Mińska – relacjonował Olbrychski. – [...] Noc z soboty

na niedzielę, a właściwie niedzielny ranek. Godzina piąta. Przyszedł mi do głowy szalony plan, że należy koniecznie pojechać do wileńskiej Ostrej Bramy na mszę. Dwieście kilometrów! Z kim? Oczywiście z Margaret Braunek. [...]

Zapukałem do drzwi.

– Jedziemy do Wilna.

Nie zdążyła powiedzieć »nie«. Była tak zaspana i tak zaskoczona, że tylko skoczyła na równe nogi i odrzekła:

– Tak jest.

Przez całą dobę śpiewaliśmy kolędy, bo to w końcu Boże Narodzenie. Wilno cudowne. Zwiedziliśmy prawie całe miasto – trasa od kościoła św. Anny, przez Ostrą Bramę, uniwersytet, przepiękne zaułki, starówkę... W każdym napotkanym barze maleńki koniaczek. Wróciliśmy w euforii.

Minęło kilka dni. Następnym wolnym dniem. Wczesnym rankiem zastukałem do pokoju Małgosi.

– Małgoś – ledwo powstrzymywałem śmiech – do Lwowa jedziemy.

– Już się ubieram.

Oczywiście nigdzie nie pojechaliśmy, do Lwowa było trochę za daleko. Małgosia przygotowywała się do drogi. Brat lata”[34].

*Potop* okazał się ogromnym sukcesem, ale odtwórcy głównych ról zarobili stosunkowo niewiele. Były to czasy sztywnych stawek aktorskich i nikogo nie interesowało, że filmowi poświęcili dwa lata życia. Gdyby obowiązywał wówczas system tantiemowy, Olbrychski i Braunek zostaliby milionerami, „i to dolarowymi”. A tak pozostała im tylko sława udziału w jednej z najważniejszych produkcji epoki PRL-u.

Współpraca z panem Danielem niosła jednak z sobą pewne niebezpieczeństwa natury obyczajowej. *Potop* był pokazywany na wielu festiwalach i Małgorzata wraz ze swoim filmowym partnerem odwiedzała różnego rodzaju przeglądy. W 1975 roku oboje wybierali się do Moskwy i pan Daniel lojalnie uprzedził koleżankę, że tamtejsze elity kulturalne w specyficzny sposób okazują gościnność.

„Tłumaczyłem jej w samolocie na trasie Warszawa–Moskwa:

– Kochanie, musisz się przygotować na to, że będziesz piła wódkę.

– O czym ty mówisz, przecież ja w ogóle nie piję!

Gościł nas Nikita Michałkow. Tuż przed odlotem z Rosji Małgosia zjadła swój bilet i oświadczyła, że nigdzie nie leci, gdyż jej się w tym kraju podoba. Jeszcze na Okęciu krzyczała do polskich celników, że nigdy nie opuści rosyjskich przyjaciół – myślała, iż jest w Moskwie. Tłumaczyć się przed rodzicami i narzeczoną za skandaliczny stan, w którym powróciła, musiałem naturalnie ja”[35].

## PEKNIĘCIE

Braunek grała w kolejnych filmach i regularnie odwiedzała Żuławskiego

w Paryżu. Na dłuższą metę nie było jednak możliwości pogodzenia zawodu aktorki z rolą matki i partnerki życiowej mężczyzny mieszkającego za granicą. Odbiło się to na wychowaniu syna, który na dłuższy czas trafił do rodziców Żuławskiego przebywających na placówce dyplomatycznej w Senegal.

„Kiedy robiłem *Na srebrnym globie* – opowiadał reżyser – Małgocha grała w jakimś filmie i nie mieliśmy z kim zostawić dziecka. Nie dowierzaliśmy matce Małgosi, bo była osobą bardzo miłą i dobrą, ale głęboko niemądrą. No i dziecko pojechało do Afryki do moich rodziców, gdzie spędziło wspaniałe półtora roku. Xawery do dzisiaj to pamięta, bardzo wtedy pokochał dziadków i oni jego też. Babcia Żuławska była dla Xawerego do końca życia punktem oparcia. Jak nie miał na piwo, to szedł do niej, była z nim bardzo zakumplowana”[36].

Żuławski powrócił do kraju, bo władze dały mu do zrozumienia, że przyszedł czas, aby odkupił swoje winy. Zajął się realizacją *Na srebrnym globie*, nie dokończył jednak produkcji. Partyjni decydenci uznali, że powstaje film antykomunistyczny i antykościelny, czego nie zamierzano tolerować. Produkcję zawieszono (film został ukończony 11 lat później), a pan Andrzej ponownie opuścił Polskę.

W tym czasie Braunek wcieliła się w postać Izabeli Łęckiej w telewizyjnej ekranizacji *Lalki* Bolesława Prusa. Była to kolejna superprodukcja, która na zawsze weszła do historii polskiego filmu. Znakomita obsada, drobiazgowo odtworzona atmosfera XIX-wiecznej Warszawy, piękne zdjęcia i cudowna muzyka Andrzeja Kurylewicza.

„To była wspaniała praca – opowiadała Braunek po latach. – Osiem odcinków kręciliśmy przez dwa lata! W dzisiejszych warunkach, kiedy trzynaście odcinków serialu kręci się w dwa miesiące, rzecz niemal nie do wyobrażenia. Przede wszystkim jednak serial Bera był dla mnie szansą na kontakt z bogatą i intrygującą postacią”[37].

Pani Małgorzata stworzyła znakomitą kreację i najwyraźniej „zakochała się” w swojej bohaterce, co skłaniało ją nawet do deprecjonowania głównej postaci filmu.

„A kim jest uwielbiany przez masy Wokulski? To człowiek nieciekawym, niespecjalnie pociągający fizycznie, pozbawiony dowcipu i charakteru. Zbił majątek dzięki pomocy rosyjskiego kupca. To w nim się miała zakochać ta subtelna, wykształcona dziewczyna?”[38].

Wprawdzie krytycy uznali, że „Braunek potrafiła bez wątpienia wydobyć wszelkie psychologiczne niuansy”, tworząc postać, która chciała „przetrwać w świecie mężczyzn pragnących decydować o jej losie”, to chyba nie wszyscy są w stanie zgodzić się z jej poglądami na temat Izabeli Łęckiej:

„Ja od początku widziałam Izabelę jako przejmujący portret mądrej, świadomej własnej klasy kobiety, ze wszystkich sił starającej się zachować świat, do którego przynależy, a który na jej oczach rozpada się, jałowieje. Łęcka przeżywała dramat kresu epoki, a im bardziej kurczowo trzymała się przyjętych konwenansów, tym dotkliwsze było rozczarowanie, że owych reguł salonowej gry już de facto nie ma, przestały istnieć”.

*Lalka* była ostatnią dużą rolą aktorki w polskim filmie. Zagrała jeszcze w niezłej bułgarskiej produkcji *Wielka nocna kąpiel*, po czym nastąpiła wieloletnia przerwa.

Aktorka wielokrotnie mówiła, że była to jej świadoma decyzja, do której skłoniły ją względy osobiste, można jednak podejrzewać, że sytuacja zawodowa przyspieszyła podjęcie tej decyzji. Takie wrażenie można odnieść z lektury raportu funkcjonariuszki SB, która w tym czasie spotkała się z Braunek. Rozmowa miała charakter „profilaktyczno-wychowawczy” i była związana z podpisaniem przez Małgorzatę listu protestacyjnego w sprawie represji wobec uwięzionych w czerwcu 1976 roku robotników z Ursusa i Radomia.

„[...] mówiła o swoich kłopotach osobistych – czytamy w raporcie. – Zdaje sobie sprawę, że »moda« na nią już minęła, obecnie otrzymuje propozycję zagrania w filmie raz na rok lub rzadziej, w związku z czym ma duże problemy finansowe i »są okresy, kiedy nie mam ani grosza. Ostatnio grałam w serialu telewizyjnym *Lalka* w roli Izabeli Łęckiej. Serial ten będzie wyświetlany począwszy od lutego bieżącego roku. Kiedy otrzymam następną propozycję, nie potrafię przewidzieć, obawiam się, że nie nastąpi to zbyt prędko»”[39].

Niepowodzeniem zakończyła się również praca w zespole Teatru Narodowego. Braunek pojawiła się tam namówiona przez Adama Hanuszkiewicza, szybko jednak zraziła się do jego osoby.

„[...] bardzo niemile wspomina tamten okres swojej pracy. Stwierdziła, że zgodziła się na pracę w teatrze po licznych namowach ze strony dyrektora Hanuszkiewicza, który w momencie podpisywania angażu roztaczał przed nią obraz wspaniałej kariery artystycznej, a w efekcie nie dotrzymał żadnej z danych obietnic.

W ciągu trzech lat pracy w Teatrze Narodowym kilka razy zagrała epizodyczne role. A następnie nie otrzymała już żadnej propozycji. Rozgoryczona tą sytuacją zdecydowała się zerwać z teatrem i nie zamierza już nigdy wrócić na stały etat”[40].

Relację autorki raportu potwierdzają także inne dokumenty, w których można zresztą zauważyć znaczną niechęć środowiska aktorskiego wobec Małgorzaty. Jej sukcesy z pierwszej połowy lat 70. wzbudzały zawiść, a w związku z tym wytykano jej między innymi brak dyplomu. Koledzy nie wahali się też rozpuszczać plotek natury obyczajowej.

„[...] aktualnie nie jest zatrudniona w żadnym z teatrów – pisano w jednym z dokumentów z lutego 1977 roku – i praktycznie pozostaje na utrzymaniu Andrzeja Żuławskiego, z którym stanowią nieformalne małżeństwo, jej kontakty w środowisku aktorskim uległy znacznemu rozluźnieniu. Sporadycznie jest angażowana na zasadzie umowy-zlecenia do epizodów w filmach. Uważa się za niedocenioną aktorkę i jest tym stanem rzeczy rozgoryczona. Przez środowisko aktorskie jest lekceważona i nieakceptowana. Wśród zdecydowanej części aktorów panuje przekonanie, że dotychczasowe »sukcesy« artystyczne zawdzięcza układom o charakterze erotycznym. Oceniana jest jako zarozumiała megalomanka o miernym talencie aktorskim”[41].



# Droga na Wschód



## DECYZJA

**N**a problemy zawodowe nałożyły się kłopoty osobiste. Partnerzy żyjący na odległość nie potrafili się zrozumieć, tym bardziej że Żuławski nigdy nie był człowiekiem łatwym we współżyciu, a niepowodzenia Braunek źle wpływały na jej stan emocjonalny. Wydaje się zresztą, że reżyser zawsze traktował partnerkę jak „niewinną panienkę, która tak naprawdę odkrywa życie dopiero przy jego boku”.

„[...] wszystko, co nie mieściło się w tym obrazie – tłumaczyła aktorka – a wiele się nie mieściło – po prostu tłumiliam. Na początku nawet mi się to podobało. Kiedy kogoś kochamy, chętnie odgrywamy dla niego daną rolę. Ktoś z moich przyjaciół, kto mnie znał sprzed związku z Andrzejem, widząc moją przemianę, powiedział, że chyba charakter pisma też mi się zmienił. Miał rację”[42].

Małgorzata nigdy jednak nie zamierzała stać się kobietą z wyobrażeń Żuławskiego, tym bardziej że miała 30 lat i nie była już dorastającą panienką. Zaczęła „nawiązywać własne przyjaźnie, mieć swoje sprawy”, co ułatwiał fakt, że partner niemal bez przerwy przebywał we Francji. Nauczyła się żyć bez niego i nie oczekiwała od niego pomocy. Brak propozycji zawodowych dodatkowo stymulował aktorkę do dokonania drastycznych zmian w swoim życiu.

„[...] wszystko zaczęło się rozłazić – tłumaczył Żuławski – ona grała w Polsce, ja zacząłem robić filmy we Francji, a całe to jeżdżenie było bardzo uciążliwe. I podczas któregoś przyjazdu Małgosi zrozumiałem, że coś się dzieje źle. [...] Ale jak się robi film, to się wychodzi z domu o czwartej rano, a wraca o północy. Małgosia siedziała z synkiem sama w domu, bo nie znała nikogo w Paryżu. Więc była potwornie samotna, ja przyjeżdżałem późno, zmęczony”[43].

Braunek postanowiła zerwać z aktorstwem. Wiedziała, że najlepsze lata kariery ma już za sobą, odczuwała też coraz większą niechęć środowiska. Z powodu bariery językowej nie istniała możliwość gry we francuskich filmach męża, natomiast w kraju nie chciała grać epizodów czy ról drugoplanowych. Do ostatecznej decyzji brakowało jej tylko odpowiedniego partnera, bo trudno powiedzieć, czy opuściłaby Żuławskiego, gdyby w jej życiu nie pojawił się inny mężczyzna. Nigdy bowiem nie zapomniała, że reżyser jest ojcem jej syna, przyznawała zresztą, że nie potrafiła żyć jako kobieta samotna.

„[...] któregoś dnia przyjechałem do Warszawy i zastałem puste mieszkanie – wspominał Żuławski. – Dziecko siedziało na podłodze umazane konfiturami, a Małgosi nie było od paru godzin. Potem okazało się, że ma kogoś. To musiało trwać już od wielu miesięcy, ale nie obserwowałem jej, nie zadawałem pytań. Tylko czułem, że jest do



dupy. Zauważyłem oczywiście, że pojawiły się u niej narkotyki, marihuana chyba, a ponieważ ja tego nie używam, to był trop, że w jej życiu dzieje się coś nowego. Ale nie byłem wystarczająco czujny”[44].

Braunek zaczęła spotykać się z dziennikarzem i tłumaczem literatury szwedzkiej, Andrzejem Krajewskim, który na stałe mieszkał w Sztokholmie. Był buddystą i wielbicielem kultury Dalekiego Wschodu. Jak przystało na prawdziwego globtrotera regularnie podróżował do Indii własnym samochodem, a do tego jeszcze pisał wiersze. I zrobił na aktorce niezwykle wrażenie.

„Niewątpliwie pociąga nas fizyczność – mówiła Braunek – ale ona przecież zdradza ducha, emanuje nim. Pamiętam do dziś, jak Andrzej wtedy wyglądał, w co był ubrany, modne, szwedzkie chodaki – w których lubi chodzić do dziś – nepalski sweter w egzotyczne wzory, a przede wszystkim jego barwne opowieści, które dla mnie brzmiały jak baśnie z tysiąca i jednej nocy”[45].

Małgorzata zwierzyła się jednemu z przyjaciół, że poznała niezwyklego człowieka, który w czasie swoich podróży „śpi w samochodzie, pisze wiersze, ma burzę ciemnych włosów i wielkie, niebieskie, przenikliwe oczy”. Ten, gdy wreszcie spotkał jej nową fascynację, zauważył jednak, że Krajewski ma oczy piwne. Dopiero wówczas do Braunek dotarło, że „te boskie niebieskie oczy miał wymalowane na chodakach”...

Zdecydowała się odejść od Żuławskiego, co z pewnością nie było łatwe. Chodziło bowiem o najdłuższy z dotychczasowych związków Małgorzaty, a dodatkowo łączyło ich dziecko. Xawery był jeszcze małym chłopcem i potrzebował obojga rodziców. Ale Braunek przestała się wahać.

„Na zawsze pozostaniemy związani naszym synem, którego oboje kochamy i jesteśmy z niego dumni. Sądziłam, że Andrzej był miłością mojego życia, i w pewnym sensie tak było. Ale w odniesieniu do tamtego życia, przy jego boku.

Zawsze mu będę wdzięczna za Xawerego”[46].

## PRETENSJE PANA ANDRZEJA

Rozstanie z Żuławskim oznaczało również ostateczną rezygnację z kariery aktorskiej. Braunek nie chciała już więcej kręcić filmów, chociaż sukces bułgarskiej *Wielkiej nocnej kąpieli* mógł otworzyć jej drogę do kinematografii krajów socjalistycznych. Nie była przecież aktorką anonimową, gdyż *Potop* odniósł ogromny sukces w krajach bloku wschodniego. Ale Małgorzata przeżywała wtedy fascynację buddyzmem i postanowiła zerwać z aktorstwem. W decyzji utwierdziły ją fatalne wspomnienia z ostatniej produkcji:

„[...] mimo że realizacja układała się wspaniale, mój udział wspominam jako osobistą gehennę. Przez cały czas jakby z boku obserwowałam siebie wkładającą kostium czy przygotowującą się do kolejnego ujęcia i zadawałam sobie pytanie: dlaczego tu jestem, po co to robię, kogo udaję? Na dodatek kraj zaczął żyć uniesieniem Sierpnia i Solidarności, rodziły się problemy istotniejsze niż bycie przed kamerą”[47].

Żuławski nie potrafił zrozumieć tej decyzji. Czuł się zdradzony jakomeżczyzna i jako filmowiec. Doskonale orientował się, że Małgorzata miała problemy zawodowe, ale porzucenie aktorstwa uznał za szaleństwo. Nigdy też nie zaakceptował jej nowego partnera – uważał go za „faceta, który udaje do dziś, że jest guru”, a w rzeczywistości miał być „jednym z najgłupszych facetów, jakich w życiu spotkał”. I dawał do zrozumienia, że Braunek była zawsze zależna od silniejszych od niej mężczyzn.

„Aktorstwo służyło jej świetnie – tłumaczył – była wybitnie zdolna i bardzo piękna. Ale zdecydowała się wejść w system, który się z aktorstwem wykluczał. [...] Najwyraźniej potrzebowała wsparcia w grupie, w której nie ma miejsca na przebijanie się w indywidualnym i samotniczym boju, jakim jest aktorstwo [...]. Myślę, że sprawa jest dużo prostsza. Małgosia spotkała miłość swojego życia. On wprowadził ją w aktywny buddyzm. Wywiózł przez Afganistan do Nepalu, pokazał różne rzeczy, o których nie bardzo chce mi się mówić, i są parą do dzisiaj”[48].

Reżyser twierdził, że „aktorstwo jest jak narkotyk” i nie można go ostatecznie porzucić, nawet jeżeli w pewnej chwili postanowiło się „grać rolę buddystki”. Jako człowiek niewierzący kompletnie nie rozumiał ekscytacji Małgorzaty, a jej nowe obyczaje wprawiały go w osłupienie.

„Ona wcale nie chciała się rozwijać, tylko chciała wejść w strukturę kościelną, która nazywa się buddyzm, gdzie w stadzie wszyscy robią to samo. Ubierają się tak samo, ćpają to samo, jeżdżą do Nepalu. Ona została kapłanką koreańską. Jak przyjeżdżała z wizytą do Xawerego, czyli do mnie do Paryża, wstawiała, a później trzy godziny siedziała zamknięta i klepała te swoje mantry. I coś w ten sposób miała załatwione. Co? Ja nie wiem”[49].

Żuławski należał do tego samego pokolenia co Braunek i Krajewski, ale fascynacja filozofią Wschodu była mu obca. Jakoś nie zapałał do niej miłością pod koniec lat 60., a więc w czasach dzieci kwiatów, palenia skrętów, muzyki zespołu The Doors, psychodelii i medytacji. Natomiast Małgorzata od dawna przejawiała skłonność do mistycyzmu i jako osoba o wrażliwej psychice odnalazła w buddyzmie swoją drogę.

„[...] do takiej decyzji trzeba dojrzeć – tłumaczyła w jednym z wywiadów – to jest bardzo długi proces. Tu chodzi o znalezienie siebie, w związku z tym trzeba sprawdzić i posmakować różnych rzeczy. Atmosfera lat 70. sprzyjała takim poszukiwaniom. Buddyzm stał się wtedy bardzo popularną filozofią – dla pewnych kręgów, ludzi myślących »inaczej«. Ja też chciałam poznać siłę medytacji. Zadawałam sobie pytania: kim jestem, dokąd zmierzam. I ogólne – po co człowiek żyje, czy życie ma sens. I koniec końców te poszukiwania doprowadziły mnie do buddyzmu”[50].

Ale nawet Żuławski przyznawał, że u boku Małgorzaty przeżywał chwile pełnego szczęścia, a takich momentów w życiu nie miał zbyt wiele. Szczególnie utkwiła mu w pamięci pewna scena, do której powracał nawet po 40 latach:

„Takie silne uczucie niezwykłego szczęścia miałem tylko parę razy w życiu. Pamiętam, że pierwszy raz to było, jak byliśmy w bardzo młodym związku z Małgosią, która musiała nagle gdzieś wyjechać na parę dni i wracała samolotem, a ja czekałem na jej powrót z jej mamą. Staliśmy na tarasie widokowym, bo wtedy na starym Okęciu patrzyło się z góry na pasażerów. Zobaczyłem, że Małgosia idzie przez ten tłum szarawy

taka słoneczna, uśmiechnięta, bo zobaczyła nas. Taka złotowłosa, z uśmiechem pełnym zębów cudownych, białych. I biło z niej takie życie, że poczułem przeszywające szczęście. Pamiętam to do dziś”[51].

## INDIE

Andrzej Krajewski wyjechał do Szwecji w połowie lat 60. Posługiwał się paszportem konsularnym, z tego też powodu bez problemów podróżował do Polski i odwiedzał Małgorzatę. Ona była w nieco gorszej sytuacji. Analiza wniosków paszportowych z akt IPN-u wskazuje, że Braunek bywała w Sztokholmie mniej więcej raz do roku. Czasami też wspólnie ruszali do innych krajów europejskich, a w 1983 roku pojechali do Indii. Byli już wówczas małżeństwem.

„[...] doświadczyłam po raz pierwszy stanu, w którym następuje całkowita utrata »ja« – wspominała Małgorzata. – A wszystko za sprawą miłości. To nas spotkało – mnie i mojego męża. Mówię tu o takiej miłości, która powoduje, że związek między dwojgiem ludzi jest na tyle silny, że traci się poczucie odrębności, cielesnie i mentalnie”[52].

Andrzej był szczęśliwy, że żona może wreszcie pojechać do Indii i osobiście poznać to, o czym dotychczas tylko marzyła. Sam doskonale znał Azję, bo tak często jeździł tam samochodem (!!!), że stała się „dla niego drugim domem”. Inna sprawa, że pierwszy kontakt Małgorzaty z wymarzonym Wschodem nie należał do przyjemnych, bo warunki w hotelu w afgańskim Mazar-i Szarif mogły każdego Europejczyka doprowadzić do rozpacz.

„Zamiast miłego pokoju – opisywała Małgorzata – zastaliśmy betonową cełę z żarówką zwisającą z sufitu. Łazienka była kolejną cełą z gumowym szlauchem udającym prysznic i z dziurą w betonowej podłodze zamiast WC”[53].

Małgorzata dostała hysterii i krzyczała, że chce wracać do domu, z czasem jednak przestała zwracać uwagę na podobne niedogodności. Uznała je za naturalne i nie zmieniła zdania, gdy w trakcie kolejnej podróży przyszło jej spać w „pierwszym z brzegu hoteliku” w Katmandu. Byli tak zmęczeni, że natychmiast zasnęli, obudziła ich jednak „armia stawonogów”, która wyszła z materaców i rzuciła się na nich „jak na najlepszą, a może po prostu jedyną karmę”. Wszystkie niewygody rekompensowały im spotkania z Dalajlamą i z najsłynniejszymi hinduskimi guru. W swoich wędrówkach dotarli aż do Lhasy w Tybecie.

Pomimo fascynacji miejscową kulturą Małgorzata nie zdecydowała się przyłączyć do Hindusów dokonujących rytualnych ablucji w Gangesie. Podobno zanurzyła się tylko „tak trochę, tak na chwilę, można rzec – symbolicznie”. Natomiast bardziej zdeterminowany okazał się Andrzej, który postanowił popływać w rzece.

„Wydawał się radosny i dumny z siebie – relacjonowała Braunek – ale tylko do momentu, gdy dostrzegł nagle coś dużego, co sunęło wprost na niego z nurtem rzeki. To był nabrzmiały korpus ludzki! Cudem tylko uniknął zderzenia. O ile pamiętam, sadhu –

świętych mężów i joginów – wrzuca się bezpośrednio do rzeki, uważając, że ich ciała już za życia są tak samo czyste jak ich duch”[54].

## POWRÓT

W sierpniu 1987 roku przyszła na świat ich córka Orina, co stanowiło ukoronowanie ich związku. Narodziny dziecka powitali z ogromną radością, uznając swoją miłość za spełnioną.

„Nasze dzieci z poprzednich związków były niemal dorosłe – wyjaśniała Małgorzata. – Syn Andrzeja, Marcin, miał 17 lat i mieszkał w Szwecji, a mój Xawery – 16 lat. Ja i Andrzej chcieliśmy mieć wspólne dziecko, ale nie mogłam zajść w ciążę. Stwierdziliśmy: cóż, trudno, będziemy mogli do woli jeździć na nasz ukochany Daleki Wschód. I w tym momencie [...] wielka radość! Wtedy, pod koniec lat 80., dojrzała kobieta w ciąży to była już starsza pani. Ale nie myślałam: »Ojej, kiedy ona skończy 20, ja będę 60-letnią staruszką«. Takie nastawienie bierze się z mojego zaufania do życia, tego, co przynosi”[55].

Chociaż Braunek nikomu nie narzucała swoich poglądów, to jednak często spotykała się z niechęcią innych. Nie rozumieli jej dawni znajomi – panowała powszechna opinia, że przez buddyzm zmarnowała swój talent. Nawet Agnieszka Osiecka, która przecież była osobą wyjątkowo tolerancyjną, nie potrafiła jej zrozumieć:

„Widuję Małgorzatę nad morzem. Ma ona dużego męża literata i cudne dzieci, i razem z tym mężem i z tymi dziećmi wędrują piaskiem w stronę Karwi, w szlachetnych hinduskich szatach, i mówią o bardzo mądrych rzeczach. Trudno”[56].

Kilka lat po urodzeniu córki Braunek doszła do wniosku, że nadszedł czas na powrót do zawodu. Zaczęła od spektakli telewizyjnych (*Intruz*, *Klimaty*), następnie zaś przyszła pora na filmy i seriale telewizyjne. Za rolę w *Tulipanach* otrzymała na festiwalu w Gdyni nagrodę za najlepszą rolę drugoplanową. Natomiast w *Domu nad rozlewiskiem* zagrała z własną córką.

„Przyjechałam do mamy na plan podczas kręcenia pierwszej części serialu, na Mazury – wspominała Orina. – Chciałam ją odwiedzić. Akurat trafiłam na taki dzień, kiedy reżyser Adek Drabiński poszukiwał aktorki do scen retrospektywnych: ktoś miał zagrać matkę serialowej Basi, którą grała właśnie moja mama. Byłam wtedy świeżo po szkole aktorskiej. Przyjechałam do mamy z Londynu tylko na dwa dni, miałam się potem spakować i wracać. Adek zobaczył mnie i krzyknął: »Już wiem, kto będzie grał matkę. Wskakuj«. I tak się tam znalazłam”[57].

Małgorzata wróciła również do teatru, a udział w *Personie. Ciele Simone* uznała za swój faktyczny debiut sceniczny, bo nie brała pod uwagę epizodów granych przed laty u Hanuszkiewicza. Zapewne jednak nie zdecydowałyby się na występ, gdyby nie osoba reżysera Krystiana Lupy.

„Myślałam, że temat jest zamknięty, kiedy na horyzoncie pojawił się Krystian Lupa. Mistrz, guru, jedna z niewielu tego typu osobowości w polskim teatrze. Fanką

Lupy jestem od zawsze. Jeździłam na jego przedstawienia do Starego Teatru: *Kalkwerk*, *Bracia Karamazow* czy *Marzyciele* to arcydzieła, podobnie jak *Wymazywanie* w Teatrze Dramatycznym, które widziałam kilka razy. Kiedy oglądałam tamte spektakle wiele lat temu, myślałam, że cudownie byłoby z kimś takim spotkać się twórczo, zobaczyć proces powstawania przedstawień, odkryć te wszystkie czary, o których tak chętnie opowiadają aktorzy Lupy”[58].

Niestety, premiera sztuki zakończyła się głośnym skandalem. Odtwórczyni jednej z ról, Joanna Szczepkowska, na znak protestu przeciwko metodom pracy reżysera pokazała na scenie swój nagi „rewers” i wykonała gest „Heil Hitler”. W kolejnych przedstawieniach zastąpiła ją Maja Ostaszewska, ale niesmak pozostał.

„Wyrządziła nam ogromną krzywdę – mówiła Braunek. – Mnie w największym stopniu, bo byliśmy razem na scenie. Mam nadzieję, że po prostu nie miała świadomości, że tym aktem nie tyle załatwia swoje interesy, ile nam wszystkim przypina kiepską etykietkę, piętno skandalu”[59].

Powrót do zawodu nie przeszkadzał aktorce w coraz większym zaangażowaniu w sprawy wspólnoty buddyjskiej w Polsce. Wraz ze współwyznawczynią Mają Ostaszewską i Ksawerym Jasieńskim nagrała audiobook buddyjskich bajek *Głodna tygrysica*. W styczniu 2011 roku otrzymała tytuł rōshiego (mistrza zen) od założyciela Kanzeon International Sangha, Dennisa Genpo Merzela. Działała też jako wolontariuszka w hospicjum onkologicznym, chcąc „czuć się przydatna i móc odwdzięczyć się za to, co dostała od tych, którzy odeszli”.

Los jednak nie obszedł się z nią łaskawie, bo sama zapadła na chorobę nowotworową. W kraju wyczerpano wszystkie możliwości leczenia, więc wśród znajomych ogłoszono zbiórkę środków na kurację w specjalistycznej klinice we Frankfurcie. Odzew zaskoczył wszystkich, bo pieniądze ofiarowywali nawet całkiem nieznanymi ludźmi, ale niestety było już za późno.

„Do końca wierzyliśmy, że uda się nam wyjechać – opowiadała Orina. – Trzy miesiące przed śmiercią mama dostała chemię, która była nietrafiona – to też się niestety zdarza. Nie trafiła w nowotwór, osłabiła organizm. A pamiętam, jak 30 stycznia 2014 roku, w urodziny mamy, byliśmy na rodzinnej kolacji, by świętować jej świetne wyniki. Półtora miesiąca później był już taki nawrót, którego nikt nie mógł przewidzieć. Dokończyliśmy leczenie konwencjonalne, nic więcej w Polsce nie dało się zrobić. Tutaj pozostała nam tylko opieka paliatywna”[60].

Małgorzata odchodziła z ogromną godnością, zgodnie z zasadami, które wyznawała przez większość życia. Była buddystką i pozostała nią także w chwili próby.

Małgorzata Braunek zmarła 23 czerwca 2014 roku.

„W buddyzmie śmierć wpisana jest w obieg życia – mówiła kilka lat wcześniej. – Trzeba się z tym pogodzić. Chciałam czuć się potrzebna innym. Chodzi również o akceptację faktu, że kiedyś odejdziemy. Świadomość finału pozwala docenić kolejne etapy życia – cieszyć się z każdego dobrego dnia, pięknej chwili, z tego, że jeszcze jesteście. Przez jakiś czas.

Zen jest drogowskazem, wektorem postępowania. Otwiera na wszystko: jak żyć, jak patrzeć, słuchać, radować się i smucić. Chodzi o przyjmowanie wszystkiego, co

nie sie los"[61].





# Przypisy do cz. IV

- 1 M. Braunek, *Jabłoń w ogrodzie, morze jest blisko*, Kraków 2012, s. 37.
- 2 Za: Ł. Maciejewski, *Aktorki*, e-book, Warszawa 2015.
- 3 M. Braunek, *op. cit.*, s. 47.
- 4 K. Eberhardt, *Aktorzy filmu polskiego i telewizji*, Warszawa 1971, s. 5.
- 5 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*
- 6 Za: D. Olbrychski, *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992, s. 47.
- 7 *Ibidem*, s. 89.
- 8 E. Baniewicz, *Kazimierz Kutz*, Warszawa 1999, s. 96.
- 9 M. Braunek, *op. cit.*, s. 66.
- 10 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*
- 11 *Ibidem*.
- 12 B. Mruklik, *Cztery sylwetki: Małgorzata Braunek*, „Kino” 1971, nr 67, s. 19.
- 13 Za: D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 90.
- 14 J. Głowacki, *Z głowy*, Warszawa 2004, s. 176.
- 15 B. Mruklik, *op. cit.*
- 16 Mail Janusza Guttnera do autora, 10.04. 2015.
- 17 *Ibidem*.
- 18 M. Braunek, *op. cit.*, s. 68.
- 19 *Ibidem*.
- 20 Mail...
- 21 M. Braunek, *op. cit.*, s. 71.
- 22 *Ibidem*, s. 74.
- 23 *Ibidem*, s. 75.
- 24 A. Żuławski, *Ostatnie słowo*, e-book, Warszawa 2011.
- 25 *Ibidem*.
- 26 *Ibidem*.
- 27 *Ibidem*.
- 28 M. Braunek, *op. cit.*, s. 82.
- 29 IPN BU 1005/20251.
- 30 M. Braunek, *op. cit.*, s. 84–85.
- 31 T. Raczek, *Karuzela z idolami*, e-book, Michałów-Grabina 2006.

- 32 D. Olbrychski, *op. cit.*, s. 153.
- 33 Za: *ibidem*, s. 156.
- 34 *Ibidem*, s. 152.
- 35 *Ibidem*, s. 36–37.
- 36 A. Żuławski, *op. cit.*
- 37 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*
- 38 Za: *ibidem*.
- 39 Za: IPN BU 01322/988/J.
- 40 Za: *ibidem*.
- 41 Za: *ibidem*.
- 42 M. Braunek, *op. cit.*
- 43 A. Żuławski, *op. cit.*
- 44 *Ibidem*.
- 45 M. Braunek, *op. cit.*, s. 107.
- 46 *Ibidem*, s. 91.
- 47 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*
- 48 Za: U. Hollanek, *Kapłanka show-biznesu*, „Wprost” 36/2011.
- 49 A. Żuławski, *op. cit.*
- 50 Za: E.A. Baryłkiewicz, *Małgorzata Braunek. Medytacja daje mi siłę*, [poradnikzdrowie.pl/psychologia/dusza/malgorzata-braunek-medytacja-daje-mi-sile\\_35589.html](http://poradnikzdrowie.pl/psychologia/dusza/malgorzata-braunek-medytacja-daje-mi-sile_35589.html).
- 51 A. Żuławski, *op. cit.*
- 52 M. Braunek, *op. cit.*, s. 105.
- 53 *Ibidem*, s. 114.
- 54 *Ibidem*, s. 140.
- 55 Za: I. Dawidowicz, *Uroki i niepokoje późnego macierzyństwa – Braunek, Sworowska, Carlos*, [kobieta.pl/gwiazdy/emocje/zobacz/artukul/uroki-i-niepokoje-poznego-macierzynstwa-braunek-sworowska-carlos](http://kobieta.pl/gwiazdy/emocje/zobacz/artukul/uroki-i-niepokoje-poznego-macierzynstwa-braunek-sworowska-carlos).
- 56 Za: Z. Nasierowska, A. Osiecka, *Fotonostalgia. Znani i lubiani w obrazie i anegdocie*, Warszawa 2003, s. 47.
- 57 *Śmiech na sali. Z Oriną Krajewską rozmawia Monika Tutak-Goll*, „Wysokie Obcasy” 16/2015.
- 58 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*
- 59 Za: *ibidem*.
- 60 *Śmiech na sali...*
- 61 Za: Ł. Maciejewski, *op. cit.*

# Zakończenie



**K**ończąc pisanie poprzednich książek, często miałem wrażenie, że nie wyczerpałem tematu. Tym razem jest inaczej – wiem, że wykorzystałem wszystkie dostępne w tej chwili źródła i opracowania. Zdarzyło się nawet, że powróciłem do gotowego już tekstu, aby dodać do niego coś z pozycji książkowej, która właśnie ukazała się na rynku. I dlatego mam nadzieję, że Czytelnicy będą usatysfakcjonowani.

Nie ukrywam, że powrót do tematów, nad którymi kiedyś już pracowałem, stanowił dla mnie duże wyzwanie. Dlatego też traktowałem je ze szczególną uwagą i dzięki temu mam poczucie, że powstała książka w pewnym sensie wyjątkowa. Miałem bowiem całkowitą swobodę pisarską, nie krępowały mnie limity objętości poszczególnych rozdziałów, nie musiałem niczego skracać ani hamować swojej inwencji. Pisałem tak, jak chciałem pisać, nie zwracając uwagi na nic, co nie wiązało się z moimi bohaterkami. A to naprawdę było wyjątkowym doświadczeniem.

Nie lubię zbyt długo skupiać uwagi na tym, co właśnie się skończyło, i dlatego na jesień tego roku planuję początek nowej serii, która może być dla Czytelników dużym i – mam nadzieję – miłym zaskoczeniem.



## Ważniejsza bibliografia



Abramow-Newerly J., *Lwy STS-u*, Warszawa 2005

Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze, Warszawa 2010

Baniewicz E., *Kazimierz Kutz*, Warszawa 1999

Baryłkiewicz E.A., *Małgorzata Braunek. Medytacja daje mi siłę*,  
[poradnikzdrowie.pl/psychologia/dusza/malgorzata-braunek-medytacja-daje-mi-sile\\_35589.html](http://poradnikzdrowie.pl/psychologia/dusza/malgorzata-braunek-medytacja-daje-mi-sile_35589.html)

Bielas J., *Elżbieta Czyżewska. Niezastąpiona*,  
[ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/elzbieta\\_czyzewska\\_niezastapiona.html](http://ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/elzbieta_czyzewska_niezastapiona.html)

Bielas J., *Kalina Jędrusik. Pierwsza Madonna PRL-u*,  
[ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusic\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusic_pierwsza_madonna_prlu.html)

Bieniewski H., *Teatr Telewizji i jego artyści*, Warszawa 2009

Bikont A., *Scenariusz życia*, „Gazeta Wyborcza” 31.07.1999, [niniwa22.cba.pl/bikont\\_frykowski.htm](http://niniwa22.cba.pl/bikont_frykowski.htm)

Bikont A., *Elżbieta Czyżewska. Srebrna papierośnica i czarna suczka*, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna\\_papierosnica\\_i\\_czarna\\_suczka.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna_papierosnica_i_czarna_suczka.html)

Braunek M., *Jabłoń w ogrodzie, morze jest blisko*, Kraków 2012

Chmielewska J., *Lekarstwo na miłość. Sfilmowane opowieści Joanny Chmielewskiej*, Warszawa 1994

Czyńska I., *Kalina Jędrusik-Dyगतowa. Sylwetki aktorów*, „Ekran” 14/1958

Czyżewski A., *Piękny dwudziestoletni. Biografia Marka Hłaski*, Warszawa 2012

Davis H.C., *Amerykanka w Warszawie*, Kraków 2001

Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965, t. 11*, Warszawa 2009

Derlatka P., *Zdradziecka Osiecka*, Warszawa 2015

Dyगत M., *Rozstania*, Kraków 2001

Eberhardt K., *Aktorzy filmu polskiego i telewizji*, Warszawa 1971

„Express Wieczorny” 22.01.1958

Felberg-Sendecka K., *Koleżanka. Wspomnienia o Agnieszce Osieckiej*, Warszawa 2015

Gacek P., *Kalina. Jestem, jaka jestem*, Warszawa 2010

Gańczak F., *Filmowcy w matni bezpieki*, Warszawa 2011

Głowacki J., *Z głowy*, Warszawa 2004

Gruza J., *40 lat minęło jak jeden dzień*, Warszawa 1998

Hollanek U., *Kapłanka show-biznesu*, „Wprost” 36/2011



Dawidowicz I., *Uroki i niepokoje późnego macierzyństwa – Braunek, Sworowska, Carlos*, [kobieta.pl/gwiazdy/emocje/zobacz/artykul/uroki-i-niepokoje-poznego-macierzynstwa-braunek-sworowska-carlos](http://kobieta.pl/gwiazdy/emocje/zobacz/artykul/uroki-i-niepokoje-poznego-macierzynstwa-braunek-sworowska-carlos)

IPN BU 002086/385

IPN BU 01322/988/J

IPN BU 0192/98/2

IPN BU 0204/411

IPN BU 0204/628

IPN BU 1005/20251

Kałużyński Z., *Nowa fala zalewa kino*, Warszawa 1970

Kąkolewski K., *Jak umierają nieśmiertelni*, (b.m.w.) 1996

Klim A., *Seks, sztuka i alkohol. Życie towarzyskie lat 60.*, Warszawa 2013

Komendołowicz I., *Elka*, Kraków 2012

Konwicki T., *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1976

Kosiński R., *Głowy Stołeczne. Elżbieta Czyżewska*, „Życie Literackie” 8/1965

Krubski K., Miller M., Turowska Z., Wiśniewski W., *Filmówka. Powieść o Łódzkiej Szkole Filmowej*, Warszawa 1998

Krystyna Stypułkowska, [filmpolski.pl/fp/index.php?osoba=1111653](http://filmpolski.pl/fp/index.php?osoba=1111653)

*Księstwo warszawskie*, rozmowa Tomasza Kwaśniewskiego z Kazimierzem Kutzem, „Gazeta Wyborcza”, 06.11.2003

Kurowski E., *Moje życie ze Stanisławem Dygatem*, Toruń 2004

Kutz K., *Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*, Kraków 1999

Kutz K., *Portrety godziwe*, Kraków 2004

Lenard J., *Uroda zeszła na mnie z ekranu*, „Film” 13/1987

Lipiński E., *Marek*, „Życie Literackie” 3/1980

Łazuka B., *Przypuszczam, że wątpię*, e-book, Warszawa 2010

Maciejewski Ł., *Aktorki*, e-book, Warszawa 2015

Mail Janusza Guttnera do autora, 10.04. 2015

Michalak B., *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001

Michalski D., *Kalina Jędrusik*, Warszawa 2010

Młynarski W., *Kalina znacznie wyprzedziła swój czas*, „Dziennik” 08.08.2006

Morelle E., *Słodkie życie*, Kraków 2007

Mruklik B., *Cztery sylwetki: Małgorzata Braunek*, „Kino” 1971, nr 7

Nasierowska Z., Osiecka A., *Fotonostalgia. Znani i lubiani w obrazie i anegdocie*, Warszawa 2003

Olbrychski D., *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992

Osiecka A., *Biała bluzka. Najpiękniejsze opowiadania*, e-book, Warszawa 2011

- Osiecka A., *Dzienniki 1945–1950*, e-book, Warszawa 2013
- Osiecka A., *Dzienniki 1951*, e-book, Warszawa 2014
- Osiecka A., *Laleczka i chłopiec*, „Polityka” 32/1999
- Osiecka A., *Rozmowy w tańcu*, Warszawa 1992
- Osiecka A., *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985
- Ostałowska L., Smoleński P., *To nie mój pies, ale moje łóżko*, [niniwa22.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html](http://niniwa22.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html)
- Padoł E., *Damy PRL-u*, e-book, Warszawa 2015
- Passent D., *Passa*, e-book, Warszawa 2012
- Po prostu Agnieszka. W 75. rocznicę urodzin Agnieszki Osieckiej. *Studia i materiały*, red. I. Borkowski, Wrocław 2011
- Pracz R., *Teatr Satyryków STS*, Warszawa 1994
- Prucnal A., *Ja, urodzona w Warszawie*, Kraków 2005
- Putrament J., *Pół wieku, t. 5. Poślizg*, Warszawa 1987
- Raczek T., *Karuzela z idolami*, e-book, Michałów-Grabina 2006
- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1958–1962*, Warszawa 1998
- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1963–1966*, Warszawa 1999
- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1967–1968*, Warszawa 1999
- Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001
- Rozmowa telefoniczna autora z Januszem Guttnerem, 10.04.2015
- Rzypudowski H., *Sonja i Marek*, Warszawa 1999
- Ryciak U., *Potargana w miłości. O Agnieszce Osieckiej*, Kraków 2015
- Saga rodu Frykowskich*, [kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html](http://kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html)
- Siedlecka J., *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2008
- Sroczyński G., *Córeczko, nie ma sprawy*, [wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)
- Sroczyński G., *Śledztwo w sprawie kapcia*, [wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,5585434,Sledztwo\\_w\\_sprawie\\_kapcia.html](http://wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,5585434,Sledztwo_w_sprawie_kapcia.html)
- Sroczyński G., *Z widokiem na twoje ucho*, „Wysokie Obcasy” 18.10.2010, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z\\_widokiem\\_na\\_twoje\\_ucho.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z_widokiem_na_twoje_ucho.html)
- Stanisławczyk B., *Miłosne gry Marka Hłaski*, Poznań 2010
- Studencki Teatr Satyryków – zbuntowani zetempowcy*, [polskieradio.pl/39/156/Artykul/1072027,Studencki-Teatr-Satyrykow-%E2%80%93-zbuntowani-zetempowcy](http://polskieradio.pl/39/156/Artykul/1072027,Studencki-Teatr-Satyrykow-%E2%80%93-zbuntowani-zetempowcy)
- Sutowski M., *Wujec. Związki przyjacielskie*, Warszawa 2013
- Szarłat A., *Celebryci z tamtych lat. Prywatne życie wielkich gwiazd PRL-u*, e-book, Kraków 2014
- Szczerba J., *Co ja Jezus Chrystus jestem?*, [wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html](http://wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html)
- Szczerba J., *Dzika róża*, [wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8076960,Dzika\\_roza.html?as=1](http://wyborcza.pl/duzyformat/1,127291,8076960,Dzika_roza.html?as=1)
- Szczęśna J., *Grottger by tego nie namalował*, „Gazeta Wyborcza” 7–8.02.1998

- Szlachetko P., Kowalczyk J.R., *STS. Tu wszystko się zaczęło*, Warszawa 2014
- Szymańska I., *Czego wtedy nie powiedziałam...*, „Polityka”, 6/1978
- Śmiałowski I., *Igor Śmiałowski opowiada*, Warszawa 1981
- Śmiech na sali. Z Oriną Krajewską rozmawia Monika Tutak-Goll, „Wysokie obcasy” 16/2015
- Świerczyńska K., *Awantura o Kalinę*, [wprost.pl/ar/314104/Avantura-o-Kaline/?pg=0](http://wprost.pl/ar/314104/Avantura-o-Kaline/?pg=0)
- Tomasik K., *Seksbomby PRL*, e-book, Warszawa 2014
- Turowska Z., *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2008
- Tyszkiewicz B., *Nie wszystko na sprzedaż*, Warszawa 2004
- Urban J., *Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana*, Warszawa 1992
- Urban J., *Alfabet Urbana. Od UA do Z*, Warszawa 1990
- Urban J., *Jerzy Urban o swoim życiu rozmawia z Martą Stremeczką*, Warszawa 2013
- Wasowska M., Wasowski G., *Starsi panowie dwaj. Kompendium niewiedzy*, Kraków 2014
- Włoczewski Z., *Elżbieta Czyżewska*, „Przyjaciółka” 26/1990
- Zapert T.Z., *Salonowiec warszawski*, „Wprost”, 5/2008
- Żułowski A., *Ostatnie słowo*, e-book, Warszawa 2011
- Żułowski: *od nienawiści, poprzez rozpacz, plucie totalne, egzaltacje*, rozmowa Cezarego Michalskiego z Andrzejem Żułowskim, [krytykapolityczna.pl/Wywiady/Zulawski-Od-nienawisci-poprzez-rozpacz-plucie-totalne-egzaltacje/menu-id-77.html](http://krytykapolityczna.pl/Wywiady/Zulawski-Od-nienawisci-poprzez-rozpacz-plucie-totalne-egzaltacje/menu-id-77.html)

Kalina Jędrusik – czy tylko wyrafinowana kobiecość, czy może też wrażliwość i serdeczność dla wielu ludzi? Na co Agnieszka Osiecka nigdy nie żałowała pieniędzy? Dlaczego Małgorzata Braunek zrezygnowała z aktorstwa, będąc u szczytu sławy? Czy kariera Elżbiety Czyżewskiej mogła potoczyć się inaczej?

To wielkie artystki, kobiety zachłanne na życie, z którego czerpały pełnymi garściami, choć jednocześnie nie zawsze potrafiły spełnić się w życiu osobistym i zawodowym.

W *Złotej kolekcji* Sławomira Kopra, najpoczytniejszego polskiego autora biografii, znajdziemy nowe, nieznane dotąd szczegóły z życia bohaterek. To fascynująca lektura i dla fanów twórczości tego autora, i dla tych, którzy po raz pierwszy sięgną po jego książkę.

